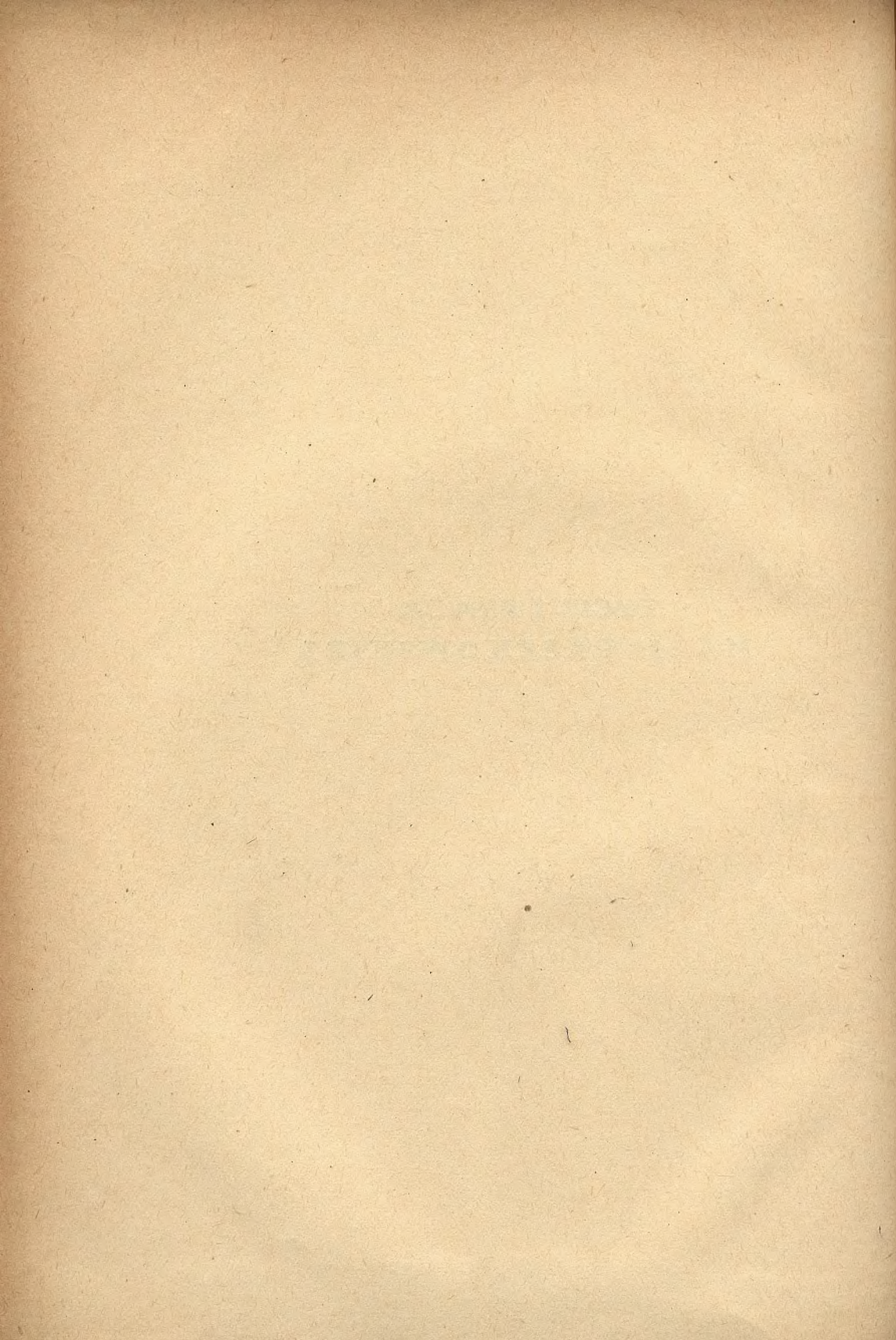


Biblioteka Sejmu Śląskiego

41838

II

**ŻYCIE I PRACA
MARJI PASZKOWSKIEJ**



ŻYCIE I PRACA MARJI PASZKOWSKIEJ

K S I Ę G A PAMIĄTKOWA

POD REDAKCJĄ LEONA WASILEWSKIEGO

**WARSZAWA — 1929
NAKŁADEM KOMITETU UCZCZENIA PAMIĘCI
MARJI PASZKOWSKIEJ**

350

34.

41838

II

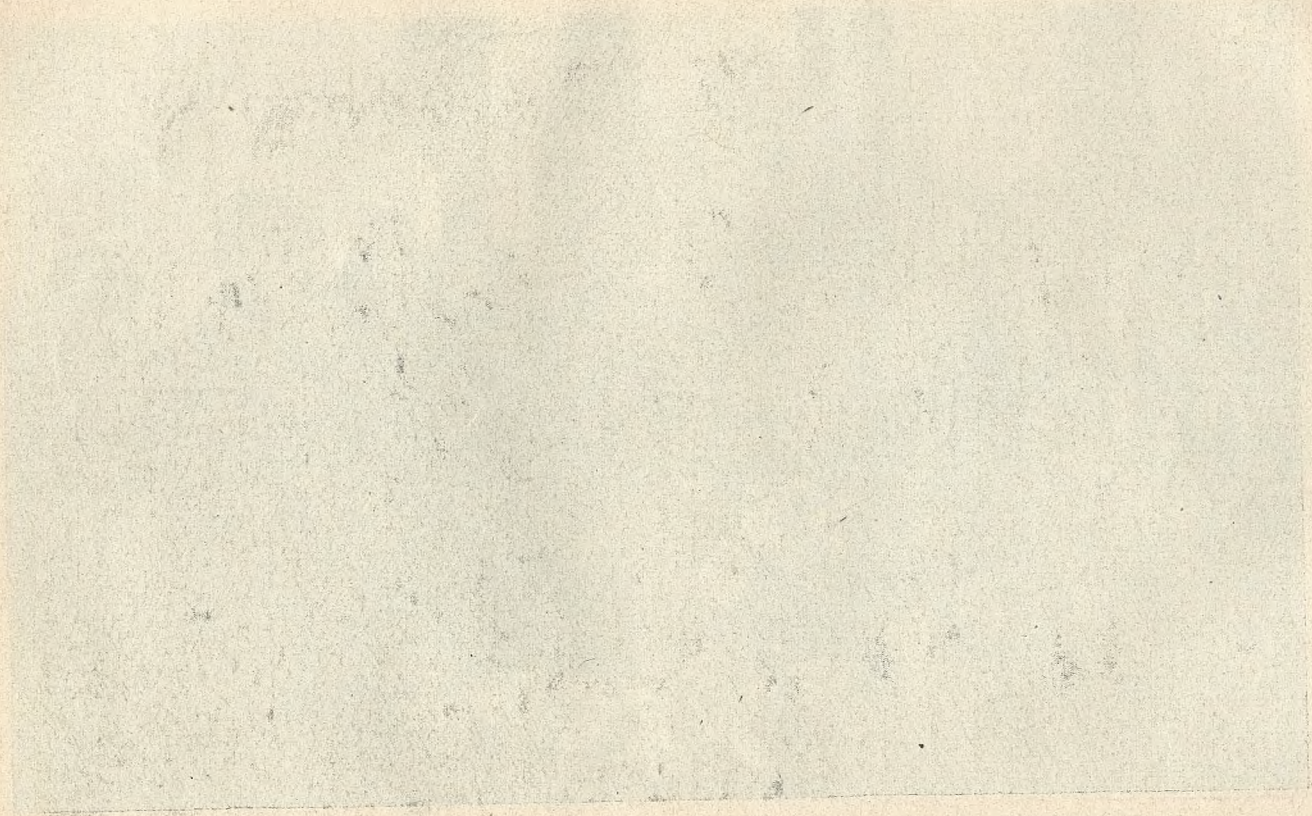
Księg. Robotnicza Warszawy

3. 8. 34. cena 3 gr.





Odślonięcie pomnika Marji Paszkowskiej na Powązkach.



THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS

T R E Ś Ć:

	Str.
Od Redakcji	1
I. Wspomnienia o Marji Paszkowskiej.	5
Kazimierz Pietkiewicz. Marja Gertruda Paszkowska	7
Ludwik Krzywicki. W poszukiwaniu drogi	39
Genowefa Reverelli. Wspomnienia siostry.	61
Dominik (Miroslaw) Rymkiewicz. Wspomnienia nauczyciela „Marji”	66
Stanisław Posner. „Gintra”	69
Józef Grabiec. „Technika” Marji Paszkowskiej.	74
Jan Rutkiewicz. Towarzyszka „Gintra”.	78
K. Pobojevska - Rógowa. „Hetmanica”.	82
Helena Sujkowska. Moja pierwsza praca w P. P. S. pod kierunkiem Marji	87
Stanisława Woszczyńska. Ze wspomnień o Marji Paszkowskiej	91
Jan Krzesławski. Marja jako staruszka	96
St. Andrzej Radek. Zbuntowani bojowcy.	102
Marja Chmieleńska. Marja jako urzędniczka	109
II. Wspomnienia Marji Paszkowskiej	111
Dziwny człowiek	113
Ucieczka. Mój udział w wykradzeniu Józefa Piłsudskiego	116
Aleksander Malinowski w więzieniu i organizowanie ucieczki	119
Ekspedycja i kolportaż bibuły	126
Jak się wy dostał Aleksander Malinowski z Cytadeli warszawskiej	129
Pierwszy maja 1907 r. na Serbji	132

SPRAWOZDANIE

KOMITETU UCZCZENIA PAMIĘCI

MARJI PASZKOWSKIEJ

Komitet zawiązał się w styczniu 1926 r. i składał się ze stu osób.

Na posiedzeniu w dniu 3 marca 1926 roku została wyłonią Egzekutywa, w której skład weszły następujące osoby: Chmieleńska Marja, Gumpłowiczowa Cecylja, Kempnerówna Celina, Kowalewska Halina, Paschalska Hanna, Podgórska Stefanja, Pietkiewicz Kazimierz, Rutkiewicz Jan (senior), Uziembłowa Antonina, Wasilewski Leon, Węglewska Marja i Woszczyńska Stanisława.

Komitet rozpoczął swą działalność od urzędzenia akademji. Z rzeczy, zaprojektowanych na pierwszym posiedzeniu Komitetu, udało się wykonać (ze zwłoką, spowodowaną szczupłością funduszków, którymi Komitet rozporządzał) następujące:

Umieszczenie w Wydziale Kobięcym P. P. S. płaskorzeźby, wykonanej przez p. Nałkowską.

Wzniesienie nagrobka, wykonanego z granitu, otrzymanego od Magistratu z rozbiórki Soboru.

Wydanie książki pamiątkowej p. t. „Życie i praca Marji Paszkowskiej”.

Oddajemy w ręce ogółu wydawnictwo, podwójne mające spełnić zadanie.

Jest ono, przedewszystkiem, — skromnym, niestety — hołdem wdzięczności dla Tej, która ani na chwilę nie przestała służyć wielkiej Sprawie Wyzwolenia Polskiego Ludu Pracującego i uczynienia go czołową siłą w zmaganiu się Narodu o Niepodległość. Powinno być ono jednocześnie źródłem, z którego należy czerpać naukę i przykład, jak się idzie przez życie — wytrwale, niezłomnie i ofiarnie — ku urzeczywistnieniu najukochańszych ideałów.

Ruch socjalistyczny w Polsce, jak każdy ruch, kierowany wielką Ideą Rewolucyjną, ma w swoich dziejach szereg postaci świetlanych — swoich świętych, apostołów i męczenników, których „Żywoty” posiadają moc twórczą, zapładniającą szlachetnym entuzjazmem szerokie rzesze wyznawców. Kunicy i Waryńscy, Luśnie i Bajowie - Jędrzejowscy, Mireccy i Okrzeje, Sulkiwicz i Praussowie — oto ułamkowy zaledwie szereg Wielkich Duchów, których prace i czyny opromieniają nam drogę do zwycięstwa naszej Idei. Postać Marji Paskowskiej nie ostatnie w tym szeregu zajmie miejsce...

Najmłodsze pokolenie towarzyszy i towarzyszek, działające w warunkach państwa niepodległego o ustroju republikańskim i demokratycznym, korzystające z powszechnego głosowania, wolności prasy, zgromadzeń i wszelkiego rodzaju organizacji, najczęściej nie zdaje sobie sprawy z tego, czem była praca partyjna za czasów caratu w zaborze rosyjskim. Zamiast dzisiejszych szerokich organizacji masowych, odbywających swe zgromadzenia, konferencje i zjazdy zupełnie otwarcie i jawnie, istniały drobne, ściśle zakonspirowane kółka i luźne „stosunki”, z niesłychanym wysiłkiem podtrzymywane przez garść straceńców, na których olbrzymia większość społeczeństwa patrzyła jak na warjatów, jeśli nie zbrodniarzy, będących

nieszczęściem kraju. Zamiast jawnych dzienników i tygodników partyjnych, odezw i plakatów, mieliśmy parę, tajnie wydawanych, rzadko wychodzących, pisemek, których rozpowszechnianie pociągało za sobą ryzyko długoletnich kar więziennych. Zamiast jawnych lokali partyjnych i związkowych, ogniskujących dziś życie polityczne, zawodowe i kulturalne towarzyszy, istniały szczupłe, z niesłychanym trudem wyszukiwane, pokoiki t. zw. „sympatyków”, gdzie się mówiło przyciszonym głosem. Życie szczutego psa — nieuniknione więzienie — potem krótsze lub dłuższe zesłanie na odległe kresy Rosji azjatyckiej, jeśli już nie na katorgę — oto były zwykłe etapy kariery działacza partyjnego za czasów caratu.

Na tem tle dopiero występuje z całą wyrazistością wielostronny obraz życia takiej działaczki, jak Marja Paszkowska. W owej dobie działalność partyjna wymagała nie tylko świadomości socjalistycznej, nie tylko przywiązania do ukochanej idei, ale jaknajbezwzględniejszego poświęcenia się i samozaparcia. Warunki ówczesne domagały się przedewszystkiem charakterów, czystych jak łza, hartownych jak stal. To też **charakter** był ową główną cechą, znamionującą świętych, bohaterów i męczenników naszego ruchu doby konspiracyjnej.

Takim charakterem była i Marja Paszkowska. Poświęciła się ona bez żadnych zastrzeżeń pracy rewolucyjnej i jej w ofierze złożyła całe swe życie, wykreślając z niego wszystko, co nie było służbą dla ukochanej Sprawy. Zabiła w sobie pragnienie szczęścia osobistego, wszelką dążność do dobrobytu czy wygód. Żyła jak nędzarka, odmawiając sobie rzeczy najkonieczniejszych, byle móc pracować dla urzeczywistnienia celów tej Partji, której losy z własnymi losami nazawsze związała.

A wybierała sobie jedynie te działy pracy, które były najmniej ponętne, najwięcej powodowały trosk i kłopotów, największem nieraz groziły niebezpieczeństwem. Gdy trzeba było dbać o rozpowszechnienie „bibuły” — Marja organizowała zastępy „dromaderek” — nieraz niedoświadczonych i niesforowanych — trzymała je w ryzach i tak umiejętnie nimi kierowała, że Partja chlubić się mogła swoją techniką kolporterską. Gdy trzeba było wynajdywać mieszkania na zebrania, biura czy zjazdy — Marja zawsze umiała wyzyskać w tym kierunku dobrą wolę „sympatyków”. Przy organizowaniu pomocy więziennej dokonywała cudów zapobiegliwości, przynosząc ulgę

setkom ofiar siepaczy carskich, jak również rodzinom tych ofiar. W dobie licznych procesów politycznych, grożących katorgą, często zaś i szubienicą, Marja organizowała pomoc adwokacką. Od uciążliwego gromadzenia pieniędzy aż do pomyślowego urządzania ucieczek skazanym towarzyszom — wszystkie dziedziny najbardziej odpowiedzialnej roboty partyjnej były wykonywane przez Marję z jednakowym spokojnym zapalem i jednakowym poświęceniem.

Nieraz upadająca ze zmęczenia ustawicznym dreptaniem po mieście w sprawach partyjnych, zajmujących cały jej czas po za lekcjami, z których żyła, wydawała wskazówki „dromaderkom” i pakowała broń dla bojowców lub docierała do źródeł wiadomości o skazańcach w Cytadeli. Największem zaś dla niej było nieszczęściem, kiedy musiała na czas jakiś zaprzestać pracy partyjnej, najczęściej z powodu skompromitowania się wobec policji, kiedy Partja była zniewolona ją ze względów bezpieczeństwa usuwać.

Wyrzucona przez władze carskie za kordon — do Krakowa, w warunki życia konstytucyjnego, obce konspiracji, Marja znalazła natychmiast zastosowanie dla swej energii. Zaopekiewała się emigrantami politycznymi i w tej dziedzinie dokonywała prawdziwych cudów. Mając do czynienia z ludźmi wykolejonymi, zdenerwowanymi, nieraz ulegającymi demoralizacji w nędzy emigranckiej, radziła sobie ze swymi „aszantami”, jak ich nazywała, cudownie, broniąc ich przed głodem i policją austriacką, a często i przed upadkiem moralnym. Z zupełnem samozaparciem wyżebrywała środki na utrzymanie „Komuny” emigranckiej, narażając się nieraz na bolesne objawy chamstwa ludzkiego.

Podczas wojny zajęła się dziećmi robotniczymi, sierotami po legionistach, którzy poszli walczyć o ziszczenie tych ideałów, którym Marja przez całe życie służyła.

Urzeczywistnienia znacznej ich części doczekała się nareszcie. Zmarła w niepodległej, demokratycznej Rzeczypospolitej Polskiej, a tłumny udział robotników, podążających za jej trumną, pokrytą kwiatami, świadczył wymownie, że praca całego jej życia nie poszła na marne, i że Proletariat Polski zachował we wdzięcznem wspomnieniu jej świetlaną postać.

Na cmentarzu Powązkowskim wznosi się pomnik Marji Paszkowskiej. Ta bryła granitu, w której wykuto nazwisko zmarłej Działaczki, pochodzi z rozebranego pomnika niewoli, mającego świadczyć na wieki, że Polska skrepowana, upokorzona, leży u stóp najeźdźcy. Jednak ów pomnik hańby znikł bez śladu z największego placu Stolicy, a drobny jego szczątek stał się kamieniem nadgrobnym dla Tej, która oddała swe życie walce z najeźdźcą... O dumnie wzniesionym po nad Warszawą złotogłowym soborze rychło zapomną ludzie, nawet jej współcześni, ale nad grobem Marji w najdalsze pokolenia będzie unosić się wdzięczność serdeczna dla niezapomnianej Bojowniczkii o Wolność i Sprawiedliwość.

WSPOMNIENIA
O MARJI PASZKOWSKIEJ

KAZIMIERZ PIETKIEWICZ.

MARJA GERTRUDA PASZKOWSKA

Życie człowieka, zasłużonego w sprawach społecznych, bohaterownika o lepszą dolę ludzką, tem bardziej, jeśli trudy jego i ofiary zostały uwieńczone powodzeniem, przedstawia duży interes dla następnych pokoleń — jest ciekawsze niż powieść zmyślona. Wraz z tem życiem odchodzi w przeszłość i zapomnienie cała epoka historyczna, tak różna i niepodobna do nowych, wywalczonych warunków, a o której pamięć zachować należy. Bo wszak na przeszłości kształtują się nowe pokolenia, a wszystkim nam zależy na tem, by ludzi zasłużonych i użytecznych było jaknajwięcej.

Nie chcemy jednak robić z Marji Paszkowskiej jakiegoś ogólnego wzoru do naśladowania. Każdy czas ma swoich ludzi. Ani idealizować, ani wyolbrzymiać postaci Paszkowskiej nie mamy również zamiaru. Niech pozostanie jaką była, ze słabościami ludzkiemi, skromna i oddana ideałom, dla których żyła. Ani genjuszem, ani „nadczołowiekiem“ nie była i pretensyj w tym kierunku nie wykazywała, pomimo że niegdyś, w jej młodych latach, „genjusz“ i „nadmłódzie“ byli w wielkiej modzie.

Tem większego też znaczenia wobec szerokich mas nabierają postać i zasługi Paszkowskiej, gdyż wykazują dobitnie, że do tworzenia rzeczy wielkich nie koniecznie potrzeba jakichś nadzwyczajnych uzdolnień, niedostępnych dla zwykłego śmiertelnika, że budować przepiękne gmachy przyszłości mogą ludzie o zdolnościach przeciętnych, jeżeli tylko potrafią ocenić i wyróżnić twórcze plany architektów społecznych, by w myśl ich stanąć do szeregu ramię przy ramieniu — i wytrwać. Nie jest to rzeczą łatwą ocenić twórców i zrobić wybór.

Architektami społecznymi byli w tym czasie—Abramowski (II-gi „Proletariat” i PPS.), Balicki (kierunek narodowy), Róża Luksemburg (Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy), Piłsudski (kadry bojowe i Legjony)... Drogi ich szły w różnych kierunkach i wiodły do różnych wyników. Było co oceniać i z czego wybierać... A tam, jeszcze dawniej, gdy przyszła pracownica na niwie społecznej dopiero kształtowała swe poglądy, a młody ruch wyzwolenieczy stawiał pierwsze śmiałe, choć jeszcze nieudolne, kroki i ponosił klęski, kiedy idee, nawiane z Zachodu na obszary Caratu, rozkołysały i wyzwoliły umysły, a rozbudzone myśli krzyżowały się jak miecze, gdy błąkano się, szukając dróg i szkicowano pierwsze niepewne zarysy przyszłych konstrukcyj—w tym czasie jeszcze trudniej było wybierać. Marja, naówczas młode, ujmujące dziewczę, zasłuchana w poszumy idej i sprzecznych myśli, szukała we własnem sercu i sumieniu należytej ich oceny. W dziedzinie podświadomości przy pomocy służebnicy — logiki kształtowała się jej dusza, określała się przyszła jej wartość... Dziedzina podświadomych uczuć w ich stadium początkowem nie jest zasługą osobistą człowieka, jest spuścizną po przodkach, świadectwem ich cnót czy też grzechów. Z tem się przychodzi na świat, i dopiero na tem tle genetycznem rozpoczyna się tkanina oddziaływań kulturalnych; najprzód wyszywa swoje trwałe desenie kultura rodzinna w postaci najbliższego otoczenia, a dalej szeroki świat z jego prądami umysłowemi i logiką tendencyj historycznych dosnuwa warstwy nowych barw i rysunków, jakie może na tem podłożu wytkać. Rola matki w kształtowaniu się duszy dziecka jest ogromnego znaczenia. Dlatego też, czcząc czyjeś zasługi, oddajmy również cześć jego matce.

Marja, córka rodziny szlacheckiej herbu Zadora, ujrzała światło dzienne w Kowieńszczyźnie w epoce ostatniego powstania polskiego. Jej ojciec, niegdyś właściciel ziemski, był dzierżawcą, następnie zaś rządcą majątku. Rodzice, początkowo „średniej zamożności”, później znacznie zubożeli i zmuszeni byli przenieść się dla kawałka chleba w głąb Rosji. Małą Marylkę pozostawiono pod opieką babki w Wilnie. Ta była osobą wielce surową i religijną. Umieściła Marylkę w Instytucie dla panien pochodzenia szlacheckiego, znajdującym się pod protekcją carowej. Wymagała od wnuczki wielkiej obowiązkowości, wysyłając ją na lekcje nawet wówczas, gdy była na-

prawdę chora. Ze swej strony Marylka, jak sama o sobie wspominała, była dość krnąbrną i samowolną. Uczyła się dobrze, miała same dobre stopnie i Instytut ukończyła chlubnie. Mawiała o sobie, że w tym czasie była „wielką dewotką”.

Najwcześniejsze lata dzieciństwa w domu rodziców dały jej pierwsze pojęcia o dobrem i złem, uwarstwione na podścieleisku podświadomego świata odziedziczonych instynktów i uczuć. Wilno zasnęło to wszystko pierwszymi pojęciami społeczno-politycznemi, wytworzyło z niej „kresówkę”. Był to czas, kiedy w powietrzu drgały jeszcze echem „cichy płacz kobiecy i długie nocne rodaków rozmowy” po zamordowanych rycerzach, powieszonych bojownikach i obrońcach, kiedy kraj, zrujnowany i powalony pod buty najeźdźcy, przycichł i jakby zamarł. Jeżeli ciężko było po powstaniu w Kongresówce, tem ciężiej było na kresach. Tu ruina materialna i wszelka inna była większa, pastwienie się bezwzględniejsze, a demagogia siepaczów carskich znajdowała grunt podatny nie tylko w przeciwieństwach klasowych, ale też w religijnych i narodowościowych. Łatwiej tu było rozdzielać, by panować.

Ktoby nie uwzględnił walk o polskość na kresach, nigdy by nie zrozumiał ani duszy Paszkowskiej, ani tych wszystkich kresowców, którzy przodowali na różnych polach walk w Polsce. Ludzie o psychice dominująco polskiej, oporni i wytrwali, pomimo strat materialnych i pokus renegactwa, mieli tam szczególnie ostre przeżycia na tle dziejących się dokoła krzywd, tem trudniejsze do zapomnienia i głębsze, że porywy oburzenia musiały być tłumione w poczuciu zupełnej bezsilności. Wileński więc okres rozwoju Paszkowskiej ukształtował ją na zdecydowaną patriotkę polską. Ujemne oddziaływanie szkoły niwelowały wpływy środowiska, w którym żyła. Religijność jej w tym czasie miała również duże znaczenie, bo, chociaż wiara, jako światopogląd, może ulegać wielkim zmianom, ale jej treść humanitarna i poczucie obowiązku ofiary i poświęcenia pozostawiają stały ślad w umysłowości w postaci utorowanych dróg nerwowych, które już nigdy nie mogą być całkowicie przekreślone. Rodzony brat Marji, ulegając oddziaływaniom otoczenia, stał się czemś całkiem różnem od swej siostry. Oddany przez ojca do gimnazjum w głębi Rosji, gdy przeszedł na chleb własny, utracił bezpośredni kontakt z rodziną, ożenił się z Rosjanką i dla kultury polskiej został na zawsze stracony.

Jeszcze w czasach wileńskich Marja spotykała socjalistów. Imponował jej bardzo Leonard Rymkiewicz, agitujący w Wilnie w swoim mundurze oficerskim. Jaki jednak wówczas był jej stosunek do socjalizmu, trudno coś pewnego o tem powiedzieć. Staje się wyraźną socjalistką dopiero w trzecim okresie swojego rozwoju — petersburskim.

Najprzód Marja, potem zaś i siostra jej, Genowefa, wstąpiły na wyższe żeńskie Kursa Bestużewskie w Petersburgu, ale wakacje spędzały w Wilnie, zachowując w ten sposób kontakt z krajem. Kursa Bestużewskie zaznaczały się radykalizmem uczących się, z których grona wyszła już niejedna działaczka społeczna. Poza tem Petersburg, stolica państwa, gromadził w swych uczelniach studentów ze wszystkich obszarów i zakątków Rosji, w młodych zaś ich umysłach odbijały się nastroje i kierunki, nurtujące społeczeństwo. Potężna, zdawało się, „Narodna Wola“ leżała powalona i unicestwiona. W murach Cytadeli warszawskiej dogorywał jej polski sojusznik — „Proletariat“. Był to zatem czas pozornej ciszy politycznej, maskującej proces dojrzewania nowych sił, krytyki dawnych dróg i wytykania nowych.

Młodzież polska w Petersburgu dzieliła się wówczas na dwa obozy — narodowców i socjalistów, utrzymujących ze sobą stosunki. Pierwszy z nich — z Zygmuntem Balickim i Aleksandrem Więckowskim na czele — zwano „Ujeżdżalnią“. Paszkowska bywała u przedstawicieli obu grup, nie decydując się na którykolwiek z tych kierunków. Ponad to miała wiele znajomych wśród rosyjskiej młodzieży radykalnej. Zarówno u Rosjan, jak i Polaków - socjalistów podstawy teoretyczne przedstawiały się dość mętnie i chaotycznie — częstokroć jako mieszanina poglądów marksistowskich z bakuninowskimi i ludowcowemi. Poza tem radykalizm poglądów, szczególnie u Rosjan, rozciągał się nie tylko na sprawy społeczno-polityczne, ale i na wszelkie inne, jak religijne, płciowe, towarzyskie, obyczajowe i t. d. Nad wszystkim stawiano znaki zapytania: „po co?“, „dlaczego?“. Nieznalezienie odpowiedzi uważano za rozstrzygnięcie negatywne. Był w tem rozpęd krytyczny, mający swe źródło w niedawnym nihilizmie, krytykującym i druzgoczącym stare zasady społeczeństwa rosyjskiego. Naturalnie, że nie wszystko rozstrzygano umiejętnie i słusznie, tem bardziej, gdy chodziło o jakieś skomplikowane zjawisko, trudne do

ujęcia. W ostateczności decydował świat wrodzonych i wytworzonych uczuć, które w masie młodzieży musiały być wielce rozmaite — od wysokich plusów do niskich minusów. Biegunowym stanom psychicznym odpowiadały biegunowe różnice czynów.

Spędzając wakacje w Wilnie, Marja natrafiła na ludzi podobnie biegunowo usposobionych. Pewien młody człowiek wielce radykalnych poglądów gromadził młode dziewczęta, by je rewolucjonizować. Właściwie jednak zajmował się ich deprawacją. Jest przysłowie ludowe: „dobrego i karczma nie zepsuje, a złego i kościół nie naprawi”. Zaznacza ono rolę kierowniczą instynktów moralnych w naszych postępkach. Marję „karczma” nie zepsuła, ale doświadczenie wileńskie zaważyło na całym jej życiu. Obrzydziło ono w jej oczach wszelkich zalotników i nastroiło pesymistycznie do mężczyzn wogóle. Miała wielce idealne pojęcie o stosunku, jaki powinien być między mężczyzną a kobietą, w życiu zaś tego nie znajdowała. Wszystko to sprawiło, że, pomimo kształtnej, ujmującej postaci i miłej twarzy, pozostała na zawsze, jak się dziś mówi „samotną”. Wszelka niewierność małżeńska i życie rozwiązałe miało w niej zawsze surowego sędziego. Zaznaczyć należy, iż były one zjawiskami rzadkimi, piętnowanymi przez ogół rewolucyjnej młodzieży bardzo surowo, bo, aby stanąć w szeregach wojowników o lepsze jutro, już to samo wymagało instynktów moralnych ponad przeciętny poziom.

Okres więc petersburski odegrał ważną rolę w rozwoju intelektualnym Marji, dał jej znajomość ludzi i ich spraw, zapoznał z typami działaczy polskich i rosyjskich, uczynił z niej socjalistkę bez platformy partyjnej (bo partje polityczne wówczas nie istniały), na zakończenie zaś udzielił jeszcze jednego doświadczenia, wielce ważnego w państwie carów, mianowicie więziennego. Policja aresztowała jakichś studentów i przy tej sposobności zahaczyła również Marję. Poważniejszych procesów politycznych w tym czasie nie było, sprawa więc skończyła się dla niej prawie półtorarocznem więzieniem śledczem w t. zw. „Domu przedwarytelnawo zakluczenia”. W następstwie wydano ją zarówno z Kursów, jak i z Petersburga. Paszkowska więc przybywa do Warszawy, wstępuje na kursa akuszersyjne, kończy je, poczem osiada w mieście tem na sta-

łe, utrzymując się dawaniem lekcji, szczególnie języka rosyjskiego.

W tym czasie w całej Polsce, we wszystkich trzech jej zaborach, nie było wcale partyj socjalistycznych. Ostatnią próbę wskrzeszenia dawnego „Proletariatu” z jego programem i taktyką, podjętą przez grupę Ludwika Kulczyckiego, policja zlikwidowała prędko i doszczętnie. Młodzież jednak usposobiona radykalnie ciążyła ku sobie w życiu towarzyskiem.

Było to w końcu 9-go dziesięciolecia zeszłego wieku. Rozwijająca się tajna praca oświatowa. Ludwik Krzywicki wykladał nielegalnie studentom i młodzieży inteligenckiej nauki społeczne w różnych mieszkaniach prywatnych. Broszura T. T. Jeża „Rzecz o obronie czynnej i o Skarbie narodowym” zapoczątkowała ożywienie w ruchu narodowców. Istniała, nie przejawiając się na zewnątrz, Liga Narodowa (późniejsza N. D.) z podkomendnym jej „Związkiem Młodzieży Polskiej”. Tygodnik „Głos”, organ narodowców, redagowany przez Marjana Bohusza (J. K. Potockiego) i J. L. Popławskiego, grupował wokoło siebie młodzież „narodową”, zwaną przez nas „głosowcami”. „Głos”, początkowo socjalistyczno-ludowy, w którym współpracowali również i marksiści, z biegiem czasu wyzbywał się powłoki socjalistycznej, ujawniając coraz bardziej treść wszechklasowo - narodową. Marksisci ogniskowali się przy „Prawdzie” A. Świętochowskiego, w której pisywali Ludwik Krzywicki i Zygmunt Pietkiewicz. Polemiki teoretyczne między temi dwoma organami, stale zaostrzając się, zakończyły się nareszcie urazami osobistymi i niechęcią.

W ówczesnym ruchu towarzyskim i kółkowym o zabarwieniu socjalistycznym zaangażowane były w różnym stopniu kobiety: Stanisława Motzówna (późniejsza Abramowska), Jadwiga Szczawińska (późniejsza Dawidowa), Zofia Małyszczycska (późniejsza Potocka), Jadwiga Chrzanowska (późniejsza Warszawska), Jolte (późniejsza Wasilkowska), Krysia Wolska, Czartoryska, Kreczyńska, starsze niewiasty — p. Pobojevska i Jahołkowska oraz inne. Z biegiem czasu rozeszły się one po rozmaitych drogach społecznych.

Właśnie ten dość ożywiony ruch społeczny wśród młodzieży skłonił Paszkowską do pozostania w Warszawie na stałe. Początkowo jednak nie miała powodzenia. Swoim petersburskim zwyczajem bywała w obu obozach — u narodowców

i u marksistów, zarówno u Popławskich, jak i u Krzywickich (Krzywicka była jej koleżanką z Petersburga). Tego rodzaju tolerancja, naturalnie, podobać się nie mogła stronom zwaśnionym. Na dobitkę — rozesła się pogłoska, że Marja w każdym z wrogich obozów opowiada, co się dzieje w obozie przeciwnym. Straciła przez to wiele na opinii i ufności ludzkiej.

Rzadko kiedy o ludziach i ich sprawach miewamy sądy własne, najczęściej posługujemy się cudzem zdaniem, nie mając czasu lub możliwości sprawdzać. W opinję złą wierzymy najłatwiej. To też przez długie lata nie dopuszczaliśmy Paszkowskiej do organizacji ściślej (gdy się rozpoczęła robota partyjna) w obawie, że jest za gadatliwą. Przemożna plotka zrobiła swoje. Natomiast chętnie korzystaliśmy z usług Marji w różnych sprawach bieżących. Pełniła więc rolę tylko „pomagierki” naszej przez lat kilka aż do czasu zorganizowania się PPS.

Była w tem szczególna, sprzyjająca logika wypadków, zachowująca jej siły na przyszłość i pozwalająca jej ponadto nabrać doświadczenia w sprawach potrzeb i wymogów ruchu wyzwolenczego. Gdyby się była wówczas bardziej zaangażowała w robocie partyjnej, uległa by zapewne losowi innych jej uczestników (aresztowanie lub emigracja), a wycofana w ten sposób z ruchu, nie spełniłaby tych ważnych i doniosłych zadań, które w przyszłości miały stać się jej udziałem.

Walka wyzwolencza została wznowiona i zorganizowana dopiero wraz z powrotem do kraju młodziutkiego studenta z Genewy — Edwarda Abramowskiego. Było to, zdaje się, na początku 1889 czy też w końcu poprzedzającego roku. Abramowski miał wówczas jakieś 21 czy 22 lata i nie wyglądał wcale na męża przeznaczeniowego. Parę miesięcy przed tem był w Warszawie, zabrał Adolfa Warszawskiego do Genewy dla pertraktacyj z emigrantami w celu pozyskania grupy marksistów warszawskich na rzecz ewentualnej partji, a gdy się to nie udało, wrócił, by bez ich pomocy wznowić jeszcze raz „Proletariat”. Przyjazd Abramowskiego stał się chwilą przełomową w ruchu wyzwolenczym, o wielkiem, w dalszych konsekwencjach wszechświatowem znaczeniu. Odtąd ruch ten nie miał już ustać ani na chwilę. Mała bryłka, tocząc się i nabierając rozpędu, rosła, potężniała, aż w końcu zamieniła się w lawinę druzgocącą i potop.

Tą bryłką była ze wszech miar oryginalna indywidualność Abramowskiego. Przyjechał, by w stare miechy nazwy partyjnej wlać nową treść, która je w końcu musiała rozsadzić. Przybył sam jeden, by wyzwąć na bój śmiertelną potęgę caratu, młodemi ramionami chciał wzruszyć bryłę świata...

Ilu nas na początku było? Najwcześniej — tylko nas dwóch, potem — Marcin Kasprzak. Poznawszy go w grupie Kulczyckiego, utrzymywałem z nim stałe stosunki. Potem przybył z więzienia pińskiego Bolesław Antoni Jędrzejowski („Baj” — ten pseudonim ja mu nadałem); trafił najprzód do Bohusza, ten zaś skierował go do mnie. Później przyłączyła się Stanisława Motz. W tym komplecie (pięciorga) ogłosiliśmy się potem jako Komitet Centralny „Proletariatu”. Pomagała nam Marja Paszkowska i parę innych, sympatyzujących z nami osób, nie zupełnie dobrze orjentujących się w tem, czego chcemy i do kąd dążymy.

Nasze początkowe stosunki robotnicze zaczynały się i kończyły na Kasprzaku z jego znajomościami w sferach fabrycznych i rzemieślniczych, mało nam znanych. Kółko Iwanowskiego, zorganizowane przez Abramowskiego i przezemnie, utraciliśmy, wpuszciliśmy doń swoich konkurentów, z którymi — sądziliśmy — że pójdziemy razem. Na robotę kółkową narazie nie mieliśmy czasu, tworząc partję i prąd polityczny. Dopiero później wyrobiliśmy sobie pracowników do prowadzenia kółek. Gdybyśmy w tym komplecie stanęli w jasnym słońcu i rzekli ludziom, by szli z nami burzyć carat i budować wolność, parsknęliby nam w twarz serdecznym śmiechem. Najsilniejsze argumenty nic by nam nie pomogły, bo ludzie naogół nie mają sądów własnych, a za nas nie ręczył nikt i nie świadczyło nic.

To też i próba Abramowskiego pozyskania grupy studentów marksistów - ortodoksów miała tylko ten skutek, że związali się oni w oddzielną, konkurencyjną względem nas, partję „Związek Robotniczy”. Polityki nie uznawali wcale, chcieli tylko walki ekonomicznej. Byli czemś w rodzaju „trade unionów” angielskich, rzuconych na pastwę caratowi. Naiwnością było z naszej strony myśleć, że potrafimy przekonać argumentami grupę zgraną, wyrosłą na ideologii jednolitej, mającą swoje autorytety, ambicje i wzajemne oddziaływanie. O ileż liczniejszą była ona od naszej! Byli w niej inteligenci: Janusz Tański, Leopold Bajn, Józef Beck, Dąbrowski (lekarz), Dębiński,

Wiślicki, Szapiro, Kuba Borowski, Stanisław Grabski, Adolf Warszawski i inni; z wyjątkiem ostatniego — sami studenci. Mieli już swoje kółka robotnicze i wykładali tam marksizm...

Pomimo to wzięliśmy inicjatywę ruchu w swoje ręce i nie wypuściliśmy jej aż do końca, wlokąc ich za sobą tam, kędy iść nie chcieli. Byli ignorantami w polityce, z nas zaś trzech brało udział jeszcze w starym „Proletariacie“, czwarty — w ruchu politycznym Poznania i Warszawy. Nie mieli umysłów twórczych, gdyśmy posiadali takiego twórcę, jak Abramowski, tak wyjątkowego robotnika, jak Kasprzak i taką kobietę-agitatorkę, jak Stanisława Motz.

Jednym z pierwszych naszych kroków śmielszych było urządzenie drukarni, co było wyłączną zasługą Kasprzaka, który zdobył czcionki przez znajomych zecerów. Drukarenka — najpierwotniejsza, z wałkiem ręcznym. Można było na niej odbijać odezwy i pomniejsze broszurki. Drukowali Kasprzak z Bajem, najprzód w mieszkaniu pierwszego, potem drugiego, następnie u Hulanickiego. Wpływy nasze i znaczenie rosły bardzo szybko. Uzyskaliśmy wkrótce w osobach szeregu robotników (Maciejewski, Olszewski, Józef Kowalski, Grekow, Juraszewski „Iwan“ i inni) kolporterów i uczniów. Sfery studenckie mało się nam poddawały, gdyż naogół w tym czasie szły za kierunkiem „związkowców“, zdobywaliśmy więc inteligentów poza niemi, jak np. Kochański, Weinberg, Kiersz, Hulanicki. Zresztą w wyborze ludzi byliśmy bardzo ostrożni. Z tego też powodu „związkowcy“ do końca swojego istnienia przeważali nad nami zarówno liczbą inteligentów, jak i zgrupowanych robotników. Masa ich jednak, gromadzona pod hasłem małej odpowiedzialności za działalność, już przez to samo niezdolna była do inicjatywy, ryzyka i czynów śmiałych. Drukarni w tym czasie nie mieli, kolportowali literaturę naszą i wogóle holowani byli przez nas. Nie zmniejsza to ich zasługi jako współuczestników rozwoju ruchu masowego w Polsce. Zaznaczyć przytem trzeba, że przy końcu swego istnienia taktyką swoją mało już od nas się różnili (poza hasłami politycznemi), co było wielkiem zwycięstwem Abramowskiego. Powodzenie i szybki wzrost zawdzięczaliśmy jeszcze innym czynnikom — pracy poprzedników naszych i efektom, pozostawionym przez nich w umysłach ludzkich. Nam się wydawało, że tworzymy wszystko na nowo po całkowitym upadku partyj poprzednich. A przecież trzech z nas brało udział w sta-

rym „Proletarjacie“, a pozatem nawet po takiej efemerydzie, jak grupa Kulczyckiego, odziedziczyliśmy też paru ludzi. Poza pozostałościami personalnemi, poprzednicy nasi pozostawili jeszcze pewną legendę o sobie, pewne zainteresowanie się sprawami walki i pewne niejasne nastroje. Po nich łatwiej było już budować dalszy ciąg ich pracy. Pozatem podkreślić należy wielkie znaczenie pracy przygotowawczej Ludwika Krzywickiego, jako pisarza i nauczyciela młodzieży.

Wzmógłszy się na siłach, zdobyliśmy w szerokich warstwach robotniczych Warszawy nietylko powagę, ale nawet posłuch. Dopieiliśmy tego szeregiem przeprowadzonych, gruntownie uprzednio przemysłanych, strejków, niemal bez wyjątku wygranych, dzięki którym położenie materialne robotników, biorących w nich udział, znacznie się poprawiło. Powaga imienia partji wzrosła o tyle, że wystarczała nasza odezwa, by wybuchł strajk. Ten zdobyty posłuch miał następnie zdecydować o powodzeniu u nas Święta Majowego. Bez niego nie udałooby się nam nigdy dopiąć tego pod caratem. Święto majowe przeprowadził „Proletarjat“ sam jeden i to wbrew zdaniu innych. W r. 1890 „związkowcy“ nie odważyli się nawet wzywać do świętowania. Potem było już jak z „jajkiem Kolumba“. Broszury majowe Abramowskiego nadały świętowaniu silne tło polityczne. W 1890 roku świętowała Warszawa, w 1891 Żyrardów i Warszawa, w 1892 Łódź i Warszawa, i odtąd tak już stale świętowano po kraju w coraz to nowych ośrodkach rok rocznie. Wytworzyliśmy nastroje bojowe i poddaliśmy jednocześnie odpowiednią taktykę. Zagraliśmy na duszach ludzi masowych melodję buntu, nauczyliśmy niewolnika rwać pęta...

„Proletarjat“ jednak, pomimo jednolitych wystąpień na zewnątrz, nie był takim w swoim wnętrzu. Jędrzejowski (lat około 23 w r. 1891), Kasprzak (lat około 35) i ludzie z grupy Kulczyckiego oraz stojący poza sferą ich wpływów, jak Kochański (lat około 30) i Perl (lat około 20) — ciążyli ku starym autorytetom i dawnej taktyce terrorystycznej. Kasprzak był uroczonym terrorystą, Baj — człowiek prostolinijny, pracowity, oddany sprawie i uparty — nie zrzekał się niczego, co raz był przyswoił i w co uwierzył. Żeśmy całą tę grupę utrzymywali przy sobie przez czas dłuższy (z górą dwa lata), zawdzięczaliśmy to talentowi i zdolnościom Abramowskiego, umiającego podporządkować ich ciężenia zasadzie masowego ruchu, spychać je na sta-

nowisko recesywne wobec ostatniej. Ale tak ciągle być nie mogło. Ich autorytety stale były u nich czynne i przy łada sposobności ciążenia ustępujące mogły stać się dominującami. Rozłam nastąpił latem 1891 r. Oni z rozpędu, oderwawszy się od nas, wpadli w anarchizm. Myśmy swojej grupie nadali nazwę „Zjednoczenia Robotniczego“, wyrażając w niej ciągłą tęsknotę naszą do łączenia strumieni rewolucyjnych w jeden prąd. Jako „Zjednoczeńcy“ pozostali przy nas: Jan Strożecki, Stanisław Wojciechowski, Maciej Rodziewicz z braćmi (pierwsi trzej studenci), Władysław Grabski (gimnazysta), Tylicki i inni. Część „związkowców“ wyraźnie ciążyła już ku Abramowskiemu. W charakterze oddzielnej partji przetrwaliliśmy tylko jakiś rok zgórą. Rolą historyczną „Zjednoczenia“ było przekazanie dorobku masowego ruchu — taktycznego i programowego — wyłaniającej się zeń PPS.

W ciągu tych czterech lat (od 1889 do 1892 włącznie) wypracowane zostały wszystkie niezbędne wartości realne dla ruchu masowego, ideologiczne i taktyczne, które legły jako trwałe fundamenty walki wyzwolenczej z caratem. I, chociaż trzeba je było ciągle udoskonalać, ale im tylko zawdzięczamy, że w dalszym ciągu zarówno mrówcza praca, jak i wybuchy energii, odwaga i ofiarność, nie szły już na marne, lecz wydawały pożądaną owoce. Uwieńczeniem i syntezą dorobku tych czterech lat stał się zjazd paryski 1892 r., na którym powstała PPS, wraz z jej programem niepodległościowym.

Marja Paszkowska, chociaż u steru spraw nie stała, czego jej zresztą losy nigdy nie udzieliły, przeszła przy nas dobrą szkołę i wyrobiła się przekonaniowo i taktycznie. Czynną była zawsze, pomagała gdzie mogła. Już wówczas przechowywała na składzie „bibułę“ i spełniała pewne zadania techniczne. Znając nas wszystkich, jak również „związkowców“, i czytając nasze wydawnictwa, bywała zawsze w toku spraw. Abramowskiego wielce szanowała i ceniła. Powiedziała mi kiedyś, że „z jego czoła promieniuje rozum“. Z żoną jego — Stanisławą Motz-Abramowską — łączyła ją szczerą przyjaźń. „Twardy charakter“ Paszkowskiej nie ujawniał się w obcowaniu towarzyskiem. Była zawsze grzeczna, uczynna, ruchliwa i dość wesoła. Jej wielkie poczucie obowiązku i surowe wymaganie tegoż od innych poznałem dopiero przy łożu śmiertelnym Stanisławy. Chodziło tam najprzód o ratowanie tej ostatniej, co by-

ło sprawą beznadziejną, następnie zaś o zapobieżenie samobójstwu Abramowskiego, zdawało się, nieuniknionemu. Stanisława zmarła na gorączkę połogową w r. 1892 w połowie lutego, Abramowskiego uratowaliśmy. Marja czuwała przy niej dnie i noce w przeciągu blisko dwóch miesięcy. Sypiała jak i kiedy się dało — przeważnie w pozycji siedzącej. Tylko rzadka wpadała na chwilkę do własnego mieszkania. W domu Abramowskich rządziła niepodzielnie, my zaś wszyscy musieliśmy jej słuchać i pomagać. Była przy tem wielce względem nas wymagająca — szczególnie w sprawach zachowania niezbędnej czystości i antyseptyki. Uczyla nas myć i wycierać naczynia szklane tak, by naprawdę były czyste, nie zaś tylko z pozoru. Natomiast w sprawie ratowania Abramowskiego była nam najzupełniej posłuszną.

Marja też była mimowolnym powodem pierwszego mego wyspania się. Dn. 25 marca, t. j. już w jaki miesiąc po śmierci Stanisławy, wypadłszy w jakiejś sprawie na ulicę, spotkałem Marię, która mi powiedziała, że przy pewnej nocnej rewizji żandarmi dopytywali się o Grabowskiego i Rodziewicza. Pobiegłem ich ostrzec — i wpadłem. W domu Abramowskiego nie wiedziano, co się ze mną stało. Gdym blisko po roku opuścił gościnne mury X Pawilonu, zastałem już inne stosunki.

Z dawnych znajomych ze wszystkich trzech partyj („Proletariat", „Zjednoczenie" i „Związek") w Warszawie mało kto ucalał (Paszowska, Kochański, Szedlich), niemal wszyscy albo siedzieli w „ulu", albo wyemigrowali. Ale mas robotniczych żandarmi nie mogli zamknąć w więzieniu, i ruch żywiołowo rozwijał się dalej, nie ustając ani na chwilę. Znaleźli się nawet w tych masach ochotnicy, którzy na własną rękę próbowali wznowić organizację (np. Wieczyński — krawiec). Jednak z powodu braku doświadczenia i szerszej wiedzy oraz zgangrenowanej prowokacją atmosfery próby te nie rokowały dłuższego powodzenia. W tym czasie nadeszła wieść o zjeździe paryskim i broszura majowa Abramowskiego z hasłem niepodległości Polski. Zagranicą powstał „Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich", do Warszawy zaś przyjechał Janek Strożecki organizować PPS. w kraju.

Był to człowiek wielkiej wartości. Po przeszło dwuletniej praktyce u nas — przeważnie w charakterze agitatora i kie-

rownika kółek robotniczych, po ukończeniu prawa i służby wojskowej wyjechał na jakiś rok zagranicę, redagował po Stanisławie Przybyszewskim i Stanisławie Grabskim (a może razem z nimi), berlińską „Gazetę Robotniczą“, wziął udział w zjeździe paryskim, teraz zaś czekał go ciężki orzech do zgryzienia w Warszawie. O ile bowiem zagranicą sprawa połączenia partyj poszła (początkowo) dość gładko, w sferach jednak robotniczych w kraju istniały jeszcze dawne ciężenia i małogi myślowe, nadto zaś przybyli z zagranicy emisariusze Róży Luksemburg dla organizowania Socjał-Demokracji Królestwa Polskiego — Marchlewski, potem Wesołowski i Ratyński, którzy znaleźli pewną liczbę zwolenników, przeważnie w dawnych stóskach robotniczych („Związkowców“). Należało więc bardzo się liczyć z pewnemi nastrojami i uprzedzeniami wśród robotników i działac z wielkim taktem i ostrożnością pod groźbą utraty swej bazy pośród nich. Tego, zdaje się, nie odczuwano zagranicą, co było powodem dość ostrych starć organizacji krajowej ze „Związkiem Zagranicznym“.

Strożecki — wielce ambitny i może z tego właśnie powodu łatwo ulegający wpływow otoczenia, gdy wpadł w stóunki z grupą robotniczą, mocno zabarwioną wpływami związkowo - esdeckiemi, zaczął się wahać w swem stanowisku programowem między PPS. a S. D. K. P. W tej rozterce wewnętrznej raz mi się przyznał, że chce palnąć sobie w łeb. Odpowiedziałem na to żartem i drwinami — i to poskutkowało. W końcu powiedział sobie, że jest PPS-owcem i kwita! I potem już szedł stanowczo raz obraną drogą.

W poszukiwaniu ludzi przypomniat sobie Paszkowską i — po długiej z nią rozmowie — powiedział mi, że jest w niej wspaniały materiał na działaczkę i że wszystko, co o niej mówiono ujemnego, jest nieprawdą. Odtąd (mniej więcej od drugiej połowy 1893 r.) Paszkowska należała już, jako członek czynny, do P. P. S. i pozostała na tem stanowisku przez całe życie. Strożecki wypowiadał przedemną żal i pretensję o to, żeśmy go dawniej nie dopuszczali do kierownictwa partyjnego. Jak gdyby dla rewanżu — organizował teraz sam nową partję. Zresztą, byłem wtedy „pod dozorem policji“ i nie bardzo mogłem się udzielać ludziom. Wobec zasady konspiracyjnej, że wie się tylko o tem, co jest konieczne, która zaiste uratowała par-

tję w tych ciężkich, przeżartych prowokacją, czasach, nie wiem, kto był inicjatorem drukarni i organu partyjnego „Robotnika”.

CKR. PPS. wybrany został na konferencji w końcu 1893 roku, na której, po raz pierwszy w dziejach socjalizmu polskiego, mieliśmy przedstawicieli Litwy jako takich (Piłsudskiego i dwóch Tatarów — Sulikiewicza i Bielaka). Właściwie kierował wyborami Strożecki, bo on tylko znał wszystkich zebranych. Jednakże skład obranego komitetu pokazał się wprost fatalnym i skandalicznym. Oprócz Piłsudskiego i Janka nikt tam więcej nie nadawał się na tak odpowiedzialne stanowiska. Dwóch robotników — K. i B. — wybrano ze względów demagogicznych. Obaj — po aresztowaniu ich — wyszli z Cytadeli jako prowokatorzy, przyczem jeden przyznał się partji do tego, drugi zaś nie. Dwóch „narodowców” — Grabowskiego i Naake-Nakęskiego — wybrano ze względów dyplomatycznych. Wkrótce potem Grabowski zapowiedział, że obaj oni znajdują się w komitecie jedynie po to, by strzedz interesów „narodowych”. Wyglądało to, jak gdyby byli oni ręką „Ligi Narodowej” w P. P. S. Wsypali się obaj w sprawie „Głosowców”, a przy tej sposobności aresztowano również Strożeckiego. Nakęski, wypuszczony wkrótce za kaucją, nawet się nie zgłosił do partji, lecz umknął do Galicji. Pozostało z CKR. po aresztowaniach 1894 r. tylko dwóch ludzi: na Kongresówkę — dotychczasowy „zastępca” i dla Litwy — cekaerowiec Piłsudski.

Komitet redakcyjny „Robotnika” składał się ze Strożeckiego, „Żula” Grabowskiego, Nakęskiego i Piłsudskiego, o ile ten ostatni bywał w Warszawie w czasie posiedzeń. Strożecki stał na straży czystości zasad socjalizmu, Grabowski — czystości zasad narodowych, Nakęski — czystości zasad stylu i pisowni, — i tylko Piłsudskiemu o żadną specjalną „czystość” nie chodziło. Jako pisarz partyjny miałem z tym komitetem nielada ambaras. Jak w jakimś parlamencie wypadało lawirować między kierunkami oraz zagadnieniami praktycznymi. Jeszcze przed posiedzeniem trzeba było staczać z Jankiem Strożeckim prawdziwe batalie. Przeglądał rękopisy zawczasu, w miarę ich gromadzenia się, i ciągle się spierał, niespokojny o to, czy wypowiedane myśli nie stoją w kolizji — albo ze stanowiskiem, zajętem przez niego w kołach robotniczych, albo z powagami socjalizmu, lub też — czy nie wpadam w liberalizm. Ja zaś uważałem, że mogę pisać o wszystkim —

zabranionem w prasie legalnej, ponadto zaś odczuwałem potrzebę pewnych koncepcyj, które musiałem niekiedy poprostu przemycać. Gdy, wydrukowane, zyskiwały powodzenie, Strożecki godził się z nimi w zupełności i twierdził, że w druku jakoś o wiele lepiej wyglądają. Po wyklóceniu się ze Strożeckim czekała mnie nowa przeprawa na posiedzeniu komitetu. Zresztą bywało i tak, że komitet interesował się np. tylko tem, czy należy powiedzieć „chadzać“, czy „chodzić“.

„Robotnik“ od razu zdobył sobie wielkie uznanie, i nakład jego trzeba było ciągle powiększać. Umieszczona na Litwie drukarnia, do której nikt po za Piłsudskim drogi nie znał, odbijała nam również odezwy. Przez granicę, którą urządził genialny konspirator Sulikiewicz, szły swobodnie transporty „Przedświtu“ i broszur — przeważnie nowych wydań Abramowskiego, które służyły w coraz to nowych wydaniach aż do wojny światowej, stopniowo uzupełniane nowymi dodatkami. Wszystko to zaczęło wymagać specjalnej techniki dostarczania i przechowywania, to zaś znowu — specjalnych zasad konspiracji.

Wprowadziliśmy w życie nową zasadę: pracownicy techniki powinni być całkowicie izolowani zarówno od prac, jak i pracowników innych działów robót partyjnych. Poza doświadczeniem lat dawnych stosowaliśmy pewne nowe prawa, jak np.: nie wolno pisać listów w sprawach partyjnych (zasada Piłsudskiego); nie wolno wnosić ze składów „bibuły“ i wszelkiego materiału inaczej, jak ukrytych starannie pod ubraniem (przykład mój) i inne. Postanowiliśmy przy tem (projekt mój) rozszerzyć wiedzę i doświadczenie konspiracyjne na masy robotnicze, z którymi stosunki z powodu niewyrobienia tych mas bywały zawsze niebezpieczne. Również uznaliśmy za konieczne dawać właściwe pojęcie o losach tych, którzy się zasypią i dostaną się do X Pawilonu. O cytadeli bowiem krążyły wówczas różne straszne legendy jeszcze z czasów powstania i starego „Proletariatu“, co odstraszało masowców od udziału w organizacji. Legendy te należało rozproszyć i przyzwyczaić ludzi myśleć o tem, że będą kiedyś siedzieli w kozie. Wydaliśmy więc „Wskazówki dla agitatorów“, przeznaczając tę broszurę jako podręcznik dla zamierzonej „szkoły agitatorów“, która nie doszła do urzeczywistnienia wskutek areszto-

wań. Była to nowa broń, nowa metoda oddziaływania na ludzi w celu kształcenia ich na umiejętnych bojowników.

Technika nasza, rozrastając się automatycznie wraz z odpowiednią konspiracją, w miarę wzrostu potrzeb stawiała się stopniowo kręgosłupem organizacji. Ludzie jak liście z drzewa odpadali i wyrastali na nowo, ale ona trwała ciągle jak uzdolniony do wiekowego życia pień. Była czemś nowem w tej swojej trwałości. Zjawisko trwałości zawdzięczaliśmy wyrobionym zasadom konspiracji i doborowi ludzi. Mieliśmy świetnych konspiratorów, jak Sulkiewicz, Piłsudski i Paszkowska, a każdy z nich był człowiekiem odważnym (tchórz nie może być dobrym konspiratorem), posiadał niezbędne cnoty — cierpliwość, energję, ciągle napiętą uwagę i inne, zaś w swoim zakresie pracy wyspecjalizował się na znawcę. Cnoty te urabiały się w przeciągu długich lat celowych wysiłków, doświadczenia i nieustannego ćwiczenia zmysłów. Paszkowska nie byłaby sobą, gdyby jeszcze w Petersburgu nie przeszła więzienia, a w Warszawie — czteroletniej praktyki poprzedniej z ustawiczną troską o losy towarzyszy, stale narażonych na niebezpieczeństwo. Dzięki długiemu ćwiczeniu, konspiracyjne zachowanie się przychodziło nam łatwo, niemal odruchowo, podczas gdy dla nowicjuszy stanowiło sprawę ciężką i męczącą.

Pracownicy techniki, wbrew dotychczasowym przykładom, nabrali „długowieczności”. Piłsudski aresztowany był raz tylko, tak samo Sulkiewicz, „dromaderka” Paszkowskiej „Aniuta”, według słów własnych „pracowała bez urlopu trzyście lat”, nie zasypując się ani razu. Paszkowska była aresztowana poważniej też tylko raz jeden — wypadkowo i bez złych następstw, a nawet z dobrymi (o tem będzie niżej). A przecież ludzie ci co dnia narażali się na niebezpieczeństwo lub natykali się na nie najniespodziewaniej. Ale byli tak dzielnymi pływakami i mieli tak wyrobione metody, że z pośród raf i mielizn wychodzili zawsze cało.

Szczególniej stanowisko Paszkowskiej, dostarczycielki różnych środków walki sferom, bliskim peryferyj, a więc narażonym na łatwe wsypanie się, było wielce niebezpieczne i wymagające ciągłej troski o zabezpieczenie podwładnych jej „dromaderek” na wypadek „wsypy”. Chodziło więc — z jednej strony o wymyślenie sposobów dostarczania „bibuły” tak, aby

otrzymujący nie wiedział — kto i skąd mu ją przyniósł, z drugiej zaś — o takie wyszkolenie „dromaderek”, by wykonywały polecenia ściśle i punktualnie. To ostatnie zadanie bywało dla różnych pańienek bardzo trudne. Podobno łały się tam niekiedy łezki niewieście, ale serce Paszkowskiej było na to jak z kamienia. Z taką samą surowością wymagała od nich sumiennego i ścisłego wykonania poleceń, jak niegdyś od nas przy myciu szklanek. Za to — pańienki później nie płakały po więzieniach...

Praca Paszkowskiej — wysoce odpowiedzialna — wymagała z jej strony dużo rozumu i samodzielności. Zadaniu temu najzupełniej sprostała. Pomagały jej wielce stosunki i znajomości, nawiązane w ciągu długoletniego nauczycielstwa w Warszawie. Swoją trudną drogę partyjną rozpoczęła przy nas jako „mąż zaufania P. P. S.” Była to nowość organizacyjna, przywieziona przez Strożeckiego z Berlina. Zaiste Paszkowska zasługiwała na zaufanie i obdarzała niem wzajemnie Strożeckiego, Piłsudskiego i Sulikiewicza, których wielce ceniła.

Po wsypaniu się 5-ciu członków CKR. nie decydowaliśmy się kooptować nowych ludzi, zanim nie upatrzymy lub nie wyrobimy stosownych. Wkrótce, w roku 1895, zagarnęliśmy stosunki Socjal Demokracji Królestwa Polskiego w Zagłębiu po zupełnem rozbiciu tej partji przez żandarmów w r. 1894. Mimo wrogości względem nas esdeków, chętnie zasilaliśmy ich swoją literaturą broszurową. Bardzo jej byli łakomi, ale gniewali się, gdy znajdowali wewnątrz pieczęcie partyjne. Stosunki te zakończyły się wchłonięciem ich za pośrednictwem i pod wpływem na nich Stanisława Wojciechowskiego, który został w tym czasie specjalnie sprowadzony z Londynu z powodu mojego aresztowania w czerwcu 1895, by zajął opróżnione przezemnie miejsce w partji.

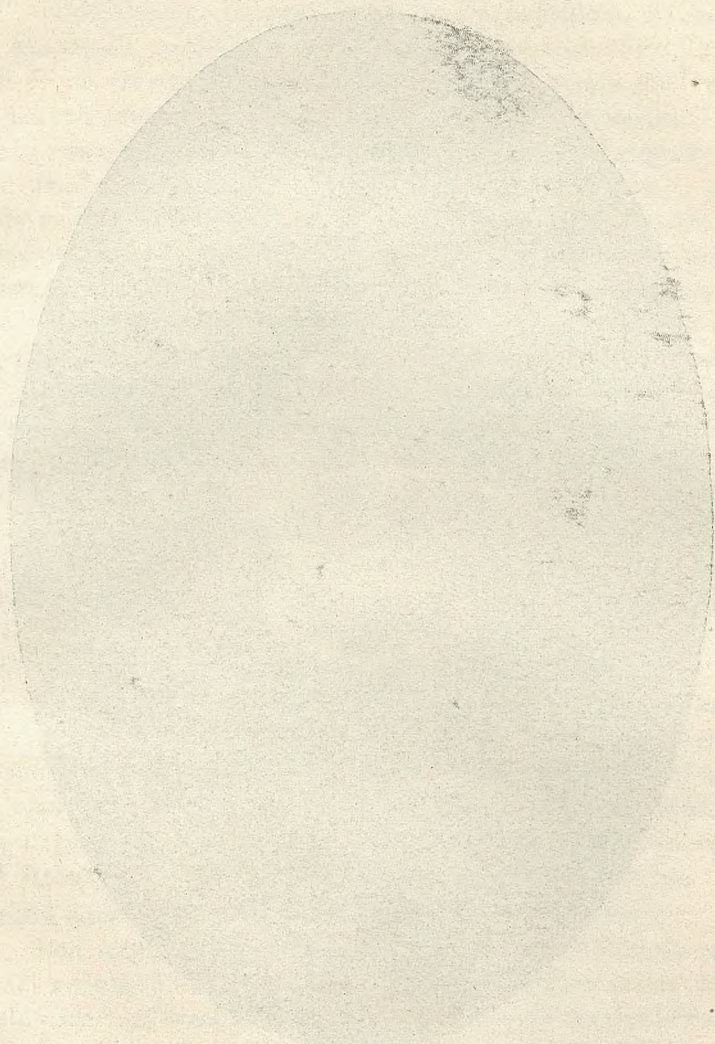
Ogólny zarys dalszego rozwoju PPS. do 1905 r. zaznaczył się stałym rozrostem stosunków i organizacji w coraz to nowych punktach kraju, co wyrażało się nazewnątrz strejkami i świętowaniem pierwszego maja. W miarę wzrostu sił proste porzucenie pracy w tym dniu zastąpiono manifestacjami ulicznymi. Robocie tej w kilka lat później poczęło towarzyszyć współzawodnictwo i wzajemne zwalczanie się ze wznowioną w roku 1899 S. D. K. P. — a na ten raz i L. (Litwy).

Pod względem narodowym socjalizm już oddawna przestał być czynnikiem wynaradawiającym i stał się unaradawiającym. Nawet prasa narodowo - mieszczańska spostrzegła znaczenie pod tym względem berlińskiej „Gazety Robotniczej”, oddziałującej na proletarijat w Poznańskim, na Śląsku i w kolonjach polskich w Niemczech. Podobnie oddziaływała P. P. S. na elementy robotnicze kresów i na grupy studenckie w różnych miastach rosyjskich. Nawet wśród rosyjskiej młodzieży rewolucyjnej zaczęto się uczyć języka polskiego, by poznać działalność i literaturę socjalizmu polskiego (znam przykłady z Petersburga, Charkowa i Syberji). W polskie zaś masy robotnicze i po części chłopskie ruch socjalistyczny zaniósł głęboko świadomość narodową, co ze względu na przyszłość było niezmiernie ważne. Gdy warstwy uprzywilejowane wpadły w ugodowość, klasa robotnicza wysoko dźwignęła sztandar niepodległościowy, a gdy przez stosunki robotników ze wsią i przez specjalną działalność partji poczucie narodowościowe przeniknęło i do mas chłopskich — od tej chwili można było być pewnym, że już nie „rozdziobią nas kruki, wrony”. Czynniki zadań narodowościowych ogromnie wzmógł siły socjalizmu polskiego. Uzyskalśmy szeroką sympatię, rozgłos, zainteresowanie się socjalizmem. Przed nami biegł entuzjazm, uniesienie, zapał... Wszystko to ułatwiało niezmiernie naszą walkę. Ale nie dlatego podjęliśmy hasła niepodległości. Leżały one w realnej i potencjalnej umysłowości mas — części narodu,—wypływając zarówno z przeszłości ich jak i ze współczesności, jako nagląca potrzeba. Hasło niepodległości wyrosło z socjalizmu polskiego, gdy nadszedł czas, jako organiczna jego część składowa. Tylko pod tem hasłem socjalizm zdolny był wytworzyć trójzaborową jedność ruchu i dążeń. Bez udziału socjalizmu nie byłoby dziś państwa polskiego.

Pod względem ekonomicznym socjalizm dał klasie robotniczej zwiększenie płacy, polepszenie warunków pracy i skrócenie czasu jej trwania. Pod względem społeczno-politycznym P. P. S. oddziaływała podniecająco na wszystkie partje opozycyjne i rewolucyjne całego państwa rosyjskiego. Wszędzie zapożyczano od P. P. S. utarte u nas drogi i środki walki. P. P. S. nie żałowała trudu, by rozbudzić ruch wśród innych narodowości. Wydawaliśmy odezwy po niemiecku i w żargonie, drukowaliśmy lub sprowadzaliśmy z zagranicy broszury białoru-



Marja Paszkowska w wieku młodzieńczym.



skie. Staraliśmy się przyczynić do powstania socjalistycznych organizacyj łotewskiej, litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej. Oddawaliśmy różne usługi rosyjskim grupom rewolucyjnym i dążyliśmy do wytworzenia takiej rosyjskiej partii socjalistycznej, któraby, uznając nasze dążności niepodległościowe, umożliwiła sojusz z nią P. P. S. W stosunku do zaborów pruskiego i austriackiego Polski osiągnęliśmy ustalenie wspólnego celu — niepodległości — i wspólnego przedstawicielstwa na kongresach międzynarodowych.

Jeżeli więc rzucimy okiem wstecz i stwierdzimy, jakiej potężnej fali P. P. S. stała się początkiem, wówczas dopiero ocenimy należycie znaczenie usiłowań i poświęceń takiej skromnej, cichej pracownicy, jak Paszkowska, która, pozostając w cieniu i ukryciu, pracą swoją dawała trwałość partii, bezpieczny jej kontakt z peryferjami i owocność usiłowań.

Marja nie była fanatyczką, odznaczała się zawsze tolerancją. Gdy spotykała „dobrego człowieka”, nie zrażała się jego poglądami i pozostawała z nim w przyjaźni. Dużo miała takich znajomych, i to jej potem dawało możność wykorzystywania ich dla celów P. P. S. Nawet esdeków umiała zużytkować. Tak np. posługiwała się w stosunkach ze mną Jankiem Pogorzelskim (młodziutkim zwolennikiem Róży Luksembur — jedynym inteligentem, zdobytym w Warszawie przez wysłanników Luksemburżanki, studentów szwajcarskich — Wesołowskiego i Ratyńskiego), posyłając go do mnie w sprawach partyjnych do Otwocka. On się nawet nie domyślał, że służy PPS.

Wśród takich znajomych wyróżniali się oryginalnością małżonkowie Lichtańscy, właściciele czytelnicy przy ul. Chmielnej nr. 23 m. 2 — parterowe dwa salony. Marja u nich mieszała, uznając lokal, do którego ciągle przychodzą ludzie, za wielce dogodny dla siebie. Lichtański — filozof z wykształcenia — skazany był za udział w powstaniu 1863 r. na wieczną katorgę i odbywał ją przykuty do taczek. Wierna mu narzeczona czekała nań dwadzieścia kilka lat. Gdy powrócił, zwolniony szeregiem manifestów carskich, pobrali się i żyli z założonej czytelnicy. Nie przeszły mu jednak darmo owe lata ciężkiej niedoli. Wrócił zwichnięty nieco i zdziwaczały. A przysięgł... naddziobały go trochę „kruki, wrony”. Ale był to wielkiej zacności człowiek, jakich Paszkowska lubiła i szanowała.

W czytelni jego były „wyłączone wiedza względna i beletrystyka“, natomiast obfitowały „książki z dziedziny filozofji, grafiki i poezji, a także pisma periodyczne...“ Na książkach znajdowały się odcisnięte pieczęcie z godłem: „Poznaj sumienie pierwotne!“ Jego karty ogłoszeniowe odznaczały się tak zawilim stylem i zawikłanym sensem, że trudno je było narazie zrozumieć. Przy pewnem zastanowieniu jednak odkrywało się w nich coś w rodzaju programu szczególnego typu ustroju społecznego, mającego być osiągniętym za pomocą przedsięwzięć, podobnych do owej czytelni. „Założyciele“ i „Zarząd“ mieli pobierać pensję, zysk zaś przeznaczony był do szkatuły publicznej. Powinno to było spowodować „równowagę obu starych rządów społecznych“ (interesów przedsiębiorców i najemników?), poczem „zademonstrować wypadnie instytucje prądu nowej ery — szczytowego“ (socjalizmu?). Karty były różnego formatu, koloru i treści, jak np. o poznaniu sumienia pierwotnego. Ciemny styl ratował je od konfiskat.

W stosunku do zaborców Lichtański stał się głęboko przekonany ugodowcem i wypracowania swoje w tym duchu umieszczał w pismach ugodowych. Lichtański jednak, pragnąc pojednania z Rosją carską, chciał ją przedtem odpowiednio ucywilizować i w tym celu układał projekt konstytucji dla niej. Naturalnie, ogłaszać w pismach tego nie mógł, więc chował w biurku, opracowując w szczegółach i ulepiając.

Młodzież radykalna, chociaż drwiła z niego i żartowała, jako z dziwaka, lubiła jego czytelnię i schodziła się do niej licznie. Co do Marji, zdaje się, że zrobiła zły wybór, zamieszkując tam, wejście bowiem do jej pokoju prowadziło przez salę czytelnianą. Wrazie więc, gdyby ktoś śledzony do niej przyszedł, szpicel z łatwością mógł wejść za nim do czytelni i sprawdzić, co tam porabia. A bywało u Marji sporo osób, w tej liczbie i mnie się to parę razy zdarzyło.

Z tej też przyczyny, czy z jakiej innej — pewnej nocy, zdaje się 1896 r., Lichtańskiemu, jak grom z jasnego nieba, spadła na głowę lekcja polityki bieżącej. Wpadli żandarmi, przetrzęśli wszystko i zabrali ze sobą Marję i Lichtańskich wraz z projektem konstytucji. W lokalu czytelni zostawiono pułapkę na przychodzących w postaci dyżurujących tam kilku żandarmów i policji.

Teraz cofniemy się wstecz, zaczynając od słów bajki chłopskiej: „Miał chłop sowę...” Siedziała na sęczku w mieszkaniu Janka Strożeckiego (u pp. Twardzickich — Niecała 12) i wylupiającymi oczami spoglądała obojętnie na wszystko i wszystkich dokoła. Jak duch jakiś złowieszczy strzegła ona pilnie i zazdrośnie skarbów zaklętych. Wielu poszukiwaczy ich szukało, chociaż nie były ani złotem, ani brylantami. Przetrzaskali mieszkanie, opukiwali i łamali ściany i podłogi, ale bez skutku. Ona ukrywała je we wnętrzu swoim i tajemnicy nie zdradzała nikomu. Były to pieczęcie, symbol władzy i wpływów, uwierzytelnienie autorytetu Partji. Dobrą miały skrytkę, jako pomysł nowy, nieznany jeszcze żandarmom. To też, gdy przyszli oni w r. 1894, zabrali Janka wraz z jego współlokatorami, ale sowa pozostała nadal na swoim sęku — wierna i niewzruszona. Jako autor jej i twórca, powiedziałem sobie parę słów pochwały i pozostawiłem nadal na tem samem miejscu — strzedz skarbów.

Ale przyszła i na mnie kreska. Zgóram w rok po Janku wyspałem się również, sowa zaś, jak żołnierz na straży, znający tylko przełożonego, który go postawił, nie chciała nikomu odkryć swej tajemnicy. O ile mię pamięć nie myli, nie wiedział o niej nawet Piłsudski, a tembardziej Marja. Dla partji więc kłopot był spory, trzeba było z nowem ryzykiem obstałować nowe pieczęcie. Marja zaś, na którą w miarę aresztowań spadały coraz nowe odpowiedzialne obowiązki, stała się teraz kanclerzem i powierzone sobie pieczęcie przechowywała w bezpiecznem miejscu u znajomych. W miarę potrzeby dromaderka jej — Niuta (Anna Mielnikowa) przynosiła je ukryte za gorsetem, Marja zaś przekazywała je dalej — komu należało^{*)}.

Właśnie i teraz (wracamy do przerwanego wątku) Niuta miała zlecenie przynieść pieczęcie i pewne, znajdujące się u niej na przechowaniu, rękopisy. Punktualnie tedy o oznaczonej rannej godzinie zadzwoniła do czytelnii. Otworzył policjant... Momentalnie zrozumiała swoje położenie. — Jak się ratować? — przemknęło przez myśl. Śmiało, z podniesioną

^{*)} Jak sobie poradzono z pieczęciami po mojem aresztowaniu, naturalnie wiedzieć nie mogłem, ale późniejsze opowiadanie Niuty dało możność ułożenia pewnego obrazu wypadków.

dumnie głową weszła do sali. Tam inny policjant z żandarmem rewidowali jakiegoś studenta. Miał niezmiernie głupią minę i nadstawiał kolejno wszystkie swoje kieszenie. Inny żandarm przeglądał znajdowane przedmioty.

Losy Marii zależały teraz od taktu Niuty i jej zaradności.

— Pani do Lichtańskich, czy do Paszkowskiej? — zwrócono się do niej.

— Co się tu u was dzieje? — spytała surowo. — Jestem krewną gubernatorowej (gubernator był ożeniony z Mielnikową, naturalnie, żadną krewną Niuty), przyszłam do czytelnicy, oto moja karta wstępu. Proszę mnie natychmiast wypuścić, bo widzę, że nie mam tu dziś nic do roboty.

Wywołało to sensację. Zaczęto ją przeproszać, tłumaczyć się obowiązkiem służby... Tylko chwileczkę musi poczekać, zanim przyjdzie komisarz lub rotmistrz... Powinni zaraz być...

— Byle niedługo! — zgodziła się.

Usiadła przy stoliku i zagłębiła się w czytaniu tygodników. A w głowie kołatało nieustannie: „Co robić, co robić?”. Żandarmskie „zaraz” dłużyło się. Wpadł w pułapkę jeszcze jeden student, jakaś panienka, jakiś handlowiec... Rewidowano ich natychmiast, poczem zrewidowani siadali na krzesłach, zdumieni i zdenerwowani w oczekiwaniu decyzji wyższej władzy. Niuta — wobec jej wysokiej koligacji — rewidować bez wyraźnego rozkazu nie ośmielano się.

— Za długo czekam — zawołała nareszcie, wstając. — Poślijcie natychmiast po komisarza!

— Bardzo przepraszamy, ale nie wiemy nawet, gdzie go teraz szukać. Za chwileczkę przyjdzie napewno! — uspakajali żandarmi.

Tymczasem wpadł jeszcze jeden młodzieniec, Niuta zaś myślała: — Co też to będzie wieczorem! — bo wieczorami dopiero schodzili się zwykle czytelnicy w większej liczbie.

Wtem w przedpokoju rozległ się krzyk, tupotanie, żandarm pobiegł z pomocą, hałas potoczył się za bramę, poczem pogoń wróciła zła i skwaszona.

Co się stało? — Niuta nie wiedziała. Było zaś tak:

Do Marji przyszedł „Długosz”¹⁾. Wąły, typowy suchotnik, niemal bez mięśni, miał dużo energii i ruchliwości. Gdy ujrzał we drzwiach twarz policjanta, niezwłocznie palnął go pięścią w nos. Nie bardzo go tem skrzywdził, ale tryskające z oczu łzy osłepiły go na chwilę. Niepomogła natychmiastowa pogon. „Długosz” znikł bez śladu.

Nareszcie, po paru godzinach oczekiwania, zjawił się komisarz. Nie dając mu porozumieć się z policjantami, Niuta wpadła na niego zgóry:

— Bezprawnie zatrzymano mnie tu przez dwie godziny! — wołała oburzona po rosyjsku. — Oto bilet wstępu do czyteln, oto mój adres, nazywam się Mielnikowa, informacji o mojej osobie możesz pan zaczerpnąć u jej ekscelencji gubernatorowej warszawskiej. Czy to panu wystarczy? — pytała wyniośle.

Komisarz wiedział, że gubernatorowa jest z domu Mielnikowa, po wielu przeprosinach tedy i ukłonach — kazał ją natychmiast wypuścić. O to, czy była rewidowana, nie spytał.

Zwolna, nie śpiesząc, pełna godności i obrażonej dumy — wyszła Niuta na ulicę. Przeszła tak nawet aż za róg krzyżujących się ulic i zawołała dorożkę. I raptem... bęc, zemdląła. Zbiegli się przechodnie i poczęli ją cucić. Półświadoma tego, co się z nią dzieje, odczuła trwogę: „Znajdą, czego żandarmi nie znaleźli!” i momentalnie ocknęła się. Osłabioną wsadzili ją przygodni opiekunowie do dorożki. Jadąc, dręczyła się troszkę: „znajomych ostrzege, ale co tam będzie wieczorem?”...

Nic się tam jednak szczególnego nie stało na skutek całkiem prostej przyczyny. Oto służąca Lichtańskich stanęła przed bramą, a znając z twarzy klientelę czyteln, ostrzegła nadchodzących o zaszłej sytuacji.

Dlaczego to uczyniła? Wszak narażała się. Mogła ostrzedz — szpiega. Znam takie wypadki. Była to prosta, uczciwa dziewczyna, nie dotknięta agitacją. Marja agitować służących nie mogła, nie wolno jej było tego czynić ze względu na zajmowane stanowisko. Czynnym więc tu był duch, idący od powstań przez ruch masowy, o którym przecież każdy słyszał.

¹⁾ W PPS. było trzech braci Dłużewskich, kolejno noszących pseudonim „Długosz”, ponieważ kolejno, od najstarszego do najmłodszego wstępowali do PPS. i umierali z suchot, jako dziedzicznie obciążeni tą straszną chorobą. Średni z nich przeżył w partii najdłużej i jemu to zdarzył się wypadek w czytelni Lichtańskich.

Działało naśladownictwo powszechnego zwyczaju nieufności do władz rządowych i sympatji do ich ofiar i przeciwników.

Niewiadomo, czy żandarmi potem pytali o Niutę gubernatorowej — w każdym razie jednak po owem zająściu w czytelni przez pewien czas usilnie ją siedzono.

O tych wszystkich zdarzeniach, naturalnie, siedząc w X Pawilonie nic nie wiedzieliśmy. O aresztowaniu Paszkowskiej i Lichtańskich dowiedzieliśmy się przez „Dziadziusia“ (intendenta X Pawilonu, Siedielnikowa) natychmiast. Zapewniliśmy go na wszelki wypadek, że aresztowano ich przez jakąś pomyłkę. Z Marią nawiązaliśmy niezwłocznie korespondencję i posłaliśmy jej niezbędny papier i ołówek.

„Dziadzius“ opowiadał o śledztwie w sprawie Lichtańskiego. Żandarmom zdawało się, że natrafili na ośrodek jakiejś ważnej organizacji politycznej, dotąd im nieznaney. Zarzucali mu, że łącznie z niewykrytymi przez nich ludźmi zamierzał drogą przemocy zburzyć istniejący w państwie ustrój i zastąpić go przez inny, opisany w znalezionych papierach. Groziło to paroletniem siedzeniem pod śledztwem z niewiadomemi następstwami. Napróżno Lichtański zapewniał o swojej obecnej lojalności i powoływał się na artykuły w pismach ugodowych. „To dla zamydlenia oczu — odpowiadali — w tajemnicy zaś knułeś pan zupełnie co innego“. Naturalnie — wymagali przyznania się i skazania współwinnych.

Gdy nam „Dziadzius“ opowiadał komiczne epizody tych badań, śmieliśmy się do rozpuku. Postanowiliśmy jednak pomódz biedakowi i, rachując na ambicje żandarmskie, namówiliśmy Siedielnikowa, by przy sposobności powiedział prowadzącym śledztwo, że więźniowie, dowiedziawszy się przez pukanie o aresztowaniu Lichtańskiego, bardzo się z nich śmieją, bo widocznie nie znają zupełnie stosunków w Warszawie, jeśli mogli aresztować takiego dziwaka. Świadczyliśmy również w tym duchu, gdy nas wzywano i pokazywano fotografię Lichtańskiego. Na pytanie — czy go znam? — odpowiedziałem, że tylko ze słyszenia i z widzenia, bo to człowiek głośny. — Z czegoż jest głośny? — spytano. — Z tego, że jest największym dziwakiem w Warszawie, z którego się wszyscy śmieją i żartują. Odpowiedź wywołała skrzywienie twarzy, wyrażające przykre rozczarowanie. Nie wiem, czy Lichtański był by nam wdzięczny za naszą obronę, gdyby o niej wiedział, ale to się nie stało.

Przypuszczalnie pomogliśmy mu, gdyż wkrótce go wypuszczono, zdaje się, za kaucją.

Paszkowską przetrzymano dłużej. Pokazywano jej nasze fotografie i odwrotnie. Naturalnie, „nie znaliśmy się” wzajemnie, i żandarmom nie udało się zadzierżgnąć sprawy. Pisała nam, że „Szlikiewicz (Sztab.-rotmistrz) takim wzrokiem na nią patrzy, jakim tylko jakiś Koch może spoglądać na swoje laseczniki”.

Korespondencja z nią była dla nas prawdziwą radością. Dowiadywaliśmy się od Marji o wszystkim, co nas interesowało i pochłaniało. Po krótkiej batalji ze Strożeckim zgodziliśmy się na to, że pisać będziemy tak, by wraze wyspania się kartki nikt z niej nie mógł znaczenia jej treści zrozumieć. Wprawiliśmy się w takie pisanie znakomicie. Np. Paszkowska — Gertruda była u nas „ruda”, a potem tylko „ru”. Pisząc o Piłsudskim, Marja nazwała go „Czort-wi-co”, ponieważ często słów tych używał. Domyśliliśmy się z łatwością, o kim mówiła, a z tego wyszedł skrót „czort”, potem zaś tylko „cz”. Wojciechowski miał pseudonimy „Ksiądz” i „Długi”, co się u nas skróciło w „ks”, „dl”. Sulikiewicz Aleksander — „ali”, „li”, a także „murza”, „mur” i t. d. Podobnie potrafilismy pisać zrozumiale tylko dla siebie o wszystkim, cokolwiek bądź nas interesowało, więc wszelka obawa, że możemy swoją korespondencją kogoś skompromitować, była wykluczona.

Przyszedł więc czas i możność powiadomienia Marji o naszej sowie. Wystarczyła wzmianka o ptaszku, pozostawionym bez opieki. Domyśliła się, przypomniawszy wygląd mieszkania Janka. Potem dodałem wskazówkę, że pudeleczka zawsze otwierają się u góry. W następstwie tego nasza sowa została zabrana z mieszkania Kazimierza Strożeckiego (brata Janka). Był to jednak koniec jej wiernej służby. Dobra skrytka jest zawsze sensacją, o której się chętnie szepcze znajomym na ucho. Z konieczności musiało się o niej dowiedzieć parę postronnych osób. W każdym razie — już na Syberji — Marja nas powiadomiła, że żandarmi przy rewizjach poczęli rozpruwać wypchane ptaki, a wobec tego sowę wypadało zniszczyć. Świadczyło to, że i w naszych stosunkach jakiś „oświetlacz” się krącił.

Marję przetrzymano coś ze trzy miesiące (a może więcej), poczem zwolniono. Z jej odejściem rozpoczęła się nasza wielkiej wagi korespondencja z partją. Właściwie korespondencja

między Jankiem i p. Twardzicką, gorliwie nim opiekującą się i mającą z nim oficjalne widzenia, istniała już znacznie wcześniej, ale nie miała takiego jak potem znaczenia. Karteczki bywały zaszywane w rąbkach dostarczanej bielizny, albo też wtykane w rurkach szklanych w gruszki kompotu. Przy widzeniu p. Twardzicka musiała dać wskazówkę, gdzie należy kartek szukać. Raz się jednak żandarm w korytarzu ową rurką udławił. Nic stąd ważnego nie wynikło, bo kartka była treści niewinnej, ale na pewien czas Janka pozbawiono wtedy otrzymywania czegokolwiek „z wolności”.

Teraz otwarła się przed nami możność szersza. Siedielnikow bowiem zgodził się na pośredniczenie w stosunkach Janka z bratem jego, Kazimierzem, a potem i z p. Twardzicką. Za nimi stała Paszkowska, jako niezbędne ogniwo, łączące z Partją. Przysyłał im naszą korespondencję zwykle przez synka swojego, uczniaka, rzadziej przynosił sam.

Co do sposobu korespondowania znowu miałem przeprawę z Jankiem. On był za zupełnem zaufaniem względem „Dziadziusia”, ja żądałem zachowania pewnej rezerwy. Skończyło się na tem, że, ze względu na bezpieczeństwo, zarówno Siedielnikowa, jak i p. Twardzickiej, w wypadku pochwycenia naszej korespondencji — będziemy ją zakonspirowywali w rozmaitych przedmiotach, do których załączymy kartki treści obojętnej. Wszystko to wymagało usilnej pracy. Sprzyjała temu nasza wyjątkowa cela, mająca kąty, ukryte dla oka, patrzącego przez „judasza” we drzwiach. Mieliśmy dozwolone materiały piśmienne i rysunkowe, a drogą tajną posiadaliśmy nawet nóż i nożyczki.

Zaczęły się dni pracowite, wypełnione od rana do nocy. Najprzód pisało się sążniste nieraz listy, następnie rysowało się jakiś portret lub obrazek na tekturze, w końcu pozostawało ukryć w tekturze pisanie tak, by niczem nie zdradzało swojej obecności. Prace te całkowicie leżały na mnie. W tej postaci posyłałimy korespondencje przez ręce p. Twardzickiej lub Kazimierza Strożeckiego — Paszkowskiej, przedstawicielce Partji. Tą drogą wysyłałimy dużo. Nawet całe utwory beletrystyczne, a także artykuły do pism legalnych (te ostatnie bez specjalnego zakonspirowywania). Opisałimy dokładnie wszystko, odnoszące się do X Pawilonu, i zdjęłimy jego plan. Najważniejsze jednak były nasze rewelacje o działalności żandarmów.

o tworzeniu przez nich nowych prowokatorów, o zachowaniu się na śledztwie więźniów i inne w tym rodzaju. Staliśmy się niejako ręką i okiem Partji, czujnem i czynnem w Cytadeli. Wyrwaliliśmy na pewien czas jadowity ząb żmii żandarmskiej. Nowo-upieczeni w Cytadeli prowokatorzy — ledwie opuszczali jej progi — odrazu spotykali się ze zdemaskowaniem. Wśród masowców rosło przekonanie o potędze Partji, która — w wypadku aresztowania — będzie wiedziała o każdym ich zeznaniu.

Spełniałem jak gdyby dalszy ciąg prac, wszczętych jeszcze na wolności, wsypałem się bowiem na skutek zmagani z działalnością Uthofa, pułk. żandarmskiego, organizującego prowokację. Teraz usiłowania nasze przyniosły znacznie większe wyniki, i czuliśmy się postawionymi na niezbędnym posterunku partyjnym. Dało to nam wspaniały nastrój na wyjazd na Syberję. Czuliśmy bowiem, że pozostawiamy silną partję i drogę dla niej dla dalszych oddziaływań w Cytadeli. Drogą tą była cenna znajomość z Siedielnikowem, którą podtrzymywała Paszkowska. Wynikiem tej znajomości były następstwa wielkiej wagi.

Psychologja Siedielnikowa, o ile można ją odgadnąć, polegała na tem, że dobry ten z gruntu, prosty, impulsywny, człowiek, „szeroka natura“, który z całą swoją rodziną płakał, gdy wieszano „Proletarjateczków“, mając ciągle przed oczyma kontrast dwóch przykładów — obłudy i okrucieństwa żandarmów z jednej strony, bohaterskiego poświęcenia i zmagani dla idei z drugiej, stanął uczciwie po stronie ostatnich, uległ oddziaływaniu ich wpływów jako silniejszych. Nie bez znaczenia też była okoliczność, że miał żonę Polkę, patrzącą na więźniów innemi niż żandarmi oczami. Uległ tylko uczuciowo. Rozumowanie, oparte na interesie osobistym, kazało by mu stanąć po stronie żandarmów. Jedyną korzyść, którą miał z usług, wyświadczanych więźniom, była ta, że nie robili mu oni awantur w wypadkach pewnych braków w obiadach lub kolacjach. Lubił, gdy chwalono jego wikt i nie skarżono się. Pewne momenty rozumowania mogły jednak istnieć. Nie był ideowcem i nie kierował się etyką, wyrobioną przez rewolucjonistów. Rozkazy musiał spełniać. Miał sympatję do więźniów wogóle, do Janka zaś i Marji — szczególną sympatję. Usługi nielegalne oddawał nawet zdrowcom, pomimo naszych ostrzeżeń.

Boże Narodzenie w 1896 r. spędziliśmy w wagonie, dążącym do Moskwy, do której przybyliśmy w dzień Nowego Roku. Nie przestaliśmy być na służbie P. P. S., na zesłaniu bowiem mieliśmy swoje szczególne, ważne zadanie do spełnienia wobec rewolucjonistów rosyjskich, w których środowisku znaleźliśmy się. Mieliśmy zanieść w ich szeregi polską myśl rewolucyjną i zaszczerpić ją w ciągu długich lat oddziaływania osobistego. Oddziaływaliśmy w kierunku interesów i pragnień P. P. S. A w tych naszych syberyjskich zabiegach politycznych spotykamy się znowu z nieodmienną pomocą Marii. Pozostajemy z nią w ciągłym kontakcie przez długie 8 lat zesłania. Zasiłowała nas ustawicznie (w posyłkach p. Twardzickiej) wszelką literaturę partyjną, „Robotnikami“, „Przedświtem“ i t. d. Z listów jej, pisanych stylem, wyrobionym w Cytadeli, dowiadujemy się o sprawach, nieporuszanych w druku, o osobach działaczy: co robi „cz“, jak się ma „li“, gdzie się obraca „dł“, a nawet kto z kim się ożenił. Byliśmy tak dobrze o wszystkim poinformowani, że imponowaliśmy tem Rosjanom i wywoływaliśmy ich podziw dla organizacji P. P. S. Dzięki Marii mogliśmy tem usilniej wpływać na swoje otoczenie. Myśl Paszkowskiej, jej oddziaływania sięgnęły po za dziesiątek tysięcy kilometrów — aż do bieguna chłodów naszej półkuli — Wierchojańska i pogranicza ziem czukockich — Kołymy.

Z tą ziemią syberyjską połączyły nas na zawsze legendy martyrologii tytanicznych walk z caratem. Wiażą pozostawione tam samotne mogiły. Na jedną z takich natknąłem się w okolicach Jakucka. Tam — w odległości 10 klm. od miasta, na pograniczu wzgórz, ciągnących się wzdłuż doliny Leny, rozsiadła się mała osada Bogorodcy, składająca się z 3-ch tylko domów. W jednym mieszkał „Proletarijczyk“ Mancewicz z żoną, w drugim „Narodowolec“ Bojczenko, w trzecim — Tatar osiedleńiec Babaj. Ale tuż obok pod zielonemi modrzewiami ulokował się jeszcze jeden tego osiedla mieszkaniec — najstarszy. W miejscu, skąd widać było zarówno dzikie, lesiste wzgórza tajgi, jak i równinę doliny rzecznej z łaskami, polami i łąkami — przytuliła się tam jedna z wielu rozrzuconych po obszarach Syberji mogił zesłańców samobójców, otoczona drewnianemi sztachetami. Napis po rosyjsku obwieszczał, że nazywał się on Tytus Paszkowski. Miejscowi zesłańcy wiedzieli o nim tylko tyle, że odebrał sobie życie z powodu żony.. Dopie-

ro później sprawdziłem, że był to stryj Marji. Wiecznie zmarżnięta ziemia jakucka zabalsamowała go tam na długie setki lat..

Wiciagu zesłania oczekiwaliśmy — przygotowani na najgorsze — przybycia do nas w odwiedzinę dawnych towarzyszków — „Czorta“, „Długiego“, „Rudej“ lub „Alego“. Napróżno! Już nas doszła była wieść o katastrofie łódzkiej, o aresztowaniu Piłsudskiego, już myślałem o tem, kiedy go poprowadzę na kaczki i gęsi, gdy nadeszła wiadomość o jego wykradzeniu. Był w tem naturalnie pewien „zawód“, ale przedewszystkiem — ogromna дума z partji. Że tu jednak Marja była czynną, ani przypuszczaliśmy.

Lata naszego zesłania były dla Marji żniwem całego życia, okresem najowocniejszych jej prac. Trudno mi o nich mówić, ponieważ byłem wówczas tak bardzo daleki, ograniczę się zatem do paru uwag ogólnych.

Zwykle niedoceniamy znaczenia t. zw. „sympatyków“ i „pomagierów“ partyjnych. Najczęściej bywali to ludzie, których sympatje zyskiwaliśmy nie ideologją socjalistyczną, lecz wynikami naszej pracy i walki. Spokojni napozór obywatele, niewzbudzający podejrzeń policji, dawali bezpieczne schronienie i ludziom i rzeczom. Przeważnie bywały to kobiety. Rola ich była tak ważną, że bez nich niepodobna sobie wyobrazić rozwoju i wzrostu ruchu i walk zakonspirowanych. Ceniliśmy ich bardzo i staraliśmy się nie kompromitować. Ludzie ci byli niejako pomocą, daną ruchowi ze strony społeczeństwa.

Takim pomocnikiem ruchu był w pierwszej linji dom Hiszpańskich. Przewodziła w nim p. Zofja (matka). Uosabiał on odziedziczone tradycje i zasługi powstańcze, a więc poczucie polityczne polskie. Opanowany został przez „związkowców“. Esdecy również tam bywali. P. P. S. korzystała z uczynności p. Hiszpańskiej stosunkowo mniej. Najzasłużeńszym dla P. P. S. był dom p. Kazimiery Twardzickiej. Tam nawiązała się po raz pierwszy organizacja — w drugiej połowie 1893 r. — i odtąd dom ten był stale pomocny aż do końca życia jego pani, która zmarła w końcu wojny światowej. Opieka jej nad nami w Cytaдели i na zesłaniu kompromitowała ją nieco w oczach żandar mów, co zmuszało w stosunkach z nią do oględności. Marja bywała tam częstym gościem, załatwiając przeróżne sprawy. Z Hiszpańskimi również była znajomą i korzystała z ich usług.

O pomocnikach partji w czasach naszego zesłania mogę powiedzieć trochę z opowiadań „Niuty”.

W sprawach techniki, prowadzonej przez Marję, wielkiej zasługi były trzy „Babcie”: „Babcia Wspólna”, „Babcia Hoża” i „Babcia Wilcza”.

„Babcia Wspólna”, p. Henryka Pobojevska (zmarła w 1928 r. w wieku lat 86), sympatyczka nasza jeszcze z czasów Abramowskiego i Stanisławy Motz, — odznaczała się wielką ofiarnością. „Mieszkanie jej służyło na przyjazdy, noclegi, randki i składy. Karmiła wszystkich, pomimo szczupłych środków. Nieraz potem córeczka jej, Karusia, nie miała bućków” (Niuta).

„Babcia Hoża”, p. Wanda Juszkiewiczowa (świekra „Pięknej Pani”). „Mieszkanie jej służyło jako ślad, a gdy bywało wolne — również na randki, noclegi i herbatki. Sama też pani bywała dromaderką” (Niuta).

„Babcia Wilcza”, p. Izabela Gizbert-Studnicka (matka Władysława i Wacława Studnickich) oddawała swoje mieszkanie również na wymienione cele. „Była kobietą piękną, dobrą, odważną”. W chwilach potrzeby służyła jako dromaderka osobście, ale przeszkadzało jej w tem cierpienie płucne, któremu podlegała, jak również i lata.

Pozatem były składy u p. Jadwigi Suzinówny (kuzynki Marji i Gustawy Zajączkowskiej) i w innych miejscach.

„Babcie” jednak miały największe znaczenie dla dromaderek. Tam wszystko było dla nich specjalnie i na stałe przygotowane. Gdy zachodziła potrzeba, można było wyjść stamtąd w zmienionem do niepoznania ubraniu, albo też pozostać i przenocować. Składy te obsługiwały dromaderki (według Niuty) — Katarzyna Zajączkowska („Kicia”) później inż. Rogowska; Anna Mielnikowa (Niuta); Marja Chmieleńska („Klara”); Żukowska („Antonina” — później Barlicka, Markowska); Emilja De la Croix; Marja Koszutska („Wera” — obecnie Ciszewska); Wiktorja Kossobudzka („Stefanja” — obecnie gen. Rożenowa); Marja Łopuska („Barbarka”); Paulina Adolphowa; „Jadwiga” (Konstancja Jaworowska); Marja Prausówna (siostra Kisawerego); Stefa i Jadzia Herynżanki; „Julka” (obecnie p. Czarkowska); Dobrzańska (piękna studentka szwajcarska z Kijowa); „Anna” (Poznerówna); Aniela Mallinowska (inż. Budnowa); Jadwiga Lewandowska (później Michalska); „Cecylja” (prof. Gumpiewiczowa); Maryła Rościszewska (później Jodko-

wa); „Karusia” (Pobojewska); Pękostawska i inne. Z mężczyzn dromaderowali Wacław Studnicki („Pelerynka”) i Aleksander Landy — wogóle znacznie mniejsza liczba.

Całą tę falangę, której wszystkich członkiń i członków już dziś wymienić trudno, zorganizowała i komenderowała nią jako „Hetmanica”, „Towarzyszka Gintra”, Marija Gertruda Paszkowska. Była wśród nich więzią łączącą, impulsem czynów, świadomością celów najbliższych. Łączyła je wiara w nią, w jej autorytet przywódcy, dążącego do ukochanych przez wszystkich celów dalszych. Ani krzty interesów materialnych, które by je łączyły; ani atomów wpływów Boga Mamona, deprawującego świat... I różne „Babcie” — nie socjalistki, i panienki wszelkiego wieku i rozwoju, i sama „Hetmanica” — oddawały swoją pracę nie tylko darmo, ale z nakładem własnych środków, sił i zdrowia. Jedyną nagrodą dla nich było poczucie radosnej dumy, że są użyteczne dla ukochanej sprawy, że wybrano je z pośród wielu i obdarzono zaufaniem. Poruszała nimi siła ukochania i siła nienawiści. Nawet taka malutka Karusia Pobojewska jakżeż dumną bywała, gdy już powierzano jej pewne sprawy i tajemnice!

Z natury warunków konspiracyjnych owa podorganizacja techniczna partji — charakteru wykonawczego — musiała być zcentralizowaną, egocentryczną z towarzyską Gintrą w centrum. Panienki, rozproszone po mieście, mogły się ze sobą nawet nie znać. Ona jedna miała do nich wszystkich drogę, one zaś stawały do apelu na każde zawołanie.. Nigdy nie schodziły się na ogólne narady, by większością głosów decydować o sposobach działania. Gintra jedna, jak wódz przed bitwą, który otrzymał rozkaz atakowania, sama, w skupieniu głębokiem obmyślała sposoby działania, wysyłała rekonesanse, badała teren i następnie wydawała rozkazy, które musiały być spełnione ściśle co do joty. Na jej skinienie płynęła niewidzialnymi drogami impregnowana myśl i wola Partji, uderzała w peryferje, budziła tam świadomość, podniecała uczucia, dawała impulsy, rodziła czyny... A szereg czynów, to przecież historia, tworząca Świat Nowy.

Zdarza się, że działacze, oprócz zasług bojowych lub innych, mają swoje błędy pojęć i uczynków, które, idąc w przyszłość i rodząc następstwa, tworzą coraz nowe zło, opóźniając czas pojawienia się Lepszego Człowieka. Marija nie zna podo-

bnych błędów. Jej dusza — etycznie czysta, wolna jest od nich. Nawet pewne jej słabostki niewieście mogły wzbudzać tylko szacunek. Oto jedna z nich: Prosiła mnie kiedyś, bym napisał o Stanisławie Motz-Abramowskiej dla pisma kobiecego. Rękopis leżał przeszło rok, aż go wreszcie wydrukował „Robotnik”. Przedtem jednak Marja prosiła, bym pozwolił jej pewne miejsca poprawić. Byłem ciekaw, o co jej też chodzi. I cóż się okazało? Oto, pisząc o stosunku Edwarda do Stanisławy, chciałem uwydatnić, że Edward cenił w niej przedewszystkiem piękną duszę i dlatego podkreśliłem — może nie bez pewnej przesady, że Stanisława „nie była piękna, ale tylko przystojna, ową dość pospolitą przystojnością ludu...” Całe to zdanie Marja mi wykreśliła, zastępując trzema słowami: „Była bardzo przystojna...” Widocznie chciało się jej powiedzieć, że Stanisława była piękną, bo przecież „bardzo przystojna” jest to samo. O niewiasto! — pomyślałem! — jakżeż wzruszająca jest twoja troska o dobrą sławę ukochanej towarzyszki nawet w drobnych szczegółach jej kobiecej ambicji, jej wyglądu! Chcę teraz odplacić Marji własną jej monetą. Wyszukałem najładniejszą jej fotografię z lat młodych. Udzieliła mi jej uczennica i przyjaciółka Marja — p. Stanisławowa Wojciechowska. Wygląd Paszkowskiej może się podobać jednym mniej, innym więcej, bo to rzecz gustu. Ja jednak twierdzę stanowczo, że pełna prostoty i szlachetności postać Marji jest piękną.

LUDWIK KRZYWICKI.

W POSZUKIWANIU DROGI

Było to bodaj w r. 1888.

Przebywałem wówczas w Płocku na osobliwego rodzaju „rekolekcjach”. Pomiedzy mną a Warszawą pośredniczyła żona moja, korzystająca z nieograniczonego prawa wyjazdów. Kiedy z okazji jednego takiego wyjazdu wyszedłem na jej spotkanie, ujrzałem ją wychodzącą z parostatku w towarzystwie osoby nieco starszej, lat 30-tu, poniżej średniego wzrostu, rumianej na twarzy, cery mocno płowej.

Żona oświadczyła mi, że spotkała się u dawnej swojej koleżanki z kursów Bestużewskich, Felicji Potockiej, podówczas Janowej Popławskiej, z inną jeszcze koleżanką i zabrała ją na kilka dni do nas.

Takie było moje pierwsze spotkanie z Marią Paszkowską. Była ubrana niezmiernie prosto: bluzka zapięta u samej szyi, sukienka perkalikowa z przewagą barwy granatowej, włosy gładko ułożone. Przytaczam te drobiazgi, gdyż, ilekroć wskrzeszam jej obraz w pamięci, zawsze ją widzę w takiej zapiętej bluzce, w takiej sukni barwy granatowej i z włosami gładko uczesanymi. W ciągu całej naszej znajomości, bodaj, nigdy nie pamiętam jej inaczej ubranej. Może barwa ubioru była nieco inna, ale zawsze czuć tam było predylekcję do kolorów ciemno-błękitnych.

Po moim przyjeździe do Warszawy w r. 1889 Paszkowska była codziennym gościem naszym. Rozmowna, towarzyska, wносиła dużo życia, zawsze pogodna, choć znajdowała się wte-

dy w niezmiernie ciężkiej sytuacji, do której zresztą przywykła od lat wielu. Utrzymywała się z dawania lekcji a właściwie korepetycji: jedną z nich w l. 1890—1891 miała aż w Cytadeli, u jakiegoś oficera tamtejszego. Udawała się tam pieszo. Miała, przynajmniej w r. 1889, zajęcie w szkole freblowskiej innej jeszcze koleżanki swojej z kursów Bestużewskich, Marji Weryżanki, obecnej doktorowej Radziwiłłowiczowej. Ale wszystkie te zarobki dawały utrzymanie bardzo skromne, tem skromniejsze, że Marja miała zawsze kogoś na podorędziu, kim się opiekowała: jakieś dzieci, jakieś starowiny, wogóle osoby, jeszcze nie należące do świata politycznego. Lekcje jej jednak nie zadawały: nie dawały jej okazji do wszechstronnego wyładowania energii, okazji, która by ją pochłonęła całkowicie i dała zupełne zaspokojenie uczuciowe.

Miedzy innemi przyszło jej na myśl skończyć istniejące w Warszawie kursy akuszersyjne, stojące na niezmiernie niskim poziomie, a przytem ciężarne gburowatością kierownika i wszystkich jego pomocników. Chodziło jej z jednej strony o zabezpieczenie sobie stateczniejszego utrzymania na przyszłość, z drugiej oddziaływały wpływy „narodniczystwa” rosyjskiego, gdzie umiejętność akuszerska i felczerska były ulubionemi przedmiotami, do których przykładala się młodzież, idąca pomiędzy lud. Marja była namiętną krzewicielką hasła, ażeby młode kobiety z pośród inteligencji polskiej uczęszczały na kursa akuszersyjne. Namówiła i moją żonę do wstąpienia na nie. Ale gburowatość kierownika, przewyższająca wszelkie możliwe granice, i traktowanie przezeń słuchaczek, jak traktuje się najbardziej upośledzone służące, co niegdyś miało bez oporu ze strony zahukanych kobiet, niekiedy podejrzanej konduity, obecnie po dwóch lub trzech tygodniach, dzięki obecności słuchaczek niezależnych z pośród inteligencji, spotkało się z niezmiernie energicznym protestem. Doszło do skandalu — słuchaczki zbierały się, obgadywały sytuację, niektóre z nich już więcej nie przestąpiły progów szkoły, w tej liczbie żona moja i Jadwiga Chrzanowska, późniejsza żona Adolfa Warskiego. Inne, przynaglone koniecznością zarobkowania, powróciły i znalazły po powrocie obejście o wiele grzeczniejsze. Marja brała żywy udział w tej sprawie, choć nie pamiętam,

czy skończyła kursy przed skandalem, czy dopiero później po nim.

* *

Jak już zaznaczyłem, Paszkowska była u nas nienal codziennym gościem. W rozmowach rzadko potrącaliśmy o jej przeszłość, a właściwie rzadko wtedy potrącaliśmy o czyjąkolwiek przeszłość. Zanadto wszyscy żyliśmy podówczas teraźniejszością i przyszłością, ażeby rozpamiętywać swoje lata przeszłe. Jednak niejednokrotnie wymknęła się Paszkowskiej wzmianka o matce, zawsze mocno serdeczna, i mocno ironiczna o tresurze, jaką przebywała w domu swojej ciotecznej babki w Wilnie. Te wspomnienia zaczęły się sypać częściej, gdy przywieziono do Cytadeli warszawskiej jej młodszą siostrę, Genowefę (późniejszą Reverellową), aresztowaną w r. 1889 w Twierze. Zdaje się swój entuzjazm społeczny Marja zawdzięcza spadkowi duchowemu po kądzieli, t. j. po rodzinie Wojszwiłłów *). Babka rodzona, Wojszwiłłowa, osoba energiczna, rządziła wszechwładnie domem, a w roku 1863 przewoziła w najtyczance oręż i dostarczała żywności do lasu. Pewnego razu nawet miała ukryć pod kryoliną jakiegoś powstańca — opowieść, którą słyszałem o różnych niewiastach w różnych dzielnicach Polski. Ile w tem jest prawdy? Dział zaś Marji, Izidor Wojszwiłło, człowiek światły i odcytany, podobno pocichu pisywał wierszem i próbował prozy. Odczytywał swoje utwory w kółku bardzo blizkich znajomych, którym mógł ufać, iż dochowają tajemnicy o treści utworów, niezawsze prawomyślnej. Brat matki, 19-letni Stanisław Wojszwiłło, był zesłany na Syberję, gdzie przebył lat 16-cie. Po powrocie zamieszkał u siostry Paszkowskiej w gub. Twerskiej i nigdy już nie miał ujrzeć stron rodzinnych. Brat zaś przyrodni z tej samej matki, lecz z innego ojca, Feliks Bańkowski, zdołał ukryć się zawczasu; zdaje się, był poważniej zamieszany, i poszukiwano go gorliwie. I tak samo ciężkie losy dotknęły w r. 1863 spo-

*) W dokumentach osobistych Marji Gertrudy Paszkowskiej, znajdujących się w Min. Pracy i Opieki Społecznej, zamiast Wojszwiłłów jest mowa o Wajrzwilłach. W papierach tych podano, iż Marja Gertruda Paszkowska przysłała na świat 29 marca 1859 r. w Łobejkach z rodziców Władysława i Marji (z domu Wojszwiłłówny) Paszkowskich.

krewnioną z Paszkowską poprzez Wojszwilków rodzinę Maleckich: bracia cioteczni matki, Maleccy urodzeni z Wojszwilkówny, byli — jeden, Dominik, powieszony, drugi, Józef, zesłany na długie lata na Syberję. To kuzynostwo z Maleckimi miało kiedyś w przyszłości przysporzyć Marji Paszkowskiej nieco chwil ciężkich. Ze strony ojca nie było takiego obfitego zastępu bojowników: jedynie brat stryjeczny ojca Marji, Tytus, aresztowany w związku z niedoszłym zamachem na Aleksandra III w 1887 r., był skazany na śmierć, lecz został ułaskawiony. Po odbyciu ciężkich robót na t. zw. osiedleniu zakończył życie samobójstwem*).

Matka Marji była kobietą towarzyską, uczynną, z silnie rozwiniętymi uczuciami matczynej, i bodaj córka była jej powtórzeniem w rysach zasadniczych. Przynajmniej takie wrażenie wywierają wspomnienia jej siostry, p. Reverellowej, łaskawie mi dostarczone. Przytaczam z nich odpowiedni ustęp, tem ciekawszy, że mowa jest tam i o Marji.

Rzecz dzieje się w gub. Twerskiej, dokoła czteroletnia Marja przeniosła się z rodzicami po r. 1863. „W domu naszym było pełno życia. Matka nasza była bardzo żywa i nie rozumiała życia w zasklepieniu rodzinnem. Pomimo niewielkich środków, zawsze było u nas pełno obcych ludzi: komuś trzeba było dać pomoc lekarską, i matka z książką lekarską radziła sobie, suszyła zioła, sprowadzała lekarstwa z apteki. Komuś potrzeba było rady życiowej, protekcji — szukała sposobów pomocy. W stołowym pokoju siedziało kilkoro dzieci dworskich — matka uczyła je czytać i pisać, a wieczorami zbierała się młodzież (córki popów i oficjalistów). Matka uczyła je robótek i czytała im książki, albo rozmawiała na tematy, które ją samą żywo interesowały, gdyż sama przyjechała do Rosji, mając lat dwadzieścia parę, nauczyła się czytać po rosyjsku

*) Ojciec Marji, Władysław, wychowywał się u krewnego swego, Eljasza. W domu Eljasza panowała atmosfera kulturalna, zlekka postępową. Władysław poddał się jej całkowicie. Za towarzysza lat dziecięcych miał Józefa Paszkowskiego, syna swego wychowawcy. Józef miał być swego czasu znanym literatem na Litwie. Bliższych o nim wiadomości nie mamy: obaj Józefowie Paszkowscy, o których wspomina Encyklopedia Orgelbranda, są zgoła odrębnymi postaciami.

i żywo interesowała się ruchem narodników. Mała Marja kręciła się między dorosłymi i już wtedy słyszała o wyzwoleniu kobiet i samodzielności, gdyż i ja pamiętam dobrze, jak Marja wyrabiała szydełkiem koronki do ręczników i matka sprzedawała je wieśniaczkom po 5 kop. za dwa końce. Gdy uzbierała kilkadziesiąt kopiejek, Marja nabrała pewności siebie tak wielkiej, iż postanowiła zamieszkać samodzielnie. W tym celu w kompanji z jedną popówną wyniosła się z domu do pokoiczku na strychu, gdzie zaniesiono pościel i naczynia. Matka dała bochen chleba i cały dzień dziewczynki pracowały gorliwie. O zmierzchu popówna uciekła, a jak ciemność zapadła, przysłała i Marja do domu, gdyż na strychu jest „ciemno i straszno”. W zabawach Marja była bardzo pomysłowa, zbierała dużo dzieci i kierowała nimi, jak chciała. W matce miała współczucie: to piekła nam małe chlebki, to gotowała kisielki i kompoty dla naszych gości, to szyła koszulki i sukienki dla dzieci czeladzi, ażeby je można było wpuścić do pokoju”.

Ale Marja jeszcze dzieckiem 9-cioletniem musiała opuścić dom rodzicielski, do którego wróciła na krótko dopiero po ukończeniu Instytutu. Bawiła już w Wilnie, gdy ojciec, wzruszony, przyniósł alarmującą nowinę, iż trzech robotników, których najął do piłowania, są przebranymi studentami, nie dał jednak poznać im, iż bierze ich za przebranych paniczów. Matka poleciała do kuchni, ażeby przyjrzeć się tym przebranim siewcom sprawiedliwości społecznej, i przyglądała się, jak jedli ze wspólnej misy z robotnikami. Zresztą po tygodniu zostali aresztowani, ale opowieści o nich, powtarzane niejednokrotnie w domu, doszły i do uszu Marji, gdy zawitała po latach do domu. I niewątpliwie stosunek matki do tego zdarzenia musiał wywrzeć wrażenie na umyśle młodej dziewczyny.

Ale nastał kres tej atmosfery serdecznej. Dziewczynkę 9-letnią odwieziono do Wilna i umieszczono w jednym z zakładów podówczas uprzywilejowanych, w Instytucie Maryjskim. Marja zamieszkała u „babki” swej matki chrzestnej, p. Emilji Chruckiej, ciotki matczynej. Była to kobieta podeszła w latach, bardzo dobra i kochająca. Ale, niestety, była dewotką, jedną z tych dewotek wileńskich, o których krążą całe legendy. Ta, z gruntu dobra, ale w imię zasad surowa, kobieta nie znała litości nad dzieckiem, gdy chodziło o przyuczenie go do obowiązków

religijnych, a przekształcała się w straszną postać, gdy spostrzegła w podlotku obojętność względem praktyk religijnych i wogóle nieposłuszeństwo. A ponieważ kochała dziewczynkę, próbowała wszelkimi siłami wyrwać ją ze szponów diabła... Oprowadzała ją, dziecko, po kościołach. Mała Marja nie miała żadnych towarzyszek — rówieśnic, babka bowiem obcowała przedewszystkiem, niemal jedynie, z księżm i, prawdopodobnie, z takimi, jak sama staremi dewotkami. Niewątpliwie trudno było dziewczynce, przyzwyczajonej do słońca, swobody, ciepła rodzinnego, wdroyć się w karby nowych wymagań. Ale babka umiała uderzyć w struny entuzjazmu, i Marja całem jestestwem swoim wchłaniała narkotyk ekstazy religijnej: jest rozmodlona, idąc na lekcje codziennie odmawia pacierze przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, a co miesiąc bywa u spowiedzi.

Ale nadeszła chwila ocknięcia się uśpionej myśli krytycznej.

To ocknięcie się przypada na ostatnie lata pobytu w Instytucie.

Powstaje w duszy Marji bunt przeciwko ciasnym pojęciom i ciasniejszemu jeszcze praktykom religijnym otoczenia. Stają przeciw sobie dwa światy: jeden pedanterji dewockiej, który pozbywa się swojej dobroci i nielitościwie tępić usiłuje pokusy djabelskie, drugi — tęsknoty, swobody, polotu. Walka była uporczywa. W tej walce babka została zwyciężona i rada była, kiedy „Bóg ją uwolnił od ciężkiego krzyża“.

Marja ukończyła Instytut i wróciła do rodziców. Matki nie widziała od czasu wyjazdu do Wilna, a więc lat kilka. Wprawdzie ojciec był parę razy w Wilnie, ale widzenia były krótkie, i ojciec nie umiał serdecznie przemówić do córki. Zresztą ojciec, starszy od matki o lat 20-cia, zanadto odbiegał wiekiem od córki. Ta uważała, iż rodzice ją opuścili, zwłaszcza od czasu, kiedy, znalazłszy się w kłopotach pieniężnych, przestali za nią płacić babce, kobiecie, zmuszonej żyć bardzo oszczędnie.

Domyślała się, iż jedzie nie na dostatki, ale prawdopodobnie nie uświadamiała sobie należycie tego, iż jedzie do nędzy i na nędzę.

Ojciec, który dzierżawił przed powstaniem majątek Łabiejki od p. Kiersnowskiego, dziada b. Prezydentowej Wojcie-

chowskiej, nie umiał poradzić sobie na gospodarstwie przy nowych stosunkach, i kuzyn skłonił go do wyjazdu do Rosji na posadę rządcy dużego majątku. Później chodził tam dzierżawami, podejmował się przedsiębiorstw drogowych. Wogóle, zdaje się, był człowiekiem mało rzutkim. Położenie jego pogarszało się coraz bardziej. Kiedy Marja wróciła do domu, znalazła nędzę, jakiej nie oczekiwała. Stała literalnie wobec głodówki ogromnej rodziny. Daje lekcje. Ale matka pojmuję, że w Rżewie niema dla niej żadnej przyszłości i namawia ją do powrotu do Wilna. To Marja skutecznie po roku pobytu u rodziców, zarobiwszy nieco grosza na podróż.

Odtąd Paszkowska boryka się o własnych siłach z biedą — nie zawsze miewa na obiad, a nigdy nie jest zabezpieczona co do swego jutra.

*
*
*

Rodzina Paszkowskich należała do rzędu rodzin wykolejonych, zdeklasowanych, jak brzmi wyrażenie, obecnie często używane. Wyjazd do Rosji dokonał ostatecznego wykolejenia: ojciec zmarł na obczyźnie, brat Eugenjusz poślubił Rosjankę i zlał się z otoczeniem miejscowem, a właściwie z jego odłamem radykalnym, matka po latach 32 powróciła do Wilna i tam umarła. Wśród niepewności dnia jutrzejszego, kłopotów pieniężnych tliło wspomnienie o lepszym pochodzeniu, o swoim klejnocie rodowym „Zadora”. Nie obcą była tych wspomnień i Marja — niekiedy, za czasów młodości swojej, ze śmiechem odgrażała się: „pamiętajcie, że jestem herbu Zadora, to znaczy: umiem pokłócić się i stać przy swoim”).

Właśnie sytuacja taka sprzyja niezmiernie powstawaniu poglądów radykalniejszych. Bunt żywiołowo zaczyna tlić w duszy. Oto, co pisze o sobie młodsza siostra Marji: „Ha, jaką drogą zapoznałam się z teorią socjalizmu? Był głód w sercu, w duszy... nastrój był już od dzieciństwa, a teoria potem przyszła, całą młodość szukałam tylko towarzystwa ludzi podejrzanych”. Pozwolę sobie przytoczyć jeszcze obrazek z dzieciństwa tej samej siostry, który wymownie świadczy o nastrojach, jakie istniały w rodzinie. Znalazła się w wieku lat 12-tu we

*) Paszkowscy przesiedlili się na Litwę w wieku XVIII z Małopolski, osiadając w Kowieńszczyźnie.

dworze wiejskim mieszkającego w sąsiedztwie obywatela rosyjskiego. Bawiąc się w towarzystwie dzieci, spostrzegła na ścianie portret Aleksandra III i rzekła: „Wykułabym mu oczy!” Zrobił się z tego powodu hałas w domu. Zresztą rzecz skończyła się tylko na perorze, którą usłyszała od gospodarza domu.

Prawdopodobnie i u starszej siostry, Marji, był taki sam głos we krwi, w duszy, w całym jestestwie. Jedyne głębiej ukryty pod progiem świadomości. W świadomości istniało jedynie wielkie współczucie dla każdej istoty słabej i konieczność czynnej pomocy. W każdym razie potrzeba było wielu lat, ażeby ten bunt w duszy doszedł do swego uświadomienia, przybrał kształty najdoskonalsze — czynnej walki z niesprawiedliwością społeczną.

Już przed ukończeniem Instytutu otarła się Marja o ówczesne kółka wileńskie *) i z obcowania z nimi wyniosła protest przeciwko dewocji babki, a kiedy wróciła, „należała do kółka samokształcenia, miała obszerne stosunki z młodzieżą, odbywała spacerów po górach wileńskich, całe noce przechodziła na dyskusjach”. (List p. Reverellowej).

Warto pomówić o nastrojach ówczesnych wśród młodzieży wileńskiej, a więc w latach 1875 — 1879, kiedy Marja kończyła Instytut i ponownie z Rżewa zawitała do Wilna.

Niektóre rysy ówczesnych nastrojów wileńskich uchwyciła Orzeszkowa w swoich „Widmach” — w sposób nieco karykaturalny, ale w rdzeniu zasadniczym zgodny z rzeczywistością. Przecież nawet w Warszawie ruch ówczesny znajdował się pod mocnym wpływem radykalizmu rosyjskiego i dopiero około r. 1882 — 83 zaczął na dobre docierać bezpośrednio do źródeł zachodnio-europejskich. Przytem Warszawa miała znaczny zastęp robotników fabrycznych, — okoliczność, która bardzo przyczyniła się do wyzwolenia ruchu polskiego z pod wpływów mętnego narodnicztwa rosyjskiego i tamtejszego inteligenckiego nihilizmu. Natomiast Wilno nie rozporządzało ani takimi rze-

*) Opowiadano mi, iż Marja miała wtedy należeć do kółka młodzieży, którem kierował uczeń szkoły realnej, Kazimierz Ch., wydany ze szkoły za spoliczkowanie nauczyciela. Nie udało mi się sprawdzić tej wiadomości, ani dotrzeć do p. K. Ch., który później trzymał się zdala od wszelkiego radykalizmu.

szami robotników fabrycznych, ani warunkami, sprzyjającymi rychłemu usamodzielnieniu się od wpływów rosyjskiej ideologii społecznej. Ideologia zaś społeczna rosyjska podówczas poruszała się przede wszystkim w łożysku t. zw. nihilizmu, który często siedł w parze z socjalizmem, ale jeszcze częściej poprzestawał na zaznaczeniu swoich sympatyj dla dążeń, mających na celu wyzwolenie klasy pracującej, i całkowicie zwracał się w kierunku walki osobistej o wyzwolenie indywidualności ludzkiej od wszelkiego rodzaju pęt. Był to przede wszystkim ruch młodzieży kształcącej się i młodej inteligencji. Zakładano kółka samokształcenia i kooperatywy wytwórcze, krzewiono hasła samodzielności zarobkowej dziewcząt, żądano utrzymywania się jedynie z pracy własnej. Zwalczano wszelką samowolę i wszelkie niedorzeczności w życiu. Między innymi uprawiano namiętnie opozycję przeciwko samowładztwu carskiemu, zwłaszcza, gdy ukazali się narodnicy, ludzie, którzy od zagadnień natury indywidualnej, zwrócili się do czynnej agitacji społecznej i udali się pomiędzy lud. Szeroka natura rosyjska nie zawsze umiała jednak zachować miarę w tej walce o wyzwolenie osobowości ludzkiej: protestowała nawet ubiorem swoim i wyglądem, protestowała stosunkiem wzajemnym obu płci — i w obu razach dochodziła do krańcowości.

W wirze tej mgławicy znalazło się i Wilno: stamtąd przybyły do socjalistycznej Warszawy czerwone koszule (między innymi Aleksander Zawadzki, późniejszy zapamiętały endeck), stamtąd pochodziły dziewczęta, prostotą swojego ubioru przeciwstawiające się Warszawiankom (Grużewska, Daniłowiczówna). Niewielu z pośród młodzieży wileńskiej miewało stosunki bezpośrednie z robotnikami, natomiast istniało ciążenie raczej ku pracy wśród ludu wiejskiego. Natomiast większość dyskutowała w kółkach samokształcenia, marzyła o krzewieniu oświaty, o zrzeszeniu wytwórczo - spółdzielczem, a gdy chodzi o kobiety, o pójściu na wyższe kursy. Docierały i ekstrawagancje rosyjskie. Byli i tacy, których w całym ruchu rosyjskim obchodziła przede wszystkim sprawa wolnej miłości. A właściwie, był tylko jeden wyznawca tego kalibru propagandy.

O jego postępowaniu, mającem przyuczyć młode dziewczęta, znajdujące się w kółkach, do pojęć wolniejszych, krążyły

swego czasu całe legendy. Że nie osiągnął rezultatów, i w Wilnie nie powtórzyły się sceny, które działy się w niektórych kółkach kijowskich, należy to przypisać taktowi mężczyzn z jednej strony, z drugiej — powściągliwości dziewcząt, z których wszystkie miały za sobą tradycje życia rodzinnego, nie sprzyjające tego rodzaju ekstrawagancjom. W pierwszej chwili były jak gdyby osłupiałe, ale niebawem zrodził się wśród nich protest przeciwko niewłaściwym poufałościom. Niewątpliwie w liczbie silniej protestujących, może nie słowem, bo na to nie odważyłaby się, ale całym uczuciem swoim, całym jestestwem, była Marja. Nie umiem powiedzieć, czy osobiście stykała się z owym kimś, ale wiedziała o jego wybrykach i ustosunkowała się doń w stanowczy, przeczący sposób. Rozmawialiśmy kiedyś o tych czasach. Marja wogóle nie lubiła rozmów z mężczyznami o sprawach uczuciowych. I w tym wypadku wypowiadała swój pogląd na tę przeszłość raczej wyrazem twarzy i gestem niesmaku. Wogóle w latach, kiedy ją poznałem, Paszkowska w stosunku do mężczyzn „dziwaczyła”. Nigdy nie usiadła na krzeselku, na którym siedział mężczyzna jej nieznajomy, a Józefa Czernowska, która z nią mieszkała w Warszawie, ze śmiechem opowiadała, jak jej towarzyszka przewietrzała pokój po przypadkowej wizycie któregoś z nieznanых mężczyzn. A kiedy w jakiejś rozmowie potrafiłem o rodowody tego dziwaczenia, dowiedziałem się, że poczęło się w czasach wczesnych, wileńskich, w postaci lekkiej nieufności względem mężczyzn, jako żywiołowa odpowiedź uczuciowej dziewczyny na opowiadania o rubasznej poufałości.

Wogóle okres kółek wileńskich i znajomości wileńskich nie wyrył wyraźnego śladu w umyśle Paszkowskiej, jak i w umyśle jej koleżanki z Instytutu i najbliższej przyjaciółki, Marji Koplewskiej: ówczesne teorie społeczne były dość mętne. Paszkowska nigdy nie miała zbyt wielkich skłonności teoretycznych, tembardziej nie pociągały jej mętne pojęcia, a praktyki żywej podówczas jeszcze dla siebie nie dostrzegała: było to natura czynna, która potrzebowała działać, a przytem trzeźwa, pragnąca widzieć owoce swojej pracy. Zresztą była jeszcze młodem dziewczęciem, które ciekawie przypatrywało się życiu, przyszłowi było się dysputom, tylko przeciwko mglistości i ekstrawagancjom miało opór uczuciowy, podówczas nie zawsze

jasno sformułowany. W każdym razie czasy wileńskie, bądź gdy była w ostatnich klasach Instytutu, bądź kiedy po rocznym pobycie w domu wróciła do Wilna, uzbroidy tę naturę uczuciową, wrażliwą, w ogólną filozofję życia. A więc w wolnomysłność i tolerancję religijną, w chęć kształcenia się, w konieczność wyzwolenia kobiety — wszystko pojęcia, towarzyszące socjalizmowi, ale jeszcze nie będące socjalizmem. I pod wpływem chęci do dalszego kształcenia się, z kapitałem niezmiernie małym, bo, zdaje się, 100-rublowym, który uciulała głównie, będąc na kondycji nauczycielskiej u pp. Kiersnowskich, wyjeżdża w r. 1881 do Petersburga.

* * *

O pierwszym roku pobytu Marji Paszkowskiej w Petersburgu mamy informacje dość szczegółowe*).

Mieszkały wtedy pospołu trzy Marje. Arciszówna, Paszkowska i Koplewska (późniejsza Piłsudska) — i wszystkie słuchaczki Kursów Bestużewskich i wszystkie bodaj przyrodniczki. Lokowały się w ciągu całego roku gdzieś niedaleko od Litiejnego Mostu: „W pierwszym roku nic wyraźnego nie było, a wszystko ciekawe“. Nic wyraźnego! Trzy Marje żyły w otoczeniu wileńczyków. Koplewska, dziewczyna wyjątkowej urody, która już po roku wyszła za mąż za Juszkiewicza, była tam magnetysem przyciągającym. Bywali bracia Dziewąscy, Ciemnołęski (?), Zegrzda, Juszkiewicz, przeważnie ze szkoły realnej w Wilnie, a wtedy prawie wszyscy słuchacze Instytutu Technologicznego. Z koleżanek częstym gościem była Helena Chmielewska. W tem kole Paszkowska była osobką niezmiernie uprzejmą, towarzyską, a nawet wesołą. Gdy koledzy od czasu do czasu proponowali o 10-ej lub 11-ej wieczorem przechadzkę na Most Litiejny, aby zatańczyć tam mazura, zawsze towarzyszyła wesołej gromadce. Na wieczorynki chętnie się wybierała. Lubiła bardzo dzieci i mawiała, że chciałaby ich mieć cały tuzin, ale pod warunkiem, ażeby można je było otrzymać wprost z retorty w sposób chemiczny, bo w innej drodze posiadać ich nie pragnie. Utrzymywała się z dawania lekcyj, a posiadając dobrze

*) Pochodzące od p. Marji z Arciszów Wincentowej Janowiczowej.

matematykę w zakresie kursu gimnazjalnego i, umiając ją przystępnie wyłożyć, miała duże ułatwienie w otrzymywaniu lekcyj. Była skrupulatna, oszczędna. Koplewska, otoczona zawsze gromadą wielbicieli i pod względem pieniężnym nieogłędna, oddawała wszystkie swoje pieniądze Paszkowskiej, jako kasjerce, a ta jej wydzielała drobne kwoty w miarę potrzeby.

Sama Paszkowska wstawiała rano, lubiła myć się gruntownie, a po śniadaniu szła do pracy. Ubiór jej odznaczał się wielką skromnością, ale wszystko na niej było czyste i w porządku. Po za stosunkami koleżeńskimi trzy Marje stykały się wśród studenterji jedynie z „organicznikami”, vulgo z t. zw. „Ujeżdżalnią”, organizacją młodzieży niesocjalistycznej. W jej ręku znajdowała się polska biblioteka, mieszcząca się w jednym z zakładów wyższych technicznych. Bibliotekarze i bibliotekarki, zwykle ruchliwsi z pośród organiczników, usiłowali nawiązywać rozmowy z nowicjuszami i nowicjuskami, oddziaływać na nich w ten sposób, wciągać do ściślejszej organizacji i „ujeżdżać”. Właśnie rozmowy te, toczone się w bibliotece, dostarczały trzem Marjom przedmiotu do dysput w domu. To był główny wątek ich życia ideowego, prowadzący do bliższych stosunków z organicznikami. W następnym roku Marje się rozdzieliły: Koplewska wyszła za mąż za Juszkiewicza. Marja Paszkowska, z natury swej niezmiernie towarzyska, zaczęła nawiązywać stosunki na prawo i na lewo, przedewszystkiem stosunki prostej znajomości. „Miała rozległe stosunki, wszędzie jej było pełno” — około r. 1883, pisze o niej jej siostra, bawiąca wtedy w Petersburgu. Powątpiewam jednak, ażeby, gdy chodzi o „Gminę” petersburską, stosunki te były nico bliższe lub liczniejsze.

Gmina petersburska w latach 1881 — 1882 to w znacznej mierze przyszły „Proletariat”. Istnieje zbiorowa fotografia członków tej „Gminy”, zdjęta w tych czasach, kiedy Paszkowska była już w Petersburgu, zdaje się, w roku szkolnym 1881 — 1882. A właściwie istniała: niektóre odbitki zostały zniszczone, inne zaginęły, a pośród trzech, które ocalały, a przynajmniej o których miałem wiadomość jeszcze w r. 1914, wszystkie na Litwie, jedną Niemcy zniszczyli, zabierając z opustoszałego domu wszystko, co było do zabrania, druga spaliła się podczas pogorzeli dworu w Medemrode, trzecia zawieruszyła się

gdzieś i dotychczas nie zdołałem jej odszukać. Jest tam A. Zakrzewski, Kunicki, Rechniewski z narzeczoną swoją, Witoldą Karpowiczówną, leśnik Stankiewicz (niewykryty członek Centralnego Komitetu „Proletariatu”), Włodzimierz Zubow (inny, również niewykryty, członek tegoż Komitetu) z żoną Zofją Bielowiczówną, Jan Bielski z żoną Staniewiczówną, siostrą prof. Leona i Wiktora, czynnie współdziałający jako inżynier libawski przy ucieczce przez Libawę słynnego Degajewa, medyczka Daniłowiczówna (późniejsza adwokatowa Zmaczyńska), a na dole w postawie wpół leżącej przedwcześnie zmarły krytyk literacki, Bronisław Białobłocki, Aleksander Dębski i Edmund Płoski, ci dwaj ostatni zbyt dobrze znani z historii „Proletariatu”.

Paszkowska była poza tą Gminą, choć z wileńczykami utrzymywała stosunki towarzyskie. W każdym razie Zofja Bielowiczówna-Zubowowa bywała w mieszkaniu trzech Maryj i nawet jednego dnia po swojej wizycie wywołała oburzenie Paszkowskiej, przyniosłszy do herbaty rannej obwarzanki. Paszkowska najniestęśniej zoczyła w tym czynie litościwy gest zamkniętejszej koleżanki! Wogóle Paszkowska nie miała podczas pobytu swego w Petersburgu nic wspólnego z „Proletariatem”, a jeżeli istniały jakieś stosunki, to nie większe, niż z kółkami „Narodnej Woli” wśród młodzieży wyższych zakładów — organizacji, w której rej wodzili studenci Hausman i Kahan-Bernstein, obaj straceni podczas masakry jakuckiej, i w której imieniu student Podbielski na otwarciu uniwersytetu petersburskiego spoliczkował ówczesnego ministra oświecenia.

Kółko „Narodnej Woli” istniało i na kursach Bestużewskich: z osób, należących do niego, pamiętam, prócz mojej żony, jedynie nazwiska Belli Kuliszewówny i naszej rodaczki, Federowiczówny. Właśnie żona moja poznała Paszkowską w tem kółku. Paszkowska bynajmniej do niego nie należała, a znalazła się wśród niego przypadkowo, zaszedłszy do mieszkania, gdzie odbywało się zebranie. Jeszcze później wileńczycy odegrali dużą rolę we wskrzeszeniu tradycji „Narodnej Woli”, w zamachu 1887 r., na Aleksandra III, w którym uczestniczył, między innymi, Uljanow, brat Lenina. Byli tam z Wilna zamieszani: Józef Łukaszewicz, skazany na śmierć, ale ułaskawiony, długoletni szlisselburczyk, później profesor uniwersy-

tetu wileńskiego, zmarły w Wilnie w r. 1928, Bronisław Piłsudski i Tytus Paszkowski, stryj stryjeczny Marii. Marię łączyły z niektórymi z nich jedynie stosunki towarzyskie. Nawet zeznania Kanczera, który specjalnie jeździł był w r. 1887 w towarzystwie żandarmerji do Wilna, aby wskazać mieszkania, gdzie był, nie wyspały Paszkowskiej: była całkowicie poza obrębem całej akcji.

Wyspała ją o wiele wcześniej „Ujeżdżalnia“. Tutaj jeden z uczestników celem zdobycia poważniejszych środków pieniężnych na cele polityczne, powziął myśl takiego samego czynu, jakiego dokonał był Raskolnikow w znanym utworze Dostojewskiego „Zbrodnia i kara“. Żandarmerja, wpadłszy na ślad stosunków bohatera tej dziecinnie marnej afery z niektórymi członkami „Ujeżdżalni“, zaczęła na prawo i na lewo aresztować wszystkich, którzy znajdowali się w obrębie jej wpływów, choć ci nic nawet nie słyszeli o zamiarach pozyskania środków pieniężnych drogą rabunku i mordu. Między innymi aresztowano wtedy i Paszkowską w nocy z dn. 5-go na 6-go marca 1884 r. Zresztą odpokutowała w tym wypadku raczej za swoje znajomości towarzyskie, niż za jakiegokolwiek czynu konkretnego.

Aresztowanie to zamyka sobą czasy petersburskie Marii i kładzie kres jej studjóm na kursach Bestużewskich. W tym okresie Paszkowska pozostawała w stosunkach towarzyskich z przedstawicielami różnych kierunków: z młodzieżą z pośród „Narodnej Woli“, z działaczami z „Ujeżdżalni“, z niektórymi osobami z Gminy petersburskiej. Wogóle, nie widziała przed sobą pewnej drogi. W r. 1890, kiedy rozpoczynała się moja walka z ludowcami z „Głosu“, Paszkowska szczerze i serdecznie utyskiwała przedemną, czemu „dobrzy“ ludzie muszą się kłócić z sobą i jak by to było pięknie, gdyby nas mogła wszystkich widzieć na rozmowie przyjacielskiej i w zespole czynu! Otóż w Petersburgu Marja obcowała z „dobrymi ludźmi“ różnych obozów, jeszcze do żadnego z nich nie przychylając się ostatecznie. I odpokutowała jedynie za swoje znajomości z jednym odłamem „dobrych“ ludzi, nie zaś za rzeczywistą jakąś robotę nielegalną, przynajmniej nie za robotę systematyczną. Bo prawdopodobną jest rzeczą, że mogła podejmować się przypadkowych, niewielkich zleceń — raczej w imię przyjaź-

ni dla kogoś, niż jako rzeczniczka zasad przez tego kogoś wygłaszanych^{*)}).

Marja przesiedziała w Petersburgu w „Predwarilce” 15 miesięcy, poczem zesłano ją pod dozór policyjny na trzy lata do Wilna. W więzieniu była mocno zdenerwowana, źle sypiała, zwłaszcza przygnębiająco działała na nią myśl, iż została przed nią zamknięta możliwość wyższych studjów. Do Wilna przyjechała latem 1885 r. Czekwały ją tutaj nieznane dotychczas przykrości.

A zaczęły się od trudności wynajęcia mieszkania. Chce mieszkać sama! — jakaś podejrzana panna! Jest pod dozorem policji — niebezpieczna!... Nie odnajmują jej pokoju i wymawiają wynajęty. I również niewiele było osób w bogobojnem Wilnie, które oddałyby dzieci swoje z zaufaniem nauczycielce — pannie, co mieszka sama i pozostaje pod dozorem policyjnym.

Obracała się w kołach radykalnych. Policmajster Wilna, Kleigels, nakazywał meldować się o tej samej godzinie i w tym samym dniu wszystkim osobom, będącym pod dozorem policyjnym, dzięki czemu wszyscy zaznajomili się i zbliżyli nawzajem. Między innymi w ten sposób Paszkowska poznała członka „Proletariatu”, dr. Kowalewskiego, i jego małżonkę. Jednego dnia Paszkowska nie wstała, gdy Kleigels wszedł do sali. Ten uniósł się, zaczął krzyczeć, zrobiła się kompletna awantura, ale nie znam jej szczegółowego przebiegu.

Marja żyła głównie w kółku Rymkiewiczów. Po niepowodzeniach, jakie ją spotkały przy poszukiwaniu pokoju, zamieszkała ostatecznie u Dominika Rymkiewicza. Tutaj spotykać się musiała z Łukjanowiczem, ze szczątkami „Proletariatu” i z niektórymi z wileńczyków, którzy byli potem zamieszani do zamachu 1887 r. Jak i w Pitrze, sama nie należała do „Proletariatu”, ale wyświadczała tej partji różne drobne usługi. Między innemi wyszukała nocleg dla Aleksandra Dębskiego.

*) Płaczę się mi po głowie jakieś niejasne wspomnienie, iż Marja w ostatnich czasach pobytu swego w Petersburgu pracowała u boku jakiejś wielkiej filantropki z pośród arystokracji rosyjskiej. Pani ta całą działalność swoją otaczała jaknajwiększą tajemnicą, i Marja nigdy przed nikim nie ujawniła jej nazwiska.

Było to w jakimś wrześniu lub październiku 1885 r. Dębski, będący na liście najbardziej skompromitowanych osób z pośród „Proletariatu“, przyjechał nielegalnie z zagranicy celem nawiązania zerwanych stosunków. Przybył, między innymi, do Wilna. Trzeba było znaleźć dla niego bezpieczne mieszkanie. Polecono to zrobić Paszkowskiej. Ta wywiązała się z tego zadania wybornie i w całej pełni wykazała swój zmysł praktyczny, jakiego tyle dowodów złożyć miała później. Albowiem, gdy Dębski udał się pod wskazany adres, znalazł się w zamożnym trzypokojowym mieszkaniu kawalerskim. W pierwszym pokoiu gospodarz i goście jego „różnili“ w karty, Dębskiemu oddali do rozporządzenia ostatni pokój. Szulerka ciągnęła się noc całą, i mieszkanie charakterem swojego gospodarza dawało rękojmię jaknajwiększego bezpieczeństwa. Dębski, ufny, iż nikt niepotrzebny tutaj nie zajrzy, zasnął snem twardym.

* * *

Przy pierwszej możliwości opuszczenia Wilna Marja wyjeżdża do Warszawy. Po ciężkich czasach wileńskich nastąpiło biedowanie w Warszawie. Mieszkająca wtedy z nią Józefa Czarnowska opowiada, że w r. 1889 Paszkowska nie zawsze jadła obiady. Utrzymywała się z lekcyj przygodnych, bo jako osoba, która była pod dozorem policyjnym, nie mogła się ubiegać o lekcje w szkole.

Chadzała jeszcze luzem, gdy chodzi o przekonania. Mam wrażenie, że w głębi marzyła o zespole wszystkich „dobrych“ ludzi. A ponieważ sympatje jej pod tym względem wiązały się zawsze mocno z osobami, które darzyła swoim zaufaniem, przeto właściwie w ciągu paru lat wahała się pomiędzy Janem Popławskim, podówczas jeszcze ludowcem, a mną, socjalistą. I właśnie z powodu tej chwiejności doszło do nieporozumienia mego z Paszkowską, zwłaszcza, że daleka była naówczas od swojej przyszłej ostrożności konspiracyjnej. Co miała na myśli, to było i na języku!

Ku wiosnie 1890 r. doszło do ostrych porachunków w prasie pomiędzy socjalistami, którzy w „Prawdzie“ ówczesnej znaleźli trybunę pisarską, a ludowcami z „Głosu“, podnieconymi z powodu powstawania przeciwstawiającego się im legalnego ośrodka socjalizmu i zirytowanymi przez przygotowania do

pierwszego obchodu Pierwszego Maja. Uderzono na mnie, jako na głównego rzecznika nieulubianych poglądów. Zawiazała się namiętna polemika. Marja znalazła się w ciężkiej sytuacji: „dobrzy” ludzie wzięli się za łby! Zaaferowana przybiegała prawie codziennie do nas i tak samo często i tak samo zaaferowana bywała u Popławskich, nad którymi wtedy mieszkała w tym samym domu. Zdaje się, że po raz pierwszy stanęła przed nią sprawa konieczności obrachunku z samą sobą w zakresie przekonań i sposobów działania. Dawało się wyczuć z jej dopytywań się, iż chciałaby się sama zorientować w różnicach, występujących pomiędzy socjalistami a ludowcami — tembardziej, że ludowcy w ciągu paru lat kokietowali z socjalizmem, przeciwstawiając jedynie swój „socjalizm narodowy” międzynarodowcom. Sprawa była dla Paszkowskiej tem trudniejsza, iż, stykając się w ciągu lat wielu z radykałami rosyjskimi, narodnikami przeważnie, których ludowcy nasi byli narazie polską edycją, wchłoneła w siebie dużo pierwiastków myśli opozycyjnej rosyjskiej, i było dla niej niespodzianką, iż socjalizm ma jakieś poważne zarzuty przeciw narodniczestwu. W tem zaaferowaniu powtarzała u mnie szczegółowo wszystko, co mówił Popławski lub ktoś z jego otoczenia, nawet to, w jaki sposób mają mnie zaczepić i jakie wysunąć założenia. I miałem wszelkie powody mniemać, że to samo powtarzało się u Popławskich, gdyż niekiedy jednocześnie ze swoim artykułem w „Prawdzie” znajdowałem jak gdyby gotową odpowiedź w „Głosie”...

Były to czasy wielkiego podniecenia, obejmującego rozległe zastępy młodzieży uniwersyteckiej i nawet dalsze koła w społeczeństwie. Doszło do zerwania z Paszkowską, gdyż miałem ją za osobę, zupełnie oddaną „Głosowi”. Jak pokazały lata następne, omyliłem się! Paszkowska odsunęła się niebawem od ludowców, którzy się zaczęli gwałtownie przekształcać w endeków. Odstreczyli ją bodaj nie założeniami swojemi taktycznemi, ale coraz silniej występującą nietolerancją rasową (antysemityzm) i swojemi sposobami walki. Szukała w ciągu lat paru, do jakiego ma stanąć ordynku. Wreszcie znalazła to, czego szukała, w Polskiej Partji Socjalistycznej, która otworzyła przed nią możliwość najodpowiedniejszej dla niej działalności praktycznej. W każdym razie już w r. 1892 lub 1893 mu-

siała mieć jakieś nowego rodzaju porachunki z żandarmerją. Wczesną wiosną 1892 r. musiałem na czas dłuższy wyjechać z Warszawy. Gdy powróciłem, Paszkowska zawiadomiła mnie, iż pułk. żandarmerji, Debil, bardzo troskliwie dopytywał się jej o moją osobę. Z rozmowy ówczesnej z Paszkowską wyczułem, iż Paszkowska jest w trakcie przejścia od teorii o „dobrych” ludziach do wyraźniejszych przekonań. A kiedy niebawem została aresztowana w r. 1895 lub 1896, miała przed sobą drogę już jasno wytkniętą. I chociaż lata te wybiegają poza zakres, który wyznaczyłem swoim wspomnieniom, przecież pozwolę sobie pomówić nieco o tem aresztowaniu, gdyż obecnie, bodaj, nikt lepiej nie zdoła wywiązać się z tego zadania, gdy chodzi o charakterystykę zamieszanych wtedy osób.

Paszkowska była aresztowana w sprawie K. Lichtańskiego.

Parę słów o Lichtańskim. Ciekawa to była postać, jedna z tych oryginalnych, dzielnych postaci, które zmarnowały się i zdziwaczały skutkiem ciężkich warunków politycznych. Jako uczestnik powstania 1863 r. został wysłany na Syberję i zaliczony pomiędzy cięższych przestępców politycznych. Zdaje się, uczestniczył w powstaniu zabajkalskiem. Spędził wiele lat w ciężkich robotach, podobno, przykuty do taczek. Około jakiegoś roku 1880 wrócił jako mężczyzna czterdziestoletni i wtedy połączył się związkiem małżeńskim z dawną swoją narzeczoną, która oczekiwała go około lat 20-stu w panieńskim stanie. Para ta robiła dziwne wrażenie — istot, które jakgdyby utraciły należyte poczucie rzeczywistości. Rzekłbym — ludzi nie z tego świata, ludzi uczciwych, żyjących: on swojemi myślami, ona myślami męża, przejętych ideą znalezienia nowych dróg dla ludzkości, a w życiu codziennem niezaradnych jak dzieci. Na katordze Lichtański oddawał się napiętej pracy umysłowej, ale pracy w oderwaniu od kraju, od ludzi, a przede wszystkim od nauki. Umysł jego, niewątpliwie głęboki i niewątpliwie oryginalny, uległ zwicnięciu. Stworzył cudacki, niekiedy zupełnie niezrozumiały, sposób wypowiadania myśli swoich, jak to często bywa z ludźmi, borykającymi się ze swojemi myślami w odosobnieniu. Po raz pierwszy zwróciłem uwagę na K. Lichtańskiego z powodu drobnych jego artykułów, drukowanych w „Głosie”, a podnoszących ulubioną



Marja Paszkowska w sile wieku.

w tem piśmie sprawę przeciwstawności pomiędzy kulturą swojską, ludową, a kulturą szlachecką. Zostałem przez Marjana Bohusza (I. K. Potockiego) wprowadzony do Lichtańskich. Zastałem tam całą gromadkę wiernych, zapatrzonych w Lichtańskiego, jak w proroka. Swego rodzaju mały kościół. Była tam Czesława Przewóska, Melanja Lipińska, jeszcze parę pań, których nazwisk nie pamiętam. I sam Bohusz znajdował się także pod urokiem K. Lichtańskiego. Zasiedziałem się u nich do późna. Czułem, że niewątpliwie mam przed sobą postać niezmiernie oryginalną. Pamiętam jego wywody o wieku XIX-ym, iż przetłumaczył ducha na materję, o sprawie kobiecej, iż kobieta nie jest ani wyższa, ani niższa od męczyzny pod względem uzdolnień, gdyż jest istotą odmienną. Jego rzuty myśli wywoływały niekiedy kompletne zdumienie swoją oryginalnością i śmiałością. Ale te fajerwerki myśli, olśniewające swoją wspaniałością, ginęły wśród niezrozumiałych lub nudnych objaśnień i komentarzy. Traciło się wątek jego wywodów, stawało się w obliczu istotnych rebusów, póki jakiś fajerwerk nie wynagrodził tych chwil jałowych. Kobiety były olśnione i, kiedy przed jedną z nich wypowiadałem w kilka dni później sąd, tylko co przytoczony, ujrzałem przed sobą osobkę zaperzoną, która mi z wyraźną pogardą dla mojej jasności odparła: właśnie to, że go trudno zrozumieć, świadczy o jego genjałności — umysł nasz jest zbyt słaby, ażeby dotrzymać mu kroku...

Lichtańscy utrzymywali się z wynajmu dorożek. Zdaje się, szło im niezbyt dobrze, brakło im umiejętności pilnowania dorożkarzy, wogóle właściwości dobrego przedsiębiorcy. Później, straciwszy częściowo swój kapitałik, porzucili dorożkarstwo i założyli czytelnię na ulicy Chmielnej, najpierw bliżej Brackiej, później prawie na rogu Marszałkowskiej. Otóż pewnego dnia w czytelni zrobiono rewizję, aresztowano Lichtańskiego — tembardziej, iż znaleziono w jego papierach projekt konstytucji rosyjskiej z uzasadnieniem jej konieczności. Aresztowano wtedy i Paszkowską. Urządzono zasadzkę w czytelni, z której Niuta (Mielnikowa) wydostała się dzięki temu, iż nazywała się Mielnikową, a ktoś z męczyzn uderzył w oczy policjanta przy drzwiach i zemknął.

Dzisiaj już nie pamiętam, w jaki sposób powstało to dziwne skojarzenie osoby tak praktycznej i trzeźwej jak Paszkowska

i zdziwaczalego filozofa, stojącego pod względem politycznym na gruncie ugody. Ani na chwilę nie myślę, ażeby Paszkowska należała do maluchnego kościoła, który był powstał dokoła Lichciańskiego, choć, jako osoba niezmiernie towarzyska, lubiąca przyglądać się wszelkiego rodzaju ludziom, mogła częściej bywać w jego domu i zaznajomić się z Lichciańszczykami. Mniemam, że rewizja u Lichciańskiego nastąpiła raczej z powodu obrania przez Paszkowską jego czytelní, jako miejsca spotykania się z innymi uczestnikami pracy konspiracyjnej. Możliwa, iż Paszkowska nawet celowo nawiązała serdeczniejsze stosunki z Lichciańskimi, ażeby tem łatwiej usadowić się w czytelní. Sprawa sama nie była i nie mogła być poważna. Paszkowską niebawem wypuszczono. Zdaje się, iż i Lichciańskiego niezbyt długo przetrzymywano: nawet żandarmi musieli zrozumieć, że mają przed sobą dziwaka.

O późniejszych czasach inni będą pisali. W latach tych spotykałem się z Marją dorywczo, zwykle chodziło o jakieś wskazówki natury teoretycznej, lub dyktowanie artykułów nielegalnych, które zabierała. Ostatni raz dyktowałem jej artykuł w mieszkaniu jednego z obecnych dygnitarzy Ministerstwa Oświecenia, poświęcony Januszowi Tańskiemu i jego pogrzebowi, który był pierwszą tego rodzaju wielką manifestacją socjalistyczną. Było to w grudniu 1899 r. Rzecz miała iść do „Robotnika“. W kilka tygodni później zostałem aresztowany. Jeszcze po przejściu paru tygodni i redakcja „Robotnika“ w Łodzi została w r. 1900 odkryta. Artykuł mój nie ujrzał światła dziennego.

Mógłbym na tem zakończyć swoje wspomnienia, pozostawiając innym opowieść o latach późniejszych. Ale co do tych czasów mam parę szczegółów o Paszkowskiej, które warto przytoczyć.

Najpierw jej przygnębienie z powodu nieszczęsnej sprawy Maleckiego.

Malecki Romuald, syn wieloletniego zesłańca na Syberję, był kuzynem Paszkowskiej przez Wojszwitów. W chwili skandalu, który tak przygnębiająco oddziaływał na Paszkowską, był to młodzieniec dwudziestoparoletni. W dzieciństwie Paszkowska miała go niejednokrotnie na kolanach — okoliczność, która w uczuciowej naturze Marji pozostawiła swoje ślady. Otóż

w Wilnie około r. 1903 pojawiła się gromadka młodzieży osobliwego znaku. Było tam nieco Nietzsche'izmu, zresztą podfałszowanego à la Przybyszewski, i tak samo opacznie pojętego hasła o „Uebermenschu“, a więc o człowieku, który jest „po tamtej stronie“ wszelkiej moralności i któremu wszystko wolno w myśl powiedzenia: tak chcę — tak będzie. A właściwie była to gromadka entuzjastów, którzy — słabego charakteru — dali się zepchnąć na bezdroża i przedzierzgnęli się w osobliwego rodzaju złotą młodzież. W tym charakterze wysiadywała w cukierniach, rozbijając się dorożkami, naszpikowana bezwiednie założeniami anarchizmu indywidualistycznego, choć pod etykietą socjalizmu. Przewodził gromadce niejaki Winkler, osobistość niewątpliwie bardzo zdolna, umiejąca narzucać swoją wolę innym, ryzykowna, wyzuta z jakichkolwiek skrupułów. Doskonale przedstawiciel tego, co Anglicy nazywają *moralitus anity*. On to nadawał ton gromadce, może dobrych, ale słabych woli i podatnych na błyskotliwą sugestję młodzieńców, którzy przed przybyciem Winklera marzyli o działalności rewolucyjnej i o poświęceniu się dla idei. Powstała cudaczna mieszanka ideowości i indywidualnego użycia. Gromadce brak było pieniędzy na cele społeczne. Winkler opętał tę gromadkę oryginalnym projektem zyskania środków na cele społeczne. Żył w Wilnie stary kawaler, Tomaszewski, kuzyn Maleckiego, noszący przy sobie cały swój majątek w postaci papierów zastawnych. Winkler wyperswadował swojemu stadku, że dobrze byłoby pieniądze, które przejada ten „truteń“, Tomaszewski, użyć na cele głębsze, społeczne. Zdaje się, o indywidualnem przywłaszczeniu nie było wtedy ani mowy. Na to odrazu oburzyliby się niektórzy z gromadki.

Winkler szpryką zatruł Tomaszewskiego, trupa jego wpakowano do kosza, przewieziono do Mińska, a z Mińska wyekspedjowano jako towar dokądś na bardzo daleką stację, może nawet na Syberję. Niektórzy z uczestników przeżywali podczas mordu ciężkie chwile. Jeden z nich podczas pakowania trupa do kosza beczał na łóżku, a Malecki w więzieniu całymi dniami się modlił. Winkler zagarnął wszystkie pieniądze i ulotnił się z Wilna, a kiedy po wykryciu zawartości kosza aresztowano współników, wzięto do więzienia jedynie bierne narzędzia. Uciekając jeszcze przed wykryciem kosza, Winkler w Warszawie od

obecnego prof. W. M. pożyczył poduszkę na drogę dalszą, a mnie zaś był, aby zasięgnąć informacji o Ameryce, dokąd wyemigrował. Podał fałszywe nazwisko, później z opowiadań wymiarkowałem, iż był to Winkler. Zrobił na mnie wrażenie silnej indywidualności. Sprawa ta kosztowała Paszkowską bardzo wiele. Ze łzami w oczach opowiadała o dzieciństwie Maleckiego, o jego rodzicach, o poważaniu, jakim nazwisko Maleckich cieszyło się w Wilnie, o hańbie, jaką dotknięte zostało.

Wypada mi jeszcze wspomnieć o innem zmartwieniu Paszkowskiej.

Było to podczas ruchu wolnościowego 1905 r. Na jednym z pierwszych wieców w Filharmonji warszawskiej Paszkowska w którymś z pustych korytarzy niemal napadła na mnie: co o ni myślą? Okazało się, że miała na myśli pepeesowców, a następnie wszystkich innych socjalistów i radykałów. „Co oni myślą?” — chodziło o pochopność, a nawet lekkomyślność, z jaką dotychczas zakonspirowane pseudonimy były występować na wiecach pod swojemi własnemi nazwiskami i ujawniać swoje przydomki partyjne. Paszkowska, która dużo widziała i, w porównaniu z większością partyjników, była osobą starszego wieku, wyczuwała całe niebezpieczeństwo, płynące z tego nadmiernego przejęcia się paru miesiącami swobód wiecowych, a także z zaufania, iż swobody pozostają w swojej mocy i nadal. Twarz jej była tak stroskana, ruchy tak rozpaczliwe, głos tak załamany, iż mimowoli powiedziałem jej, iż jest jako kura w ludzkiej postaci, która wychowała kaczetą. Kaczeta poszła na wodę, a kura biega dokoła brzegu i gdacze. Paszkowska roześmiała się i potem zrobiła niemal ze złością jedną tylko poprawkę w mojej ilustracji: to nie są kaczetą, tylko kuraki, które potoną! Jeszcze parokrotnie przy ówczesnych widzeniach ze mną wracała do tego przedmiotu w obawie, iż zbyt pośpieszne wyjście z ostrożności konspiracyjnej może pociągnąć skutki ujemne. Sprawa ta musiała leżeć jej mocno na sercu. Upłynęło parę miesięcy, i obawy Paszkowskiej okazały się słuszne.

GENOWEFA REWERELLI.

WSPOMNIENIA SIOSTRY

Marja Gertruda Paszkowska urodziła się w r. 1859 w majątku Łabejkach, w Kowieńskim. Majątek ojciec nasz dzierżał od p. Kiersnowskiego, dziada byłej p. Prezydentowej Wojciechowskiej. Ojciec nasz był szlachetnym, uczciwym człowiekiem i dobrym gospodarzem, ale zmiany, zaszłe w całym życiu ekonomicznem w r. 1861, wytrąciły go z równowagi, zmusiły do zwinięcia własnej gospodarki i szukania pracy gdzieindziej. Jeden z kuzynów namówił go do wyjazdu do Rosji, na rządcę dużego i ładnego majątku w gub. Twerskiej. Rodzice wyjechali tam na czas pewien dla poprawienia interesów i nawet inwentarza nie wysprzedali całego, lecz pozostawili u krewnych. Marja miała wtedy 2 — 3 lata.

W Rosji rodzicom działo się coraz gorzej materialnie, ale nadzieja na lepsze losy i powrót do kraju długo ich nie opuszczała. Tymczasem czas upływał. Marja dochodziła do lat 9-ciu.

Matka nasza pierwszą młodość spędziła w Kowieńskim i Wileńskim na wsi. Ojciec jej, Erazm Wojszwillo, miał mały mająteczek na Żmudzi. Matka nasza była żywa jak skra, wesoła, pełna pogody i energii, pomimo, że życie jej nie oszczędzało. Potrafiła też do starości zachować młodzieńczą wiarę w ideały i ludzi. Miłość bliźniego i ofiarność jej były bezgraniczne. Wyrwana z gruntu rodzinnego, mając zaledwie lat 20, i przeniesiona do Rosji, pomijając łzy, które wylewała z żalu, musiała przebyć na wstępie strach przed burłakami (jak się na Litwie nazywało chłopów Wielkorusów). Opowiadała, że, jadąc końmi z matką Marją i niańką, Zofją, którą wywiozła z kraju, gdy w drodze stanęły w zajeździe (w wiejskiej chacie) na nocleg, całą noc

nie zasnęły, gdyż były przekonane, że burłak z brodą, śpiący obok na ławie, jak tyłko zasną — pozarzyna je.

W Rosji interesy rodziców szły coraz gorzej, gdy tymczasem rodzina się powiększała. Mieszkaliśmy na wsi. Ojciec zawsze był zapracowany i zafrasowany. Matka dużo czytała, sama nauczywszy się po rosyjsku, czytała bez wyboru wszystko, co było pod ręką, we dworze, na plebanji u popostwa czy w mieście najbliższem. Ale dusza jej pragnęła czynu, obcowania z ludźmi. Czuła się wyższą ponad otoczenie, któremu mogła być użyteczną. Od czasu, jak siebie zaczęłam pamiętać, matka trudniła się leczeniem: w izbie leży burłak z brodą, ale matka go się już nie boi — leczy; przed ganek zajeżdża wóz, wysiada ranny, matka obmywa mu ranę, drze szarpie; zbiera trawy, suszy ziółka... Sława jej rozchodzi się daleko. W stołowym pokoju przy stole siedzi kilkoro dziatwy. Mama uczy czytania i pisania. Uczy chłopców i dziewczynki. To ostatnie było nowością, i mama musiała dopiero namawiać matki, aby i dziewczynki uczyły się czytania... Wieczorem przychodzą młode mężatki i panienki (popówny i inna inteligencja wiejska). Matka uczy je robótek, prowadzi z nimi rozmowy na tematy, które ją samą interesują.

Marja bierze gorący udział w tych posiedzeniach, uczy się robót szydełkowych, robi końce do ręczników, które wieśniaczki kupują po 5 kop. za dwa końce. Jednocześnie Marja z zapamiętem zbiera pieniądze na założenie życia nie z a l e ż n e g o. Gdy zebrała kilkadziesiąt kopiejek, wyniosła się do pokoiczku na strychu wraz z jedną uczennicą matki, i tam przez cały dzień pracowały i marzyły o życiu z własnej pracy. Ale o zmroku towarzyszka porzuciła Marję, która też, skonfundowana, zeszła na dół — obie nie mogły znieść ciemności...

W zabawach dziecinnych Marja była bardzo pomysłową, wkładała w nie dużo życia i zawsze musiała przewodzić i kierować nami, choć po za młodszem rodzeństwem były tam i inne dzieci, starsze.

Miała lat 9, kiedy ojciec zawiózł ją do Włna, do ciotecznej babki i jej matki chrzestnej, Obruckiej — bezdzietnej staruszki. Rodzice oddawali jej Marję do czasu powrotu swego do kraju i mieli za nią płacić. Jednakże płacili bardzo krótko, do kraju zaś już nie powrócili wcale, i biedne dziecko w imię nauki — wykształcenia przecierpiało bardzo dużo.

Wyrwana z atmosfery ciepła domowego, swobody, współżycia z naturą, oddana była na łaską i niełaskę krewnych, chociaż dobrych i inteligentnych, ale już bardzo dalekich z ducha. Rozpoczęło się wychowanie i musztrowanie. Babka była osobą z gruntu dobrą, ale dewotką, która całe dnie spędzała na modlitwie, szyciu ornatów i obcowaniu z księżmi. To też wychowanie Marji potoczyło się w kierunku religijnym: chodzenia po kościołach, klęczenia przed Ostrą Bramą, spowiedzi i t. d. Dziecko w tęsknocie po rodzinie łatwo przejęło się temi nastroszeniami i w ciągu pierwszych lat pobytu w Wilnie odznaczało się wielką pobożnością.*)

W naukach Marja była pilną i zdolną. Leonard i Dominik Rymkiewiczowie, jeszcze jako młodzi chłopcy, przygotowali ją do III klasy Instytutu Maryjskiego, który ukończyła w r. 1875-76. Pozbawiona przez tyle lat opieki matki, która nawet ani razu odwiedzić córki nie potrafiła, Marja wyidealizowała rodzinę, dusza jej zasklepiła się w sobie, a pojęcia kształtowały się samodzielnie. Stała się więc do walki z babką i z całym otoczeniem.

Po skończeniu Instytutu pierwszą jej myślą było pojechać do rodziny, pomóc jej materialnie, uczyć siostrę i młodsze ro-

*) Z „Urywków, zapamiętanych z opowiadań Marji Paszkowskiej”, dostarczonych nam przez Katarzynę Rogowską, dowiadujemy się, że „Marja Paszkowska miała smutne wspomnienia z dzieciństwa, bo chowała się w wieku, kiedy dziecko najbardziej potrzebuje pieczyoty, u babki — kobiety wyjątkowo surowej, twardej i przykrej w obejściu. Chowano ją tam jak żołnierza, w rygorze i w dyscyplinie, wprost niesłychanej. Mówiła zresztą, że to się jej jednak przydało w życiu, że potem już nigdy nie lubiła wygod i niesystematyczności. Babki tej jednak pokochać nie mogła i, gdy ta jej opowiadała o przyszłym życiu w niebie, a straszyla piekłem — dziecko oświadczyło, że woli piekło, bo w niebie pewnie siedzą wszystkie babcie, więc i jej babcia także tam będzie! Babka podobno odchorowała to wyznanie, świadczące, że wszystkie jej nauki poszły na marne, że dziecko jest takie krnąbrne i niepobożne. Kiedyś dziewczynka zachorowała i czuła się tak niedobrze, że odważyła się babce powiedzieć, iż do szkoły iść nie może. Babka tak ją ofuknęła, że miała się przemogła i ubrała, jednak na samym progu u wyjścia zemdląła. Wtedy dopiero położono ją do łóżka. Babka zaniepokoiła się i krzątała się koło chorej bardzo, tak że wówczas dziecko przekonało się, iż babcia ją jednak kocha. Niestety, po wyzdrowieniu zaznała ponownie tej samej nieczułej surowości.”

dzeństwo... Nie bez trwogi przyjeżdża do domu i w matce spotyka najzupełniej pokrewną duszę. Porozumiewają się też doskonale. Ale ta nędza, którą znalazła, przechodziła jej wyobrażenie. Trudność znalezienia pracy, małe wynagrodzenie za nią pokazało wkrótce, że pomoc wydatnie licznej rodzinie nie może. Niesforne rodzeństwo nie było łatwe do ujarznienia dla 18-letniej pedagogiczki, otoczenie zupełnie obce — wszystko to złożyło się na postanowienie powrotu do ukochanego Wilna. Matka sprzyja temu zamiarowi, zaczyna się więc znowu zbieranie pieniędzy na drogę, i po roku pobytu w Rosji Marja powraca do Wilna, ale nie do babki.

Postanawia żyć sama, niezależnie, choć krewni i znajomi temu nie sprzyjają. Jednakże rok, przebyty w towarzystwie radykalnej matki, pomógł jej otrząsnąć się z reszty przesądów, i Marja stanęła do walki z otoczeniem. Żyje z lekcji, zamieszkując u p. Rymkiewiczowej — matki. Leonarda i Dominika, otacza się młodzieżą, należy do kółek samokształcenia. Góry wileńskie, Zakret, Zwierzyniec (wtedy dziewiczo piękny) są świadkami długich spacerów i całonocnych dysput nad kwestjami, żywo interesującami ówczesną młodzież. Tam się kształtowały przekonania i poglądy Marji. Tam odczuła braki wykształcenia i powzięła zamiar wyjazdu na wyższe kursa Bestużewskie w Petersburgu. Na drodze staje jednak brak środków. Krewni chętnie by wyłożyli na wyprawę, gdyby wychodziła zamaż, ale do „zguby” dziewczyny nikt ręki nie chciał przyłożyć, choć znalazł się wprawdzie jeden wuj, który gotów był pomóc, gdyby chciała wstąpić na medycynę. Wobec tego wszystkiego Marja jedzie na wieś do pp. Kiersnowskich jako nauczycielka i po raz trzeci zaczyna zbierać pieniądze dla przebicia sobie drogi w życiu. Uzbierała wreszcie w ciągu 3-ch lat 100 rubli. Oto jest u kresu swoich marzeń kilkuletnich.

W Petersburgu czuła się wybornie. Tam rozwinęła całą swą energję, a miała jej zasób nielada! Potrafiła zarobić na życie, uczyć się, czytać i brać udział w rozmaitych kołach i kółeczkach.*) W roku 1884 dnia 5 marca została aresztowana, bę-

*) Ze wspomnianych już „Urywków” Katarzyny Rogowskiej dowiadujemy się następnego szczegółu: „W Petersburgu Marja poznała pewną wielkoświatową damę rosyjską, która w wielkiej tajemnicy opiekowała się więźniami politycznymi (zdaje się, że i zwykłymi

dąc na III-im kursie. Jaki był powód aresztowania tego, nie wiem. Sprawy sądowej nie było. Administracyjnie siedziała jeden rok i trzy miesiące i została skazana „pod dozór policji” w Wilnie. Odwiedzałam ją w „Domu Predwaritielnawo Zakluczenija” w Petersburgu.

Więzienie odbiło się na niej fatalnie, gdyż ze zdenerwowania nie sypiała i źle jadła. Istnieją dwie fotografie Marji, jedna — to zdjęcie przed wstąpieniem na kursa: obraz siły i energii, oczy, śmiało patrzące przed siebie; drugie zdjęcie, powięzienne: zmizerowana i oczy o wyrazie żalu i przygnębienia. Utrata prawa na ukończenie kursów podziałała na nią przygnębiająco.

Powróciła do Wilna latem 1885 roku, i tu rozpoczęły się nowe pielgrzymki. Panna, co chce mieszkać sama! Podejrzana, bo jest pod dozorem policji. Podejrzana i niebezpieczna — oto tło, na którym życie wytknęło całą sieć nieprzyjemności, zatrutych istnienie zmęczonej więzieniem dziewczyny. Trudność otrzymania mieszkania i zarobków była jedną z najdotkliwszych przykrości. Ale w kochanym Wilnie — na Zakrecie i na górach — siły, zdrowie i energia prędko wracają, i, chociaż materialnie stała nie tego, nie brakowało podniety do pracy nad sobą i innymi. Od rana do późna przewijali się przez jej mieszkanie ludziska — przeważnie młodzież, z którą pracowała w kółkach. Podziwiałam zawsze, wtedy i później, jej pociąg do kołowania ludzi w otoczeniu. Mnie to męczyło, ona tylko wtedy żyła... Tak upłynęło lat kilka.

Gdy w roku 1899 została osadzona w Cytadeli Warszawskiej, Marja już od lat paru przebywała w Warszawie, gdzie skończyła kursa akuszerskie, ale pracować w akuszerji nie mogła (zemdląła dwa razy przy chorej). Posiadała tam sporo znajomych, miała lekcje i postanowiła na stałe osiąść w Warszawie. Odwiedzała mnie w Cytadeli, dostarczała żywności i książek i wystarała się o wypuszczenie mnie za kaucją. Zabrała mię do siebie, zaznałomiła mię z Warszawą, ale długo nie mogła u siebie zatrzymywać, gdyż materialnie stała bardzo słabo.

również), wkładając w to cały swój majątek. Pani ta zorganizowała cały sztab studentów, sama zaś trzymała wszystkie nici tej pracy w swoim ręku i była, zdaje się, świetną konspiratorką. Nawet po jej śmierci Marja nigdy nie wymieniała jej nazwiska, tak związała ją była słowem nazawsze.”

DOMINIK (MIROŚLAW) RYMKIEWICZ.

WSPOMNIENIA NAUCZYCIELA „MARJI“

Marja Paszkowska przyjechała z Rosji do Wilna około 1868 r. Wkrótce po tem, kiedy byłem uczniem VI kl. gimnazjum, poproszono mię o przygotowanie Marji Paszkowskiej do 7-mio klasowego żeńskiego Instytutu Maryjskiego. Widocznie pierwszy raz w życiu otrzymała nauczyciela, gdyż z pewnem przerażeniem i ze spotęgowaną uwagą słuchała, co 18-letni „pan profesor“ powie, notowała wszystkie uwagi, robione przeze mnie, na następnej zaś lekcji skrupulatnie je stosowała. Panienka okazała się pilną uczennicą i robiła dobre postępy w naukach. Ponieważ otrzymałem więcej lekcyj, a w tym czasie przyjechał po skończeniu kadeckiego korpusu wojennego brat mój, Leonard, więc zaprowadziłem go do swej uczennicy, której przedstawiłem go, jako swego zastępcę, obiecując przychodzić od czasu do czasu dla egzaminów i skontrolowania postępów w nauce. Nasze zjawienie się wywarło na Marylce wielkie wrażenie, tem bardziej, że brat przyszedł ubrany w mundur wojskowy.

Lekcje odbywały się regularnie, uczennica była pilna i w krótkim czasie zdała egzamin do 3-ej klasy Instytutu Maryjskiego, który ukończyła po latach 5-ciu, poczem wyjechała do Rosji, do rodziców, aby niebawem wrócić stamtąd do Wilna.

W r. 1875 w Wilnie działało rewolucyjno - kosmopolityczne koło samokształcenia, znajdujące się pod wpływem działaczy petersburskich, ogólnie nazywanych „nihilistami“. Do koła

tego należeli: mój brat, student Wołk-Leonowicz, Zmaczyńska, jej brat, później znany adwokat w Wilnie, Zmaczyński, Daniłowiczówna — żona adwokata Zmaczyńskiego, nauczycielka Zakrzewska i inni. Polacy uważali, że należy pomagać rewolucjonistom rosyjskim w ich dążeniu do obalenia caratu, co umożliwiłoby również odzyskanie niepodległości Polski. Kiedy Marja Paszkowska była w starszych klasach, uczęszczała na zebrania kółkowe, słuchała toczących się tam dyskusyj, lecz czynnego udziału w nich nie brała, uważając się za zbyt młodą i niedoświadczoną. Wychodziła stamtąd dość krytycznie usposobiona do uczestników kółek: nie podobały się jej rubaszne stosunki i niezwracanie uwagi na stronę zewnętrzną — wszak byli to „nihilisci”.

W r. 1879 brat mój, Leonard, wraz z Nikiforem Łukjanowiczem, sekretarzem sądu okręgowego, i robotnikiem Jogichesem założyli kółko rewolucyjnych socjalistów, mające stosunki z Rosją i Warszawą. N. Łukjanowicz, Ukraińiec, po roku 1883, kiedy wróciłem z wygnania na Syberji, zamieszkał u mnie, Jogiches (pseud. „Lowka”), przezwany „Wileńskim Lassalem”, był wybitnym agitatorom wśród klasy robotniczej i często wstępował do mnie w celu porozumiewania się z Łukjanowiczem w sprawach rewolucyjnych *).

Marja Paszkowska już w r. 1878 powróciła do Wilna dla dalszego kształcenia się i zarabkowania. W r. 1880 mieszkała przy naszej rodzinie, z naszą matką, siostrą i bratem. Wiedziała, naturalnie, o istnieniu kółka rewolucyjno - socjalistycznego, ale udziału w niem nie brała, gdyż była mocno zajęta lekcjami. Od nas przeniosła się do pp. Kiernowskich, wyjeżdżała na lato do ich majątku w Kowieńszczyźnie i uczyła ich dzieci, między którymi była przyszła prezydentowa Wojciechowska. Po zebraniu z tych lekcyj trochę pieniędzy wyjechała do Petersburga, gdzie wstąpiła na wyższe żeńskie Kursa Bestużewskie.

W tym czasie w Petersburgu istniały dwa koła polskie: jedno socjalistyczne, do którego między innymi, należał Broni-

*) Ten sam „Lowka” później jako Tyszko czy Grozowski był mężem socjal-demokratki Róży Luksemburg, pracował wraz z nią w Berlinie i wraz z nią został na ulicy zamordowany przez monarchistów niemieckich jako komunista.

sław Piłsudski, drugie patryotyczne, przezwane „ujeżdźalnią“, w którym byli Hrebnicki, Juszczyński, Baranowski, Weryżanka — znana później pedagogiczka, Marja Kupilewska, w przyszłości pierwsza żona Józefa Piłsudskiego i inni. Do tego kółka weszła również Marja Paszkowska. Polacy łączyli się między sobą: socjaliści często bywali w kole patryotów, Paszkowska była w obydwóch.

W r. 1884 na koło patryotów spadły aresztowania. W marcu tego roku wzięto studenta Hrebnickiego, Marję Paszkowską i innych. W r. 1885 Paszkowską wysłano do Wilna pod nadzór policji. Nie mogła ona znaleźć sobie mieszkania, wobec czego mieszkający u mnie wówczas N. Łukjanowicz wyniósł się, ustępując swój pokój Marji. Od tego czasu przestał chodzić do mnie „Lowka“, natomiast częstym gościem był Łukjanowicz, który zachwycał się inteligencją Marji. Tu odwiedzali Paszkowską koledzy studenci, tu widywała się ze swoim bliskim kuzynem, terorystą Tytusem Paszkowskim, który za udział w zamachu na cara Aleksandra III skazany został na 10 lat katorgi, poczem, wysłany na osiedlenie w kraju Jakutów, odebrał sobie w rozstroju nerwowym życie.

Brat mój w r. 1885 był „proletarijczykiem“, ponieważ zaś był żonaty z kuzynką Paszkowskiej, również Marją, więc Marja, bywając u mego brata, spotykała się z „proletarijczykami“, między innymi z Aleksandrem Dębskim.

Marja Paszkowska zarabiała na życie lekcjami i mieszkała u mnie aż do upłynięcia terminu nadzoru policyjnego, po którym natychmiast wyjechała do Warszawy, gdzie miała zamiar zostać na stałe, pociągnięta bujnym ruchem umysłowym i szeroką działalnością społeczną, zwłaszcza od powstania PPS., w której pracy brała czynny udział.

Z czasem Marja Paszkowska została zmuszona do opuszczenia Warszawy, przyczem pozwolono jej wybrać miasto na stały pobyt. Wybrała Wilno i zamieszkała u Marji z Paszkowskich Rymkiewiczowej, żony Leonarda. Nazywaliśmy ją wówczas „Hetmanicą“. Mieszkała u brata, którego mieszkanie było jednym z konspiracyjnych w Wilnie. Tu się widywała z pepeesowcami. Później, kiedy już była wyjechała na stałe do Krakowa, wpadała parę razy do Wilna pod obcym nazwiskiem.

Na tem kończę wspomnienia o swej drogiej uczennicy.

STANISŁAW POSNER.

„GINTRA“

Znałem „Gintrę“ tak dawno, jak znałem i pracowałem w PPS. W czasach najcięższej konspiracji, kiedy towarzysze „nielegalni“ ukrywali się bądź na terenie Kongresówki, bądź za kordonem, nie często dojeżdżając do Warszawy, kiedy co czas pewien ktoś się wsypywał i musiał uchodzić bez paszportu ku „zielonej“ granicy, albo pozostawać, za obcym przebywając paszportem, „Gintra“ (najstarszy pseudonim Marii Paszkowskiej) pozostawała na miejscu. Umiała tak dobrze zakonspirować swoje nazwisko, zajęcie, stan cywilny, tak się okopała przed nacierającą codziennie sforą psów policyjnych, że przetrwała wszystkie rządy, wszystkich policmajstrów, gubernatorów i generał-gubernatorów. Był to talent konspiracyjny pierwszej marki: nikt, kto ją znał powierzchownie, nie podejrzewał by jej o taki talent. Im bliżej ją znałem, tem więcej ją podziwiałem, tak doskonale była przystosowana do warunków, w których żyła i które przewyżczała i łamała na każdym kroku.

Skąd była rodem? Czem się zajmowała? Z czego żyła? Jakie prowadziła życie? Takie i tym podobne zapytania zadawał sobie każdy towarzysz, kto ją znał i przez czas dłuższy przyglądał się jej pracy.

Była nie „tutejsza“, nie z Warszawy i nie z Mazowsza. To było oczywiste. Czy nazywała się naprawdę „Paszkowska“? Sama o sobie nie mówiła nigdy. W stosunkach towarzyskich była uprzejma, potrafiła być bardzo miła. Często miała uśmiech na twarzy, w szczególności w oczach. Po kilku minu-

tach rozmowy było oczywiście dla warszawiaka, że to „Litwinka”. Przybyła do Warszawy z Petersburga, z Kursów Bestużewa, gdzie znały ją Polki, tam studjujące. Relegowana z Petersburga, znalazła się w Warszawie, a nie mogąc nigdzie się uczyć, nie mogąc ulegalizować swojej pracy rewolucyjnej, wstąpiła na kursy akuszeryjne, które podówczas istniały przy uniwersytecie warszawskim. Nigdy, oczywiście, kursów tych nie skończyła, znalazła bowiem inny sposób stworzenia sobie sytuacji legalnej: została nauczycielką języka rosyjskiego. Z wielkim upodobaniem dawała lekcje w domach wysokich urzędników carskich, stwarzało to bowiem doskonały pancerz, o który rozбивały się podejrzenia policyjne. Z uczennicami swemi utrzymywała blizki, a niekiedy serdeczny kontakt, i temu kontaktowi PPS. zawdzięcza nie jeden nocleg czy osłonę lub ucieczkę w razie potrzeby. „Gintra” była poprostu genialna, gdy o takie chodziło rzeczy.

Mało kto wiedział, gdzie „Gintra” mieszkała. Miała swoje konspiracyjne mieszkanie. W domu tym znali ją wszyscy jako nauczycielkę literatury rosyjskiej, i to tłumaczyło wobec sąsiadów, stróża i policji częste wizyty, które u siebie przyjmowała. Nikogo nie dziwiło, że tyle młodych dziewcząt spotykano na schodach, prowadzących do jej mieszkania. Któż nie obcinał się podówczas z języka rosyjskiego? Każdy uczeń, każda uczennica potrzebowali pomocy w zakresie „przeklętego języka moskiewskiego”. Rozumiał to każdy stróż, który łamał sobie język, aby rozmawiać z policjantem i tak zwanym rewirowym...

Marja Paszkowska mówiła doskonale po rosyjsku, zupełnie po petersbursku, z czego zdawał sobie sprawę każdy rewirowy i aż do policmajstra włącznie. Na stole leżało kilka książek do nauki literatury rosyjskiej. W różnych godzinach schodzili się interesanci. Zachodził ten czy ów „nielegalnik”, choć bardzo wybitnych „Gintra” wołała przyjmować na mieście u licznych znajomych, niekiedy nawet w samej „wilczej jamie”, w Alejach Ujazdowskich.

„Gintra” zajmowała się „techniką”. Spory ideowe mniej ją interesowały. Urobiła sobie pewien systemat poglądów na zjawiska społeczne, na przyszłość Polski, na drogi, prowadzące do tej przyszłości. Ujadanie się z esdekami nie wiele ją

obchodziło: uważała ich za szkodników i tyle. Śmiała się z młodych towarzyszków, chorujących na interpretację „Kapitału” Marksa. Uważała, że w myśl przysłowia rosyjskiego „tłuką wodę w móżdżerzu”. Ale tolerowała te spory wewnętrzne, te cudowne dzieci dialektyki i materialistycznego pojmowania dziejów, ile że uważała, iż jej obowiązkiem jest mobilizowanie wszystkich żywych sił polskich dla jednego celu, któremu służyły wszystkie jej siły. Nie wdawała się w rozmowy polityczne. Genjalni młodzieńcy uważali ją za osobę mało wykształconą, mało inteligentną... Organizowała „technikę”.

Dzisiejsze pokolenie nie domyśla się wcale, co to była ówczesna „technika”! Wykształcić t. zw. „dromaderkę”, to znaczy młodą, zdrową towarzyszkę, aby nosiła „bibułę”, inkasowała pieniądze i nie wsypywała się, — to była praca Syzyfowa. Nasamprzód trzeba było zorganizować charakter. Trzeba było kandydatkę, rwącą się do służby społecznej, t. zn. rewolucyjnej, urobić, wykształcić jak rekruta tej armii rewolucyjnej, przygotować do niebezpieczeństw. Długa to była droga. Zaczynało się od rozmówek. Po tem następowało noszenie listów, nasamprzód pustych (dla wypróbowania rekruta!), po tem drobnych posyłek. Kandydatka była wreszcie gotowa.

W Warszawie, na Chmielnej, w dzień przybycia „bibuły” następowała jej dystrybucja. Schodziły się młode towarzyszki, rozbierały się, wszywały gazety pod suknie, staniki, lokowały druki gdzie się dało i tak obładowane (stąd nazwa „dromaderki” „obładowane jak wielbłądy”) ruszały w świat, dźwigając po piętach (żaden inteligent partyjny, żaden „sympatyk” nie mieszkał nigdy poniżej 3-go piętra) ciężki transport druków partyjnych. Sympatycy płacili za druki, a gdy sympatyk nie miał pieniędzy, trzeba było po raz drugi przychodzić, aby z ręki odbiorcy tajnej literatury, pisanej w Londynie przez Bajów i Płochockich, otrzymywać drobne kwoty rublowe.

Pieniądzy było mało, wiecznie mało. Aby je zdobywać, w chwilach ciężkiej próby, „Gintra” urządzała obchody i odczyty. Obchód taki (np. Listopadówka), albo odczyt przynosiły od 25 do 50 rubli. Dzisiaj wydział propagandy partyjnej uważałby, że impreza nie warta jest zachodu. Wtedy taka względnie drobna suma wydawała się godną i bardzo godną zachodu. Co prawda, urządzała te imprezy „Gintra” przy pomocy

wiernych przyjaciółek i co starszych „dromaderek”. Literatów nie brakło. Przeważnie byli to jeszcze na wolności przebywający partyjnicy albo sympatycy z młodszego pokolenia, młodzi literaci, współpracownicy „Prawdy”, „Głosu”, „Ognia”. Melcer grywał na fortepianie, deklamowali własne wiersze Bukowiński (Selim), Niemojewski, podówczas socjalista i sympatyk PPS (pracował w Zarządzie Kopalń Węgla w Zagłębiu Dąbrowskiem, później w Warszawie), Józef Jankowski, późniejszy mistyk. Publiczności zbierało się niewiele — do 50-ciu osób. Mieszkania sympatyków były niewielkie. Otwierającym i przyjmującym bilety bywała dromaderka właścicielka mieszkania. Bywały niekiedy zabawne omyłki: widziano szpiclów w osobach słuchaczy, o czym uprzedzano prelegenta, który na poczekaniu zmieniał treść odczytu... Najczęściej były to nieporozumienia. Odczytów tego rodzaju wygłosiłem bardzo wiele, ale, gdy znalazłem się w więzieniu, w liczbie zbrodni i grzechów nie zacytowano mi ani jednego odczytu. Po skończeniu odczytu nie wypuszczano publiczności odrazu i wszystkich jednocześnie. „Gintra” czuwała nad porządkiem, nad dyscypliną i była bezwzględna. „Gintra”, gdy chodziło o partję, o rewolucję, bywała istotnie bez litości. Trzeba było widzieć na ul. Chmielnej, z jaką surowością traktowała swoje „dromaderki”. Nieraz i płacz bywał, bo niektóre „dromaderki” nie znosiły dyscypliny zbyt surowej albo zbyt brutalnej. Większość jednak przyjmowała wyrzuty i ostre słowa z uśmiechem. Te były najinteligentniejsze. Z tych „dromaderek” wychodziły najlepsze towarzysзки pracy rewolucyjnej.

Były wśród „dromaderek” osoby, które zatruwały życie „Gintry”. Praca konspiracyjna, niepewność jutra, brak pieniędzy na elementarne potrzeby — niszczy każdy organizm nerwowy. I „Gintra” stawiała się nerwową. Nieraz gniewała się, podnosiła głos. Potem zaczęła zapadać na zdrowiu. W okresie 1905 r. była już zupełnie chora.

Nie chcę przedłużać tych wspomnień. O stosunkach „Gintry” z X Pawilonem kto inny napisze. Była mistrzynią w tych stosunkach. Zorganizowała bezpośredni kontakt z więźniami i pierwszą pomoc więzienną w Warszawie. Żandarmi ją lubili i szanowali. Umiała i z nich uczynić swoich „dromaderów”. Coprawda, pomiędzy tymi żandarmami, poczynając

od naczelnika więzienia, bywali też ludzie, którychby nikt nie podejrzewał o współczucie i przyzwoitość. Melodramat Gabrieli Zapolskiej „Tamten” opiera się na obserwacji rzeczywistej. „Gintra” umiała zróżnicować ten świat łajdactwa i sadyzmu i wydobyć dla pewnego okresu prześladowań uczucia szlachetniejsze z poszczególnych jednostek.

Kiedy Marja Paszkowska po długich latach cierpienia opuściła świat ten na progu 1926 r., napisałem o Niej wspomnienie w „Robotniku”. Z powodu wspomnienia tego otrzymałem różne listy od starych warszawskich towarzyszków, od bywalców katongi rosyjskiej, od ludzi, wielce zasłużonych dla walki o niepodległość narodową i o socjalizm, od bohaterów rewolucji. Jeden z nich pisał: „Czytałem wasze wspomnienie, płacząc. To była „Święta”, a jej życiorys powinien znaleźć się w żywotach świętych pańskich. Czem Fajola była bardziej świętą od „Gintry”? I „Gintrę” ścigały na arenie cyrku Neronów moskiewskich lwy i tygrysy, szarpały jej serce, nadgryzały jej trzewia. Nie zamęczyły ją odrazu, czyniły to powoli. Życie jej od r. 1906 było tylko powolnem konaniem, a to było dziełem jej prześladowców. „Gintry” nie kanonizował jakiś papież. Myśmy ją kanonizowali w sercach naszych, i, gdy przyjdzie czas wspominania historii PPS w osobach wszystkich bohaterów i bohaterek, „Gintra” znajdzie się w pierwszym szeregu”...

Niczego dodawać nie należy do tych prostych słów, ze zbolełego płynących serca. Rozrzewniły mnie one do głębi. I ja bowiem kochałem i czciłem „Gintrę”, gdy żyła, a dziś kocham i czczę jej wielką i świętą pamięć.

JÓZEF GRABIEC.

„TECHNIKA“ MARJI PASZKOWSKIEJ*)

Łącznikiem między działaczami różnych sfer i pokoleń PPS oraz — że użyję tego wyrażenia — poniekąd gospodynią pepesowskiej Warszawy, była nieśmiertelna, znana najstarszym pokoleniom rewolucjonistów, „Marja“ lub „Gintra“ — nauczycielka Marja Gertruda Paszkowska. W jej rękach była cała „technika“, w jej mieszkaniu, codzień popołudniu, mieściło się biuro partyjne. Przez „Marję“ jedynie można się było skomunikować z C.K.R-em, z „Tow. Pomocy Więźniom Politycznym“, które, mówiąc nawiasem — po ówczesnym wieczu to już można — często mieściło jednego tylko członka, t. j. właśnie „Marję“. — Przez „Marję“ również szła jedyna droga do wszystkich instytucji partyjnych. Ona też pośredniczyła w komunikowaniu się działów partyjnych, przez nią dostawało się bibułę...

Wybitnie zaznaczająca się radykalną... powierzchownością i zaniedbanem ubraniem (gniewała się zresztą bardzo, gdy ją o to posądzano) — pysznie odmalowana przez G. Daniłowskiego w jego ładnej nowelce „Palcocik“ — „Marja“ była firmową członkinią PPS na Warszawę. Co pewien czas zaczynała ją „szpiclować“. Sto pociech wówczas mieliśmy, spotykając ją „umałpioną“ (tak nazywała przebranie się) na ulicy, gdy koniecznie musiała załatwić jakąś sprawę partyjną.. „Parlament“ — tak nazywaliśmy mieszkanie „Marji“ — był zawsze prawie „czysty“, i na próżno sprawdzaliśmy cały sze-

*) J. Grabiec. „Czerwona Warszawa przed ćwierć wiekiem“. Poznań, 1925, str. 85 — 92.

reg specjalnych sygnałów bezpieczeństwa (przy oknie pokoju „Marji”: odpowiednio spuszczoną roletę, w umówiony sposób otwarty lufcik, kwiat, lichtarz, z tej lub innej strony postawiony i t. p.

W „Parlamencie” — ośrodku życia partyjnego — było bardzo miło. Dostawało się herbaty, czasem, gdy „Marja” była w dobrym humorze, — nawet z konfiturami, widziało się z towarzyszami... zawsze zaś dyżurowały „dromaderki”.

Były to początkujące „pepesówki”, trzymane w żelaznych karchach przez „Marję” i nieludzko przez swą „hetmanicę” wyzyskiwane. Roznosiły one „bibułę”, lub listy konspiracyjne, doręczały zapomogi rodzinom uwięzionych robotników, zawiadamiały towarzyszków o randkach, „wsypach”, terminach wszelakich i t. d. Był to niezwykle ciężki nowicjat i z tego powodu wszystkie bez wyjątku „dromaderki” były bardzo przez nas lubiane. Życzliwość tę staraliśmy się okazać na każdym kroku, przede wszystkim zaś rozweselaniem podczas nudnego czasu dyżuru w „Parlamencie”. Często „dromaderki” przechodziły następnie do „roboty”, ale „Marja” puszczała je z nowicjatu z wielką trudnością. Z „dromaderek” takich wybitnie zaznaczyła się później w agitacji robotniczej „Klara” — M. Chmieleńska, bratanica powstańców 63 r.: — Ignacego i Zygmunta, a córka generała rosyjskiego. Była to bardzo poważna i gruntownie wykształcona niewiasta. W czasie jednak „dromaderowania” musiała narówni z młodzieńkami dziewczętami dyżurować u „Marji” i była przez nią „pyrgana” na posyłki bez ceremonii. Najbardziej zaufaną i wyszkoloną przez „Marję” „dromaderką” była wpatrzona w nią, jak w obraz, bardzo miła, „Aniuta” — spolonizowana Rosjanka, Mielnikowa... Szczególniej lubiana była „Karusia” — młodzieńka i bardzo drobnej postaci K. Pobjewska, późniejsza Rogowa, wychowana przez matkę „Babcię Pobjewską” — rewolucjonistkę jeszcze z czasów rosyjskiego „chozddienja w narod” — w kulcie dla konspiracji. Bardzo zawsze poważna była „Helena” — Prausówna, ogrodniczka z zawodu, któremu poświęciła się dla ułatwienia sobie pracy agitacyjnej. Urodą wyróżniała się bardzo miła i zgrabna, z czarującymi oczami „Janina” — Aniela Fusińska. Jako poważną profesorową Chmieleńską, trapioną, niestety, „zawodową” chorobą „dromaderek”, spowodowaną

dźwiganiem pod suknią paczek z „bibułą“, spotkałem „Janinę“ później w Kaliszu. Przedsiębiorczością i energją celowała „Pola“ lub „Hakatystka“ — przystojna blondyna o germańskim typie, nazwiska nie pamiętam, córka fabrykanta. Najmłodszą zaś chyba „dromaderką“, i to zafaną, bo ku rozpaczy matki używaną do bardzo poufnych misyj, była ośmioletnia Henia Rodkiewiczówna, pasierbica Stefana Żeromskiego, uczenica „Marji“. Ta jednak już dyżurów nie odbywała i „bibuły“ nie dźwigała. Za to w mieszkaniu „Marji“ znajdowały się takie skrytki, o których jedynie Henia wiedziała i miała przez „Marję“ nakazane, w razie jej aresztu, uprzątnięcie ukrytych w tych skrytkach papierów. Z dzielniejszych i starszych „dromaderek“ wyróżniała się „Wanda“, siostra „Pawła“ (Pękosławskiego). Zresztą było wiele przygodnych, „Marja“ bowiem była nieubłagana w wyzyskiwaniu wszystkich swoich znajomych.

... O ile chodziło o znalezienie lokalu na „składy“, „zajazdy“, „noclegi“, „randki“, na wszelkie „ideowe rauty“, urządzane przez „Marję“ na „więźniów“, „nową dru“ t. j. drukarnię, na rodziny strejkujących i t. d., to „Marja“ była genialną wprost wyzyskiwaczką wszelkich nawiązanych — dzięki mnóstwu lekcji po bogatych domach — stosunków towarzyskich i stosunków pokrewieństwa, powinowactwa czy znajomości swoich uczenic, zwłaszcza z pośród bogatej burżuazji. Wielką pomocą byli „sympatycy“ — oddani sprawie całą duszą. Takimi np. byli „Selimowie“ — redakторstwo Bukowińscy, „Małżonkowie“ — pp. Gulińscy, — ludzie, bezgranicznie oddani partji i całkowicie posłuszni „Marji“, pp. Sujkowscy, Hiszpańscy, Żeromscy, „Pani Pułkownica“ — Zajączkowska i cały szereg innych. Prawą ręką „Marji“ w stosunkach burżuazji żydowskiej była „Cecylja“, późniejsza Władysławowa Gumpelwiczowa, kobieta wręcz ewangelicznej dobroci. Umiejętność w wyzyskiwaniu swej znajomości doprowadziła „Marja“ do tego, że potrafiła stworzyć stosunki z X Pawilonem. Każdy z nas, wyżej posunięty w hierarchji partyjnej, wiedział, że w czas jakiś po dostaniu się jego „do ula“, przyjdzie do niego stary żandarmski oficer „s pokłonem od gospożi Paszkowskiej“ (z ukłoniem od p. P). Był to długoletni intendent pawilonu, Siediel-

nikow, który zgodził się na pośrednictwo między „Marją” a jej „krewnymi”. O charakterze tych krewnych oczywiście wiedział on doskonale, a pomagał wyłącznie z sympatji dla typu rewolucjonisty, jako szlachetnego pierwiastka wśród „poszławo” (nikczemnego) społeczeństwa. Robił to nader oględnie. Poczta też ta trwała w ciągu lat kilkunastu bez „wsypy” i zakończyła się dopiero z ustąpieniem Siedelnikowa ze stanowiska.

JAN RUTKIEWICZ.

TOWARZYSZKA „GINTRA“

Technika partyjna! Cóż to za nudna, niewdzięczna, prozaiczna robota!

Trochę „bibuły“ zabrać od przywożącego towarzysza, przechować, rozkolportować; baczyć, by była dostateczna ilość lokali konspiracyjnych; a już najordynarniejsza część pracy — tak zwane zbieranie floty, a mówiąc ściśle, niejednokrotnie delikatne jej wymuszanie, o pomstę do niebios wprost woła. Ile trzeba było mieć w sobie wewnętrznego przekonania, by w otoczenie, zwykle bojaźliwe, przeszczepić konieczność współdziałania i pomocy materialnej dla partji.

A jednakże tow. Gintra umiała w tę napozór prostą, niewdzięczną zaiste pracę, tchnąć ducha twórczego.

Nie była to natura, którą można było zamknąć w wąskich ramach przepisowej pracy. Towarzyszka Marja przez swą pomysłowość, inicjatywę, możliwość prawie bez granic, — każdą pracę, do której się wzięła, umiała pomnożyć, a nawet, co więcej — przetworzyć jakościowo.

Dzięki swej doskonałej ruszyczynie miała ułatwione stosunki, gdy tego zachodziła potrzeba, z nielicznymi lepszymi jednostkami z pośród Rosjan. Mogła więc dotrzeć do „tuzów“, aby przy ich pomocy uwolnić ze szpitala z pod straży uwięzionego dawnego towarzysza Żmigrodzkiego. W jej tylko głowie, przy jej olbrzymich stosunkach, mogła powstać koncepcja uwolnienia tow. Wiktora (Józefa Piłsudskiego) z więzienia po wypadnięciu łódzkiej drukarni „Robotnika“. Dla Gintry nie było niepodobieństw! Umiała dotrzeć do więźnia i do władz

przez intendenta dziesiątego pawilonu, Siedelnikowa, czy przez doktora Sabasznikowa, umiał

Jej pasja do eleganckiego, a zarazem finezyjnego, precyzyjnego załatwienia każdej, najdrobniejszej sprawy technicznej podpowiadała jej tysiące pomysłów. Nie znaczy to jednak, by dla jednej sprawy miała wiele pomysłów. Być bardzo może, iż w umyśle jej różne pomysły walczyły o lepsze ze sobą. Światło dzienne jednak oglądał już raz powzięty całkowity plan, który należało wykonać w najdrobniejszych szczegółach. Ponieważ wszakże obliczone na powodzenie wykonanie planu wymaga karnej, punktualnej, podzielonej pracy, więc też towarzysząca Marja była nieraz nieubłaganą w stosunku do swych podkomendnych — zarówno mężczyzn jak kobiet. Jak twardy nauczyciel lub dbająca o swe dzieci matka umiała być tow. Gintra szorstką, bezwzględneho posłuszeństwa wymagającą, zwłaszcza, gdy o poważniejszy krok chodziło... W takich zresztą wypadkach lubiła sama załatwić sprawę. Śmiało też rzec mogę, że stworzyła ona „szkołę konspiracji” nie w znaczeniu oczywiście szkółki wykładowej o konspiracji, lecz szkołę pod postacią żywych, zaprawionych w konspiracyjnym postępowaniu, pokoleń. Pokolenia te nie dziesiątkami lat życia legitymować się mogły, a ilością i jakością wykonanej pracy partyjnej.

Gdy się wszakże zważy, że tow. Gintra prócz centralnego biura partyjnego, które było nicią wiążącą dla przyjeżdżających nieraz z dalekiej prowincji wysłanników, jak oka w głowie pilnowała centralnego składu bibuły, że przez czas dłuższy, bo lat kilka w swoim rozporządzeniu miała cały kolportaż nielegalny w Warszawie, że równocześnie, dopóki pomoc więzienna nie rozrosła się w osobną samodzielną jednostkę, zajmowała się tak zwanym Czerwonym Krzyżem, że przez początkowe lata istnienia partii przy budżecie całkowitym około pięciu tysięcy rubli potrafiła z Warszawy wyciągnąć nieomal trzecią część całego budżetu — z podziwu człek usta otwiera. Ileż to łataniny, ile pracy trzeba było, by zebrać lilipucią sumkę pieniędzy, — wydać za nią „kalendarzyk kieszonkowy”, aby z groszy zarobku na nim znowu uciulać większą sumkę dla przetrzymania kryzysowych letnich miesięcy, gdy źródła pieniężne studenterji rosyjskich uniwersytetów niedopisywały

z powodu wakacyj. Od kalendarzyków przerzucała się do zapalniczek z podobizną Mickiewicza. Później, gdy potrzeby rosły, a pieniędzy brak był dotkliwy, przerzucała się już na terenie przygotowanym do zorganizowania rautów, odczytów, eksploatując Niemojewskiego, Bukowińskiego i wielu innych. Przy tej pracy osiągała podwójny sukces: zdobywała środki dla partii i nieciła myśl niepodległą równocześnie.

Była ona tym wielogłosowym, przedziwnym na owe czasy, aparatem, przez który rozchodziła się po kraju legenda o P. P. S. Sobie tylko znanymi drogami wprowadziła ludzi podziemnych do literatury pięknej, sama będąc zajęta prozaiczną techniczną robotą. W ten sposób okazywała swoją największą sympatię umiłowanym przez siebie wybitnym w partii jednostkom.

Szalona wprost łatwość nieboszczki nawiązywania stosunków towarzyskich była pod każdym względem drogocenną dla organizacji.

Wspominałem już o stosunkach, łączących ją z Rosjanami, — wśród radykalizującej wówczas inteligencji żydowskiej miała również swych szczerych, oddanych przyjaciół.

Prowadząc tak wielostronną pracę, czcigodna zmarła miała szczęśliwą rękę: każdy dział pracy przez nią zaczęty rozrastał się z czasem w osobny wielki wydział. Czy będziemy mówić o technice kolportażu, czy o finansach partyjnych, pracy więziennej, czy biurze centralnem.

W jej oczach rosła ilość prenumeratorów „Przedświtu“, a więc i stałych podatników; bibuła — choćby kilka pudów — w ciągu kilku godzin dochodziła do rąk robociarzy. Informacje o zebraniach pilnych w 2 — 3 godziny były doręczane osobiscie. Na całej technice konspiracyjnej wycisnęła tow. Marja silne piętno solidarności, akuratności i sprężystości.

Trzeba też było posłuchać ją w chwili powodzenia, mówiącą o swej zorganizowanej armji technicznej. Z jakim zapalem podniosła zalety swych pupilek, chrzczonych różnemi pseudonimami jak: „Burze“, „Błyskawice“, „Aniutki“ i wiele, wiele innych.

Ona też była chwilami soczewką, w której ogniskowały się wszystkie wiadomości o całej partji. Przy jej ostrożnej, przemyślanej pracy mogły się rwać stosunki, mogły razić pio-

runy aresztów — ośrodki partyjne opierały się nawalnicom caratu.

Rzadki to typ twardego, nieugiętego człowieka — dla siebie i innych — wyrosły w twardej szkole niewoli.

Śmiem twierdzić, że przybrane potomstwo jej ducha wykazuje się niejednym jeszcze charakterem, talentem organizatorskim, kryształową duszą.

K. POBOJEWSKA - RÓGOWA.

„HETMANICA“

Matka moja, mieszkając stale w Rosji i mając za męża dosyć wysokiego dostojnika rosyjskiego, zmuszona była spełniać swe obowiązki, związane z jego stanowiskiem, tak, że sprawy ideowe musiały drzemać w głębokiem ukryciu. Zabójstwo Aleksandra II wywołało wprawdzie wstrząs duchowy, lecz nie tak głęboki, aby pójść za ruchem, który czyn ten reprezentował. Trzeba było czekać na to długie lata, bo aż do r. 1891, kiedy to matka moja postanawia zlikwidować wszystkie swoje sprawy w Rosji i, zabrawszy nas, swoje dorastające dzieci, wzrosłe w atmosferze rosyjskiej, przenosi się do Polski, o której, niestety, mało nas informowano.

Moje wiadomości o Polsce były niemal legendarne, a brały tylko ze strony uczuciowej, bo wiedziałam z opowiadań, że liczni członkowie mej rodziny brali czynny udział w walkach niepodległościowych, więc dumna z nich byłam. Kochałam Polskę za jej cierpienia, kochałam tych, co o nią walczyli, i dumna byłam, że Polska miała takich synów. Będąc wychowana we względnym dobrobycie, nie zetknęłam się nigdy z biedą ludzką i wynikającą z tego nierównością społeczną, nie zastanawiałam się też nigdy nad tem, że są kwestje, nad którymi ludzie powinni pomyśleć i coś czynić.... Dla mnie to wszystko było dalekie i nigdy mi nawet przez myśl nie przeszło, że w tej Polsce prócz wspomnień o bohaterach powstań może była jakaś praca dla dnia dzisiejszego i dla jutra, aby dla tej Polski ktoś coś robił, myślał lub walczył. Takie, niestety, tylko miałam pojęcie, takie słabe było moje uspołecznienie.

W tym to okresie wracamy do kraju i w bardzo niedługim czasie spotykam przyjaciela mych krewnych, studenta J.

Grabowskiego („Żul”), który zwrócił się do mnie o wyświadczenie mu drobnej przysługi odniesienia gdzieś, komuś, czegoś, jak mi powiedział, „nielegalnego”. Pierwszy błysk rozjaśnił mi duszę: widzę więc, że ludzie czynią coś nielegalnie w imię czegoś, co nie jest ich interesem osobistym. Po tem pierwszym zetknięciu się z działalnością nielegalną poznajemy z matką, za pośrednictwem tegoż „Żula”, kilku jego towarzyszy pracy, między innemi „Marję”, która, mając wielką intuicję, wyczuła w nas, że bezwiednie jesteśmy spragnione czynu i, nie zwlekając, wciągnęła nas obie do pracy w t. zw. „technice”. Pracę tę dawała nam, traktując nas jak osoby dobrej woli, które wyświadczyć pewną grzeczność jej osobiście, i wciągała stopniowo w planową konspirację, w imię której nie wolno nam było przez dłuższy czas nic wiedzieć, o nic się pytać, wszystko czyniąc bez szemrania. Trudne by to było do uskutecznienia, gdyby nie głębokie poczucie, że to, koło czego konspiracja obraca się, jest czemś mocniejszym niż to, co mnie dotychczas otaczało, że się budzi w nas coś, uspięnego w każdym człowieku, i że, skoro moment tej świadomości nadszedł, nie wolno uchylać się od tego pod żadnym pozorem bez pohańbienia swojego własnego ja. W myśl powyższego „Marja” otacza nas obie z matką taką atmosferą konspiracji, że ja, będąc w stałym życiowym kontakcie z nią matką, nie śmiałam nigdy szukać wyjaśnienia u niej, do czego zmierza nasza praca.

Niedługo po zaznajomieniu się z nami „Marja” rozpoczęła intensywnie korzystać z naszego mieszkania, wciągając nas w grono t. zw. sympatyczek sprawy PPS. Mieszkanie nasze służyło do celów wielorakich, i przewijał się przez nie wielki korowód wszystkich niemal bodaj cokolwiek wybitniejszych postaci ruchu socjalistycznego.

W tym czasie nie kryła już „Marja”, że ludzie ci są przedstawicielami wielkiej idei walki o niepodległość Polski i o zdobycie odpowiednich warunków pracy dla proletariatu polskiego.

Do twardej służby wciągnęła „Marja” nas obie — do służby w kuźni, gdzie kuła się przyszłość polskiego proletariatu i przyszłość Polski. W kuźni tej „Marja” zajmowała miejsce poczesne, otoczona sztabem pomocnic i pomocników, karnym i posłusznym do ostatniego niemal techniczenia.

„Marja” była wymagająca dla swych pracowników. Wymagania te nieraz miały charakter bezwzględności, jeśli chodziło o uzyskanie czegoś dla sprawy, ale też była bezwzględna do ostateczności i dla siebie. Mając w swem zawiadywaniu szereg ludzi mniej lub bardziej wyrobionych, umiała nimi tak kierować, że cały aparat konspiracyjny działał nadzwyczaj sprawnie i harmonijnie. Byli w tym aparacie ludzie różnego kalibru—wielcy i mali, o wielkiem wyrobieniu i drobnych aspiracjach, lecz wszyscy pracowali dla jednej, jedynej idei.

Zespół moich towarzyszek pracy, zwany przez „Marję” „dromaderkami”, był stałą przyboczną gwardją naszej drogiej „Hetmanicy”. Do głównych funkcij naszych należało roznoszenie t. zw. „bibuły”. Do punktów, gdzie można było zwozić tę cenną literaturę, należał i dom mojej matki, która z całym oddaniem się sprawie i z wrodzoną jej gościnnością witała tych drogich gości, co, zdrożeni, pukali do drzwi naszego domu, przywożąc z sobą walizkę z tem, co musiało być najszybciej dostarczone czekającym z upragnieniem na jej zawartość. Szarfarką tego dorobku była naturalnie zawsze „Marja”, która dawała w dniu takim błyskawiczne rozkazy swym „dromaderkom”, te zaś spełniały je z wielkim pietyzmem i pośpiechem.

R. 1894 dał możność nam, „dromaderkom”, przeżycia uroczystej chwili. Myśmy bowiem pierwsze ujrzały najpierwszy numer „Robotnika”, który przywieziony został przez takiego drogiego i ważnego gościa, o świcie. Do dnia dzisiejszego pamiętam tę chwilę, czuję dotąd zapach tej świeżutkiej farby drukarskiej, tego tak upragnionego pisma, które miało zadanie szerzenia hasła równości, braterstwa i sprawiedliwości...

W czasie, gdy gość ważny jest pod dachem gościnnego domu, gospodarstwo usuwają się ze swemi zwykłemi czynnościami domowemi na plan ostatni, pozostawiając całkowite użytkowanie mieszkania „Marji” i jej sprawom. „Marja” tu rządzi, ona jedna ma prawo decydować, kto zobaczy się z gościem. Tu też oddaje przysługi lotna poczta „dromaderek”. W dniach takich pędzane one bywały do ostatniego tchu pod lakonicznemi rozkazami „Marji”. Jeśli mam być szczerą, to bywały chwile, że miewałam rodzaj żalu, iż traktowano nas jak maszyny bez wprowadzania w sedno pracy, lecz godzić się z tem trzeba było, bo wymagała tego w tym momencie konspiracja, której na imię było „Marja”...

Bywały jednak i takie bardzo drogie wieczory w domu mojej matki, kiedy w dniu pobytu tego lub owego gościa zbierała się elita PPS., aby spędzić wieczór o charakterze bardziej prywatnym. I na takie to wieczory „Marja” dopuszczała swe „dromaderki”, aby osłuchały się z temi lub innemi zagadnieniami, poruszanemi na owych wieczorach przy wspólnej herbatce. Naturalnie, dysputy te były najczęściej w treści ściśle związane z ideą, której wszyscy obecni hołdowali. Na podstawie tych dysput, których słuchałam z zapartym oddechem i z roziskrzonymi oczyma, kształtowałam sobie pojęcie o celowości mej drobnej pracy pod ręką naszej ukochanej „Hetmanicy”. Piękne to były wieczory, pełne wrażeń, nadziei i grozy.

Przez te lata podziwiałam, z jaką nieraz uległością dziwną poddawali się „Marji” ludzie i domy w służeniu sprawie, o której być może niejednokrotnie mieli względnie małe wyobrażenie: wybitnie prawa, czysta i mocna indywidualność „Marji” nakazywała poszanowanie dla sprawy, w imię której żądała od nich ofiary ze swych wygod, a wielokrotnie z wolności.

Nastąpiła kilkoletnia przerwa w moich stosunkach z „Marją”, gdyż wyjechałam do innego miasta. W r. 1904 wracam do Warszawy, gdzie, naturalnie, spotykam niestrudzoną „Marję”, która znowu porywa mię w swoją sieć. Czuję, że po tej przerwie jest dość ciężko nagiąć się do nakazów „Marji”. Lecz jej nakaz jest silniejszy ponad to. I poszłam znów w tę samą drogę...

W pamiętnych dniach rewolucji styczniowej 1905 r. Warszawa zamarła pod grozą hulających hord kozackich. Wieczór— „Marja” wzywa mnie, matkę drobnych dzieci, do siebie i, wręczając paczkę zapieczętowanych listów, daje lakoniczną dyspozycję, że muszą być one dostarczone pod wskazanemi adresami. Apelacji, jak zwykle, niema. Idę wśród zamarłego prawie miasta, spotykając od czasu do czasu przechodnia, przytulającego się do muru, bo życie w niebezpieczeństwie: kozacy od czasu do czasu przelatują, płazując tych pozostałych jeszcze maruderów na ulicy... Gdzieś pożyłko pożar, to palą się składy monopolów spirytusowych. Listy w ciągu tego wieczora dostarczyłam.

Po dniach wielu zapytałam „Marję” prywatnie, co to były za listy, które wówczas rozniosłam. Okazało się, że były to ko-

munikaty dzienne dla osób, dających większe lub mniejsze kwoty na cele partyjne. W tem wspomnieniu nie tkwi bynajmniej żadna nuta krytyki... Tak być musiało. Wiedziałam, że wszelkie dyspozycje dawał mi człowiek, który nigdy nic od nikogo dla siebie nie żądał, nic nie przyjmował. Lecz, jeśli chodziło o idee, „Marja” nie miała żadnej względności ani dla siebie, ani dla przyjaciół, za co jej pamięci składam hołd i podziękę.

Koniec r. 1906 — rozłam w PPS... „Marja” odczuwa go nader boleśnie. W tym okresie „Marja” oddana była pomocy więziennej, którą prowadziła razem z dzielnymi towarzyszkami współpracy, pp. Sempołowską, Leliwowa, Patkiem i innymi. Wówczas dane mi było ułatwiać „Marji” wykonanie tego lub owego w zakresie pomocy więziennej.

I znowu przesuwa się przed oczyma memi korowód ludzi, już nie tych z akcji czynnej, lecz tych, którzy, posłuszni swej pani, Idee, idą dla niej wielokroć na stracenie, na zesłanie, w najlepszym zaś razie na krótsze lub dłuższe więzienie. O wszystkich „Marja” wie, o każdym pamięta, każdego swem kochającym sercem i pamięcią ogarnia. Stara się ulżyć ich doli, wyrwać ich ze szponów żandarmów, aby, o ile się to da uczynić, zwrócić ich Rewolucji.

W III. 1923—6 spotykam „Marję”, już nie pracującą w partji. Przemęczone jej serce, miłujące sprawę, nie daje jej koniecznej swobody ruchów, lecz jest ona wciąż w stałym kontakcie z tymi, dla których i z którymi pracowała.

I znów wróciły wspólne wieczory. Snułyśmy wspomnienia o tych, co spoczęli w grobach, o tych, których pochłonał Sybir, o tych, co zginęli na emigracji z tęsknotą do ojczyzny w duszy, i o tych, którzy, duchem mali, odeszli zwątpieni z kuźni, nie mając sił do dźwigania brzemienia ponad ich własne potrzeby i cele. O wszystkich pamiętała „Marja”, dla wszystkich znajdowała wyrozumienie. Słowa uznania i dumy najczęściej rozpierały jej serce, gdy uświadamiała sobie, ilu z tych jej ukochanych stanęło do tej nowej wolnej kuźni dla nowego promiennego jutra.

Temi wspomnieniami dzieliła się „Marja” owych wieczorów przed tą, której dane było znać, kochać i ze czcią wspominać tę swoją „Hetmanicę”.

W jej martwe dłonie złożyłam kwiat lilji, kwiat czysty i mocny — tak mocny i czysty, jaką Ona była.

HELENA SUJKOWSKA.

MOJA PIERWSZA PRACA W P. P. S. POD KIERUNKIEM MARJI

W roku 1898 po raz pierwszy przyjechałam na nieco dłuższy pobyt do Warszawy i, dzięki posiadanym już stosunkom w P. P. S, dozwolonem mi było udać się do Marji w godzinach przyjęć t. zw. „dromaderek”. Szłam z pewnym niepokojem, gdyż nasłuchiłam się o niej przeróżnych opowiadań.

U Marji zastałam pełno niewiast, to też, czekając swej kolei, miałam czas przyjrzeć się nie tylko Marji, ale i towarzyszkom — koleżankom, którym ona wydawała jakieś tajemnicze zlecenia. Gdy przyszła kolej na mnie i gdy dowiedziałam się o swym przydziale, ogarnęła mnie niewymowna radość, że tak oto wstępnym bojem zyskałam zaufanie srogiej Marji. Oznajmiła mi bowiem, że, jako obca na gruncie warszawskiej pracy konspiracyjnej, łatwiej niż inne niewiasty mogę zmylić czujność szpiegów rosyjskich, wobec czego przeznaczona jestem do załatwienia bardzo ważnej sprawy. Z radości oniemiałam i cała zamieniłam się w słuch przy otrzymywaniu wskazówek, jak należy zachowywać i przestrzegać wszelkich form konspiracji i z wielkiem wzruszeniem brałam do ręki starannie zawiniętą paczkę. Nie wiedziałam jeszcze wówczas o złośliwych zarzutach pod adresem Marji, że nowym „dromaderkom” z miną niesłychanie tajemniczą dawała do przeniesienia stare legalne pisma lub inny bezużyteczny papier. Byłoby mi to naturalnie niesłychanie psuło nastrój. Mam jednak do dziś dnia to przekonanie, że moja paczka zawierała istotnie ważne papiery.

Instrukcja nakazywała mi być o godzinie 12-ej w nocy w Alejach Ujazdowskich i przy zachowaniu największych ostrożności oczekiwać ukazania się palącej się świecy w jednym z okien najwyższego piętra kamienicy, zdaje się, Nr. 34. Istotnie mniej więcej około godziny 12 i pół umówiony znak się ukazał. Pozostawało jedynie odliczyć od prawej strony domu oświetlone okno, któremu miały odpowiadać drzwi na korytarzu ostatniego piętra, i oddać paczkę towarzyszowi X. (niestety pseudonimu nie pamiętam).

Wychodząc na schody, uprzytomniałam sobie wszystkie wskazówki Marji, obmyślałam, co i jak mam powiedzieć na wypadek niepożądanego, ale możliwego zetknięcia się z żandarmami, jednym słowem przygotowana byłam na wszystko z wyjątkiem tego, co mnie naprawdę spotkało.

Po zapukaniu i otwarciu drzwi, które według mego przekonania odpowiadały oświetlonemu oknu, ogarnęło mnie zdumienie, a w następnej chwili i przerażenie. Oto, zamiast jednego towarzysza, którego rysopis został mi podany, ujrzałam gro-
no napół ubranych mężczyzn przy kartach i wódce. Wyrażnem było, że zapukałam do niewłaściwych drzwi. Chciałam naturalnie niezwłocznie wycofać się z niemiłej sytuacji, niestety, postanowienia swego w czyn przyoblec nie mogłam, zostałam w jednej chwili otoczona przez rozbawionych mężczyzn, którzy z początku grzecznie, a potem siłą zaczęli mnie zapraszać do swego towarzystwa. Zrozumiałam, za kogo mnie biorą. I nic przecież dziwnego, do takich podejrzeń uprawniało ich moje niespodziewane zjawienie się o tak późnej, nocnej, porze i mój młody wówczas wiek. Pryśł w jednej chwili romantyczny nastrój, w jakim poprzednio trwałam, natomiast w całej grozie stały mi przed oczami odpowiedzialność za paczkę, następstwa z powodu niezafatwienia sprawy i t. d.

Ponad wszystkim jednak górowało uczucie wstydu, spowodowane pomyłką, uczucie, które doprowadziło mnie do wybuchu niepohamowanej złości. Skrupiło się na Bogu ducha winnych młodych ludziach. Co mówiłam, naturalnie, dziś już nie pamiętam. Były to jakieś gorzkie wyrzekania na cały ród męski, na brutalne zachowanie się mężczyzn i t. p. W danym momencie zarzuty były najzupełniej bezpodstawne, boć przecież sama do nich przyszłam, a w dodatku nie umiałam jasno i wyraźnie po-

wiedzieć, dlaczego to robiłam. Coś tam wprawdzie bełkotałam, bełkotanie to jednak mogło raczej utrwalić podejrzenia co do mej osoby, niż je rozproszyc. Gniew mój jednak był nadspodziewanie skuteczny. Na twarzy nieznajomych ukazał się wyraz najwyższego zdziwienia, ustały żarty, przestano mnie napastować. Co prawda nie danem mi było naprawić błędu, nieznajomi bowiem odprowadzili mnie daleko poza bramę domu, zajście jednak zostało szczęśliwie prędko zlikwidowane.

Z ciężkiem sercem wracałam do domu. Wprawdzie paczkę uratowałam, zawiodłam jednak zaufanie, nie spełniłam powierzonego mi zadania. Dla mnie osobiście konsekwencje nasuwały się najfatalniejsze: był to przecież mój pierwszy występ, a więc kompromitacja najzupełniejsza, zdyskwalifikowanie do pracy konspiracyjnej.

Z jakim uczuciem szłam dnia następnego do Marji i czem dla mnie było wysłuchanie jej wymówek (a Marja umiała zaćnie swe podwładne besztuć), najlepiej świadczy fakt, że dziś jeszcze po tylu latach niechętnie o tem wspominam. Czułam swą winę, to też ze skruczą przyjmowałam gromy, które sypały się na moją głowę. Zdawało się, że karjera „dromaderki” bezpowrotnie dla mnie stracona.

W parę dni potem ku wielkiemu swemu zdziwieniu, a również i przerażeniu, zostałam zawezwana przed srogie oblicze Marji. Rozumiałam, że mam się dowiedzieć o fatalnych skutkach swej nieuwagi, to też przygotowana byłam na najgorsze. Przewidywania jednak na szczęście nie sprawdziły się, zamiast gromów spotkało mnie przywitanie bardzo uprzejme. Zawdzięczałam to wyjaśnieniu się sprawy: mianowicie towarzysz X., nie mogąc tego pamiętnego dla mnie dnia pozbyć się tropiących go szpiegów, nie ryzykował w oznaczonym czasie udać się w Aleje Ujazdowskie pod Nr. 34 po odbiór paczki. Z jaką ulgą odetchnęłam — honor mój został uratowany! Wprawdzie pozostawała niewyjaśniona sprawa ukazania się w oknie palącej się świecy, ale cóż mnie to nieporozumienie mogło obchodzić. Należy przypuszczać, że był to jeden z tych dziwnych zbiegów okoliczności, w jakie nieraz obfituje życie. Świeca została prawdopodobnie umieszczona przypadkowo przez kogoś z grona tych mężczyzn, do których tak bezceremonjalnie wtargnęłam

o porze najmniej odpowiedniej do składania wizyt, ale którym za to wyprawiałam dziką scenę złości.

W parę dni potem znowu odnosiłam jakąś tajemniczą paczkę do jakiejś tajemniczej osoby, o której wiedziałam jedynie, że takie a takie imię służy do zamaskowania jej prawdziwego nazwiska i do zakonspirowania jej osoby przed czujnem okiem moskiewskich siepaczy.

STANISŁAWA WOSZCZYŃSKA.

ZE WSPOMNIEŃ O MARJI PASZKOWSKIEJ

Poznałam tow. Marję w Warszawie, po wyjściu mem z więzienia w sierpniu 1906 r., gdy, kierując jeszcze techniką partyjną, organizowała na wielką skalę pomoc dla więźniów politycznych. Był to okres najcięższych zmagañ się rewolucji robotniczej z przemocą carskich siepaczy, czynnie wspomaganą przez sforę szpiegów i prowokatorów, w atmosferze nienawiści do rewolucji wszystkiego, co tchnęło w Polsce ugodą i niewolnictwem.

Jakim sposobem umiała tow. Marja natchnąć miłością, czy choćby współczuciem dla więzionych robotników te różne niewiasty z artystycznych, wielkomieszczańskich, ziemiańskich, a nawet arystokratycznych sfer stolicy — to pozostało jej tajemnicą. Służyły dobrej sprawie, o tem umiała je przekonać, a że polecenia Marji musiały być najdokładniej wykonywane — o tem wiedział każdy, kto służył pod jej rozkazami.

Zmuszona represjami, wobec sieci prowokatorskiej, osnuwanej dokoła jej osoby, w którą to sieć wpaść mogłoby zbyt wiele ludzi, opuszcza Warszawę. Odwiedzi ją jeszcze w grudniu, po rozłamie, dokonanym na kongresie w Wiedniu, ale rozkaz partji przenosi ją na stałe za kordon graniczny.

Spotkałyśmy się w Krakowie w r. 1907. Tow. Marja, która czuła się w obcym dla mnie mieście, jak u siebie w Warszawie, bardzo żywo zainteresowała się moim projektem powołania do życia socjalistycznej organizacji kobiecej, która kiedyś w Krakowie istniała, prowadziła dużą akcję wśród służby domowej, ale z której nie zostało żadnego śladu po wyjeździe do Lwowa

tow. T. Zdaje mi się, że za sprawą tow. Marji zainteresowały się akcją, rozpoczętą wśród pracowników drukarskich, tytuniowych, później krawczyń i tutkowych, dwie jeszcze towarzysзки z b. Kongresówki.

Dzięki energii tow. Paszkowskiej i wywalczonej już przez nią pozycji w siedzibie krakowskiej związków zawodowych i partji politycznej, udało się zdobyć najpierw kącik dla Sekretarjatu i skarbu Org. Kobiecej przy stoliku jej „Komuny”, a potem już oddzielny stolik.

W sali Sekretarjatu związków panował zawsze wieczorem i w niedzielę przed południem ruch i tłok niestychany. Z jakąś subtelną ironją i pobłażliwą wyrozumiałością, a częstokroć jak surowo i karcąco występowała tow. Marja wobec tych, którzy złośliwym jadem starali się osłabić zapal towarzyszek, zebranych przy swym stoliku.

Marja należała zawsze do tych, którzy najgoręcej popierali wszelki wysiłek, zmierzający do zorganizowania w partji najszerzych mas proletarjatu, a więc i kobiet. Tow. Marja nie lubiła się rozpraszać. Nie grała więc czynnej roli w Sekcji Kobiet PPSD., ale oddawała nam bardzo cenne usługi, wymagając wzajemian pracy dla swej „Komuny”.

Te z nas, które były emigrantkami z Królestwa, należały do Sekcji Zagranicznej PPS, „Komuna” więc była nam tak samo droga, jak w przekonaniu tow. Marji była droga i koniecznie w życiu partji potrzebna Organizacja Kobieca. Wytworzyło się więc znakomite współzycie, oparte na wzajemności usług i na wspólności ideałów. Z tą różnicą, że mało kogo interesująca nasza praca organizacyjna nie napotykała tych trudności, jakie sobie tylko znanymi sposobami przewyżczała tow. Marja.

Miała ona bowiem do zwalczania nietylko obojętność ogółu, ale zawsze niechęć, a częstokroć prześladowanie C. K. policji austriackiej. A zdobywanie środków na cele „Komuny”? Na potrzeby naszej organizacji, z konieczności ograniczone, starczyła niewielka dodatkowa opłata do marki partyjnej. Potrzeby „Komuny” tow. Marji przekraczały, zdawało się, wszelką możliwość zdobycia na nie funduszków na ubogim, krakowskim gruncie.

Czemże była owa „Komuna” tow. Marji? Oto po upadku rewolucji 1905—7 olbrzymia fala emigracji popłynęła na zachód.

Szli ludzie dojrzały, byli jednak też starcy, a przeważała młodzież robotnicza. Tow. Marja, która potrafiła otaczać najczujniejszą opieką więźniów stanu w X Pawilonie i fortach Cytadeli warszawskiej, miała się cofnąć przed daniem opieki tej nowej polskiej emigracji masowej?

Dla tow. Marji nie było żadnej wątpliwości. Z poza kordonów płynie fala wygnańców robotniczych. Oni muszą, oni powinni znaleźć opiekę i gościnne przyjęcie na ziemi im dotąd nieznaney, ale zarówno polskiej jak tamta, którą opuścili. Nietrudno było przekonać o potrzebie tej opieki władze partyjne w Krakowie z tow. posłem Daszyńskim na czele.

Znalazł się domek daleko za miastem, za Błoniami krakowskimi, znalazły się najniezbędniejsze sprzęty, pościel, zaopatrzona została spiżarnia, i oto hotel emigrancki, pokoje gościnne gotowe.

Codziennie trzeba było odwiedzać tę skromną siedzibę. Nie obeszło się bez wysłuchiwania tysięcznych żalów, utyskiwań, ba, nawet złorzeczeń. Było dużo złych ludzi w Krakowie, którzy jad najobrzydliwszych insynuacji zasiał chcieli w serca i umysły zbiegów z za kordonu. Tow. Marja dawała sobie doskonale radę z każdym warcholstwem. Wysłuchiwała zawsze wszystkich skarg, narzekań, serdecznie współczuła, często potakiwała, a potem kilku trafnie rzuconemi uwagami, z serca wyjętemi słowami umiała zapaleńców powstrzymać od nieobliczalnych wystąpień, co więcej, umiała ich przekonać i zmienić tok rozumowania.

Potrzebne były wciąż środki na utrzymanie „Komuny”. Tutaj przejawiał się ogromny talent organizatorski tow. Marji. Już nietylko Sekcja Kobiet, ale wszystko i wszyscy, którzy znaleźli się w sferze jej wpływów, musieli pomagać środki te zdobywać. Z jakimż nieźrównanym humorem, rzekomo złorzecząc starej Marji, służył jej celom tow. Klemensiewicz! Sam nieźrównany organizator, cieszący się w Krakowie dużą popularnością, przyczyniał się wydatnie do tego, by kasa Marji i spiżarnia „Komuny” nie świeciły pustkami.

Troską tow. Marji było nietylko wyżywienie i danie dachu nad głową uciekinierom. Ona wiedziała, że życie bez pracy łatwo może wykoleić wygnańców, zwłaszcza młodzież. Zabięga więc, nie szczędzi trudów i starań, by swym „kochanym

„chłopcom” zapewnić możliwość pracy w Krakowie i wszędzie tam, gdzie dotrzeć mogła. Napewno dotąd żyją w Krakowie, Tarnowie, Zakopanem, N. Sączu, w Zagłębiu Naftowym i Węglowym, towarzysze i towarzyszki z b. Kongresówki, którzy bardzo wiele zawdzięczają tow. Marji i nazwisko jej w wiernej przechowują pamięci.

**

Podczas wojny spotkałam tow. Marję w Zakopanem, gdzie prowadziła Ognisko dziecięce (Sierociniec). Tak samo oddana całą duszą pracy wychowawczej i opiekuńczej, zawsze pogodna, cicha, wytrwała.

Był to okres otwartej walki Komendanta z N. K. N-em. W Zakopanem wrzało jak w ulu. Ścierały się poglądy, zapatrywania, wybuchały namiętności. Tow. Marja całą duszą stała po stronie tych, którzy byli wyrazicielami t. zw. legionowej orientacji, t. zn. po stronie wytężonej walki o zdobycie niepodległości. Niedarmo życie strawiła w partji, która Niepodległość Polski postawiła na czele swego programu politycznego, narażając się na bezmyślne i dokuczliwe ataki z prawa i z lewa.

W Zakopanem można się było przekonać, że tow. Marja umiała nie tylko mocno kochać i znajdować w sercu skarby tolerancji dla słabych, ale że potrafiła głęboko nienawidzić i mocno piętnować podłość we wszelkich jej przejawach. „Nienawidzę tchórzów i urodzonych niewolników, gardzę i brzydzę się nimi” — mówiła, a oczy jej pały i zaciskały się ręce z oburzenia.

**

A potem w Polsce już niepodległej, zagnana do Min. Pracy i Opieki Społecznej jakimś potrzebami dla domu dziecka w Rytrze, stworzonego wysiłkami Sekcji PPSD i organizacji kolejarzy nowosądeckich — spotykam w Departamencie Opieki Społecznej tow. Marję na stanowisku urzędniczki tegoż Ministerstwa. Ciężkie lata wojny odbiły się na jej zdrowiu, ale w oczach jej jaśniały radość i szczęście, że obecnie żyje i pracuje w Polsce, powołanej do niepodległego bytu.

Idąc za popędem swego gorącego serca, które nie zaznało osobistego szczęścia czuwania nad własnymi dziećmi, tow. Marja objęła miłością wszystkie dzieci polskie, zwłaszcza te najuboższe. Zwiedzała zakłady i instytucje, starała się wnikać

w tryb życia tych zakładów, usuwać niedostatki. Bolała, że tak wiele jest do zrobienia, a siły ludzkie takie słabe, tak mało środków pieniężnych w Polsce, zniszczonej wojną, tak wiele ludzi, którzy nie dorośli do zajmowanych przez siebie stanowisk opiekuńczych.

Bystry, zawsze żywy umysł Marji obejmował nietylko braki urządzeń opieki nad sierotami i opuszczonymi dziećmi — wszystkie dziedziny życia społecznego w Polsce poważnie ją interesowały. Tow. Marja, która nigdy nie opuściła szeregów partyjnych, nie mogąc dla słabego zdrowia i przeciążenia pracą biurową pracować, jak dawniej, czynnie, czujnie śledziła wszelkie przejawy życia partji. Nie wszystko zyskiwało jej aprobatę. Wiele rzeczy poddawała krytyce, ale Partję kochała po dawnemu uczuciem zawsze szczerem i gorącym.

Zdanie tow. Marji miało zawsze należną wagę, na jej sądzie, często ostrym, ale zawsze sprawiedliwym, można było polegać. Czytając bardzo wiele, interesowała się wszystkimi kierunkami nowoczesnej myśli socjalistycznej, pozostając wierna zasadom i programowi PPS., którą budowała znojnym trudem i bohaterskiem poświęceniem lat młodzieńczych i wieku dojrzałego.

Pomimo słabego zdrowia, tow. Marja starała się brać udział we wszystkich wystąpieniach partji. Spotykamy ją na konferencjach partyjnych, na wiecach, akademjach. Nie przeraża ją uciążliwa podróż, i zimą 1924 r. bierze udział w XIX Kongresie naszej partji w Krakowie. W wieczór Sylwestrowy goście kongresowi i towarzysze krakowscy, zebrani w sali Domu Robotniczego, zgotowali tow. Marji serdeczną owację, obdarzając ją wiązaną kwieciami. Do głębi wzruszona, dziękowała za objawy uznania, przyjmując hołdy nie dla siebie, ale dla Partji, której była przecież wyrazicielką.

Praca socjalistyczna wśród kobiet nie przestaje być dla niej bardzo drogą i ważną. Nie opuszcza żadnej konferencji, przewodniczy na Zjeździe Kobiet w Krakowie i na Zjeździe w czerwcu 1925 r. w Warszawie. Razem z tow. senatorem Limanowskim przewodniczy na uroczystej Akademji z okazji rozwinięcia sztandaru Centr. Wydz. Kobiecego. Metalowy znaczek wydziału, ufundowany przy tej okazji, przyjmuje bardzo wzruszona, mówiąc, że jest to dla niej odznaka za „wierną służbę“....

JAN KRZESŁAWSKI.

MARJA JAKO STARUSZKA

„Marję” spotykałem często w latach 1905 i 1906 w biurach partyjnych, na konferencjach, w mieszkaniach prywatnych. Nie było wtedy czasu na bliższe poznanie się wobec gorączkowego tempa pracy. Coraz to nowi towarzysze pojawiali się na powierzchni życia politycznego i znikali po pierwszej wyspie, która często decydowała ostatecznie o ich dalszym losie. Gdzież tu było zastanawiać się nad tajnikami psychiki naszych towarzyszy? Nie było na to czasu. Wiedziałem tylko, że na „Marję” i jej „surowość” narzekały niektóre „technikierki”, zwłaszcza nowicjuszeki, i że, pomimo tych skarg i narzekań, autorytet jej w partji pozostawał niezachwiany. Uważano ją za nieocenioną i niezastąpioną. Jej talent organizacyjny i umiejętność konspirowania były czemś fenomenalnym.

Sposobność bliższego poznania „Marji” miałem daleko później — na emigracji, w Krakowie. Przypadły jej wtedy w udziale dwie czynności: opieka nad emigrantami - robotnikami w t. zw. „komunie”, zarówno materialna, jak moralna, oraz obrona prawa azylu emigrantów przed policją krakowską, która, chociaż złożona z Polaków, wykazywała bezustannie dążności do pójścia na rękę policji rosyjskiej w jej staraniach o wydanie emigrantów pod pozorem, że popełnili przestępstwa nie polityczne, lecz kryminalne.

W ostatnich kilku latach przed wojną prawo azylu zasadniczo zostało wywalczone u władz austriackich, dzięki staraniom tow. Daszyńskiego, Marka i paru innych, przyczem zastrzeżenie stosunków między Austrią a Rosją było tu nie małą



Marja Paszkowska na schyłku życia.



THE UNIVERSITY OF CHICAGO

pomocą. Władze austriackie zrozumiały nareszcie, że działalność, prowadzona pod egidą PPS., jest zawsze działalnością polityczną, choćby pozornie podlegała normalnym przepisom prawa karnego, jak np. akt zabójstwa politycznego, napad zbrojny na rosyjską kasę rządową i t. p. W każdym jednak poszczególnym wypadku władze policyjne, zwłaszcza krakowskie, nie umiały się orjentować, jak zakwalifikować dany akt, tymczasem zaś aresztowany towarzysz pozostawał w więzieniu krakowskim pod nieustanną groźbą wydania go władzom rosyjskim.

W takich razach pojawiała się zawsze jeszcze na czas zaalarmowana, „Marja”, przynosząc ze sobą do dyrekcji policji numer nielegalnego „Robotnika” z opisem aktu terrorystycznego lub pokwitowaniem partyjnym z dokonanej konfiskaty na dowód, że t. zw. „przestępstwo” miało istotnie charakter polityczny.

Z biegiem czasu nabrano zupełnego zaufania do zaświadczeń „Marji”, i stwierdzenie przez nią, że chodzi o towarzysza, nie zaś o bandytę, najzupełniej wystarczało, aby go wypuścić na wolność.

Kiedyś — zdaje się w r. 1913 — zdarzył się wypadek, że powstała wątpliwość, czy wypuszczony na wolność wskutek wstawienictwa „Marji” emigrant zasługiwał na poparcie. Jeden z towarzyszków przybiegł do mnie wzburzony, zawiadamiając, że podejrzewa wypuszczonego o szpiegostwo na rzecz Rosji i przewiduje poważne konsekwencje dla siebie i dla rodziny w razie, jeśli ten przedostanie się za kordon do Królestwa. Komisarz policji krakowskiej, dr. Styczeń, miał zapewnić, że posiada niezbite dowody szpiegostwa i podwójnej roli podejrzanego. Nabrałem i ja pewnych wątpliwości, które mi się zaraz z „Marją” podzieliłem. „Marja” jednak oświadczyła z całym spokojem: „K. jest porządnym towarzyszem i niema się czego obawiać”. Jakoż istotnie wspomniany K. całem swem późniejszym życiem okazał, że powodu do obaw nie było. „Marja” miała „węch”, oparty na tyloletniej praktyce konspiracyjnej.

Byłem świadkiem wielu zatargów „Marji” z „komuną”, raz nawet byłem proszony na arbitra, i stwierdzić zawsze mogłem, że miała węch, umiała poznawać ludzi, z którymi wypadło jej, jako opiekunce „komuny”, dzielić smutną emigrancką dolę. Z jaką radością opowiadała mi zawsze o nowym pensjo-

narzu, jaśli w nim dostrzegała coś, co go wyróżniało od szarej rzeszy wielu takich, którzy nie byli w stanie wznieść się wyżej ponad codzienną troskę o chleb. Jakiem rozrzewnieniem przejęte było jej opowiadanie, jeśli ten wypadkiem pochodził z kresów wileńskich, które były kolebką rodziny Paszkowskich! Jak się cieszyła z każdego zwycięstwa ducha nad materją u swych wychowanków.

Charakter „Marji” nie był łatwy. Czuąc brzemię odpowiedzialności za losy „komuny”, która uległaby surowym represjom, gdyby każdy z jej członków dawał się powodować swym instynktom i zachciankom, postępowała despotycznie i bezwzględnie. Od czasu do czasu wybuchały nawet bunt zbiorowe. Ten i ów biegł do towarzyszy ze skargą, że „Marja” go prześladuje. Trzeba było nieraz pośredniczyć, wpływać, przekonywać, uspakajać. Kiedyś nawet domagano się ustąpienia „Marji” ze stanowiska. Nie trudno było jednak przekonać kogo należy, że nikogo drugiego, kto by z takim poświęceniem chciał pracować dla „komuny”, nie znajdzie się w świecie emigranckim.

A „Marja” tymczasem, bez względu na to, czy panowała w „komunie” harmonja, czy też zanosilo się na ferment, zbierała późnym wieczorem stare kości i udawała się na zwykłą włóczęgę do kawiarni krakowskich ze swą „świnką” (puszka do zbierania składek na emigrantów w formie świnki z porcelany). Przysiadła się do stolików i zbierała, choć nieraz spotykały ją ironiczne przytyki i zniewagi. A nieraz za jej plecami dawało się słyszeć: „Ta zapewne na siebie zbiera”.

U Michałika, gdzie zbierała się zawsze cała emigracja, „Marję” znano i chętnie przyjmowano. W innych kawiarniach krakowskich bywało gorzej, a kiedyś nawet potraktowano „Marję” jak żebraczkę i nie chciano jej wpuścić do lokalu. Dopiero energiczna interwencja tow. Daszyńskiego sprawiła, że właściciel kawiarni „Marję” przeprosił, a nawet ofiarował znaczniejszą sumę do „świnki”.

Starałem się bliżej poznać tych lokatorów, na których „Marja” najbardziej się uskarżała i którzy nawzajem wszczynali przeciw niej gwałtowną opozycję, i prawie zawsze dochodziłem do przekonania, że są to albo jednostki gwałtowne i nie-

zrównoważone, niezdolne do podporządkowania się jakiegokolwiek dyscyplinie, albo indywidua o bardzo ujemnych cechach charakteru. „Marja” zawsze przecie miała rację, choć czasem może wkładała zbyt dużo pasji w zwalczanie swych przeciwników z „komuny” na Zwierzyńcu.

„Marja” dobrze znała ludzi. Instynkt nigdy jej nie zawodził. Nie brała plewy za dobre ziarno. Doświadczyłem tego zwłaszcza w początku 1914 r., gdy powziąłem niezłomne przekonanie, że niejaki Sobierajski, przez pewien czas lokator „komuny”, któremu się udało w tym czasie przedostać do Królestwa, był prowokatorem. Nikt w Krakowie nie chciał mi wierzyć. Jedna tylko „Marja”, gdy się jej z tych podejrzeń zwierzyłem, powiedziała mi, że uważa je za słuszne, gdyż Sobierajski jest człowiekiem niegodziwym i do wszystkiego zdolnym.

Przypuszczenia moje sprawdziły się. Sobierajski zdażył wejść w kontakt z towarzyszami, wysłanymi na robotę warszawską z ramienia PPS, opozycji (t. zw. grupa „Placówki”) i wydać ich „Ochronie”, zanim zdążono im z Krakowa przesłać ostrzeżenia.

Stosunek „opozycji” do „starych” na gruncie krakowskim był nie mniej ostry, niż we Lwowie, gdzie była kolebka opozycji. W tym sporze „Marja” umiała zachować całkowitą bezstronność, co tem bardziej zastanawiało, że w r. 1906 w okresie wielkiego rozłamu stanowisko „Marji” było zupełnie zdecydowane. „Marja” oddała wówczas całą robotę techniczną do dyspozycji „frakcji rewolucyjnej”, czem ściągnęła na siebie wielki gniew „lewicy”. Widać „Marja” zdawała sobie z tego dobrze sprawę, że wówczas zarysowała się wielka przepaść w dziedzinie programu i taktyki, tu zaś ścierały się dwa odcienie, nie mogące narazie ze sobą współpracować. „Wy macie trochę racji — mówiła „Marja” do mnie „opozycjonisty” — ale nie we wszystkim. Ja muszę stać na uboczu i do tych sporów się nie mieszać, bo moje stanowisko tego wymaga”.

Sympatje i antypatje „Marji” nie były zresztą zależne od przekonań politycznych jednostki, lecz od innych czynników. Byli lewicowcy i nawet esdecy, do których odnosiła się z pewną sympatją. Było znów kilku bardzo wypróbowanych pepeesowców, których nie lubiła i tego nie tała.

Należałem do tych, do których „Marja” zawsze miała du-

zo sympatji i zaufania i bardzo byłem z tego dumny. Może należało to zaufanie przypisać temu, żeśmy razem „kolegowali” na polu pedagogicznym, dając w tym samym czasie lekcje przedwcześnie zmarłemu Adasiowi Żeromskiemu, synowi Stefana, może temu, że życzliwie oceniała mój stosunek do pracy społecznej — dość, że tak było.

Ile razy spotykałem „Marję” później, już na gruncie warszawskim, gdy zawsze, widząc mnie, zatrzymywała się i zapytywała o moje losy, zawsze przychodziło mi na myśl, że trzeba w dalszem swem życiu tak postępować, aby to zaufanie i tę życzliwość zacnej i ofiarnej staruszki usprawiedliwić.

Ostatni raz — na miesiąc przed jej zgonem — spotkałem się z „Marją” w tramwaju linii „P”. Nie poznałem jej w pierwszej chwili. Przysiadła się i zapytała: „Czy się tak umałpiłam, że mnie nie poznajecie?” Uśmiechnąłem się. Zawsze ta sama „Marja” — ten sam język z przed lat 20-stu.

Zapytała mnie, co teraz robię. Odpowiedziałem w krótkich słowach. Ona na to: „To już teraz nie pracujecie w szkolnictwie? Człowiek powinien pracować nie tam, gdzie mu lepiej, lecz tam, gdzie jest najpotrzebniejszy”. W pierwszej chwili pomyślałem sobie: co komu do tego właściwie, co ja robią? Lecz zaraz po tem przyszła refleksja, że jeśli kto, to „Marja” jedynie ma prawo do robienia uwag tego rodzaju, bo całe jej życie było pasmem poświęceń. Wy tłumaczyłem jej, dlaczego obecną swą pracę zawodową uważam za pożyteczną państwowo, i to „Marję” całkowicie przekonało.

W miesiąc później danem mi było ujrzeć „Marję” już w trumnie, w jej skromnym pokoiku przy ulicy Oboźnej, koło dawnego Uniwersytetu Ludowego, który był w latach 1916—1918 kulturalną placówką PPS. Żadnych emblematów religijnych — tego „Marja” nigdy nie znosiła. U wezgiłowia portret Piłsudskiego, którego „Marja” do końca życia uwielbiała, utyskując jedynie od czasu do czasu, że nie pozostał w szeregach socjalistycznych. Koło trumny stały kobiety, jej dawne „dromaderki”, gorzko płacząc.

Nazajutrz na kongresie PPS., po powrocie z pogrzebu, jeden z towarzyszy w swem przemówieniu wskazywał, jak wielką podstawą siły moralnej partji są tradycje tych najlepszych dzia-

łaczy, którzy powoli schodzą z pola, i przypominał, że samemi tradycjami żyć długo nie można. Trzeba je kontynuować, stwarzając nowe czyny.

I dzisiaj, po śmierci, tradycja „Marji” jest wiecznie wśród nas żywa. Ta zapomniana niemal w ostatnich latach swego życia „Marja” blaskiem dawnych wspomnień opromienia dzieło, któremu służyła za życia.

ST. ANDRZEJ RADEK.

ZBUNTOWANI BOJOWCY

(Pamięci tow. Marji Paszkowskiej).

Przyszła nareszcie wiosna jak marzenie i różowemi uśmiechami poranków budziła radość ziemi. Pod jej rozkosznem tchnieniem toczył się wartko potok życia i przemian bez przerwy i wytchnienia — szumnie, radośnie i wesoło, w miłośnem upojeniu — dążąc do celu niedalekiego — do śmierci.

W uroczą zielen przybrały się krakowskie Planty. Po delikatnych listeczkach kasztanów spływały promienie słońca i jak kropla złota padały na ziemię.

Już od godziny siedziała Marja na ławce, zalanej potokiem ciepłych promieni słońca, i wpatrywała się w nabrzmiałe pąki krzewów, w wykluwające się z pod ziemi ździebełka trawy; interesowały ją zabiegi niestrudzonych nigdy mrówek, zaciekawiały w czerwonych opończach grabarze i zalotnice — niebieskie muchy. Serdecznem rozrzewieniem wzruszały dzieciące krzyki i śmiechy szczere, wesołe.

Dobrze jej tu było, w tym kąciku, na ławce, zalanej światłem żywem, przyjemnem. Promienie słońca wnikały aż w głęb duszy i ożywiały dawno zapomniane marzenia, nadzieje i pragnienia.

Wpatrywała się w nie teraz i ogarniał ją dziw, że jeszcze są, że nie wygasły, nie zatraciły się wraz z młodością, że nie zatarło je życie w deptaku codzienny trosk i kłopotów, w zapamiętałej uporczywej walce o czyjeś tam istnienie, o jakieś sprawy ogólne, wielkie i święte.

I oto naraz miałyżby dawne sny wrócić? Zamarłe pragnienia zmartwychwstać?

Nigdy. Już dawno pochłonał je grób dobrowolnego wyrzeczenia się, pokrył popiół zapomnienia, na którym wyrosły nowe uczucia i nowych ukochań ideały.

Przyszła kiedyś taka chwila jasnowidzenia, taki dzień wyjątkowy, w którym zrozumiała wszystek ból świata i straszną nędzę istnienia ludzi, skazanych na wieczną pracę bez radości, na cierpienie bez pożytku i chwały i wtedy oddała im siebie. Ukochała sprawę ludu roboczego — zapatrzona w jutrzienkę jutra — zwiastującą ideę Braterstwa i Wolności.

I poszła wraz z najpierwszymi wyrębywać drogę do Wolności.

Czego nie robiła? Czem się nie zajmowała?

Gdzie kto nie mógł czego zrobić — tam posyłano Marję.

I Marja przez swoje zatracenie się, przez swoją ofiarność bezgraniczną dopięła wreszcie tego, że zaczęto ją uważać za coś, z czem nie trzeba się liczyć, ani żałować. Stała się po prostu własnością partyjną — obowiązana w dodatku o wszystkim myśleć i za każdego się martwić.

Coś się stało, czy czegoś nie zrobiono, to lekkomyślny polski rewolucjonista zawsze wykrecał się i z czystym sumieniem mówił:

— Co, ja się tem będę martwił? Niech się Marja martwi!

Tak ją rzetelnie wyzyskiwano, że wkrótce stała się popularną nie tylko w partji, ale nawet najpodlejszy szpicel i to Marję znał i starannie obserwował. Z tego powodu stała się niebezpieczną dla partji i wywieziono ją do Krakowa.

I tu, wiecznie zajęta, wiecznie czynna, dźwigała na sobie jarzmo spraw partyjnych, cudzych kłopotów i zmartwień. I nie skarżyła się nigdy. Poprostu nie spostrzegała siebie. Jej osoba była jakby poza nawiasem życia, wyłączona od ogólnego stołu.

Do najrozmaitszych spraw przydzielono jej jeszcze opiekę nad bojowcami, którzy na stałe lub chwilowo zjawiali się w Krakowie.

Wynaleźć mieszkanie dla nich, przyodziać, nakarmić, ochraniać przed Karczem — ówczesnym inspektorem policji — i czuwać, aby się nie szwędali po Krakowie i nie rozkonspirowali przed rosyjskimi szpiclami — to było zadaniem Marji.

Przyznać trzeba, że zabrała się do tego umiejętnie, energicznie i nader surowo.

Bojowcom nie mogło się we łbach pomieścić, dlaczego jej się tak boją. Co tam C. K. R. albo Wydział Bojowy, czy jakiś instruktor! Mucha naprzeciw Marji.

To była dopiero władza!

Mysleli też o niej ciągle nie tylko dlatego, że im zносиła koszułe, buty i żarcie, ale mnóstwo jeszcze rozkazów i zakazów, bardzo serdecznie wypowiedzianych, ale bojowcom aż krzyże cierpły. Siedzieli więc w specjalnie wynajętej chałupie na „zapowietrzonym“ Zwierzyńcu i grali w karty, albo w „d...ka“ z taką zajadłością, że aż im świeczki w oczach stawały i ręce mdlały... od wzajemnego obijania sobie siedzenia.

Nic też dziwnego, że ten i ów, nie mogąc usiedzieć, bo go parzyło — zdobywał się na bohaterstwo i obwieszczał wszem wobec:

Ja idę do Krakowa.

Takie oświadczenie wywoływało u bojowców kolosalne wrażenie.

— No, a Marja?

— Co mi tam Marja! — ciskał się bojowiec. Kozaków się nie bałem, żandarmów się nie bałem, śmierci się nie boję, a Marji będę się bał?!

Nakładał czapkę na łeb i wychodził z chałupy, a pozostali dla własnej satysfakcji zaczynali ryczeć w niebogłosy: „Na barykady“ albo „Krew naszą długo leją katy“. Bojowiec tymczasem rwał prosto na Planty, aby choć trochę rozweselić duszę i pogapić się na ładne dziewczęta.

Miłe to atoli zajęcie i nieszkodliwe przerywało bojowcom zwykłe pojawienie się na horyzoncie Plant przedpotopowego kapelusza Marji.

Dojrawszy go, bojowiec nie namyślał się długo, ale w parę minut potem już się przyłączył do chóru i z prawdziwym przejęciem darł się: „Krew naszą długo leją katy!“.

Aż razu pewnego zbuntowali się wszyscy.

Właśnie ze swej ławeczki — ku wielkiemu swemu przeżeniu — dojrzała ich Marja, jak szli główną aleją wszyscy siedmiu — rozbawieni i na nic nie pomni.

— Ot huncwoty — szepnęła Marja, nie mogąc wyjść z podziwu i zgorzelenia.

— Odważyli się szelmy. A Jaskier, widzę, dowodzi nimi.

I siedziała niezdecydowana, czując że się nie może na nich gniewać — dzień taki cudny, a oni... Wtem spostrzegła jakiegoś jegomościa, który, stojąc opodał, zręcznie manipulował małym fotograficznym aparacikiem, nastawiając go na grupę bojowców.

Szpicel! — krzyknęła niemal Marja i porwała się z miejsca, jak kokosz, broniąca swoich piskląt przed szponami jastrzębia.

Marja — wrzasnęli bojowcy i — jakby ich zwało z Plant — ulotnili się, jak dym. I wogóle znikli z Krakowa. Nie było ich na „Komunie“, ani na Szlaku, ani w „Związku“ — ani nawet „Pod telegrafem“ — słowem nigdzie.

Marję ogarnęła rozpacz.

Dopiero na trzeci dzień zjawił się u Marji jakiś oberwaniec i zameldował, że siedmiu młodzieńców leży w lesie nad granicą i chcą, aby ich przeprowadzić na drugą stronę. Oberwus zapytywał się, co ma zrobić. Puścić ich czy nie?

— Niech Bóg broní! — zawołała Marja.

— A szelmy... Niechaj natychmiast wracają!

Na drugi dzień wrócił ten sam oberwus i odraportował, że tamci ani myślą wracać. Powiedzieli, że choćby ich szlag trafił, choćby ich na makaron porznęli, choćby im nawet cały garniec „karpatówki“ postawiono — to nie wrócą.

— Co, zbuntowali się? — zawołała Marja.

— Tak jest — odparł oberwus. I może być z tego nawet bieda, bo z pastwiska ukradli cztery gęsi, pieką je na ogniu i śpiewają „Na barykady“.

Wtedy Marja wysłała jeszcze jednego bojowca z wyraźną instrukcją sprowadzenia „chłopaków“.

Tymczasem „chłopaki“, zamiast usłuchać rozkazu, obrabowali obu wysłańców z pieniędzy i rewolwerów i zapowiedzieli, że, choćby się Kraków pod ziemię zapadł, to oni do niego nie wrócą, że jeszcze tej nocy przechodzą granicę i niech ich jasny piorun trzaśnie.

Wsiadła Marja na bryczkę i pojechała sama.

Późną już nocą dotarli do legowiska, ale bojowców ani śladu.

— Poszli „na własną rękę” rzekł oberwus.

— Daleko stąd granica? — zapytała Marja.

— Zaraz za lasem łąka i linja graniczna.

Serce Marji ścisnęło się boleśnie.

Poszli bez paszportów, bez opieki partji, źle uzbrojeni, a każdemu z nich już groziła kara śmierci.

— Dzieciaki, dzieciaki — szeptała Marja, i łzy popłynęły jej z ocz.

Nagle wśród ciszy nocnej zagrzmiął strzał i z ogromnym łoskotem przewalał się po lesie i, nim ścichło pierwsze echo — gruchnął drugi, trzeci i dziesiąty.

Albo natknęli się na „sekrety”, albo ich goniał po lesie — objaśnił oberwus.

Marja płakała. Wyratuj ty ich, lesie polski, kochany — ostoń ich, nocy — prawdziwa matko walczących o wolność ludzi — szeptała zbielełemi wargami.

A strzały precz grzmiały, napełniając las hukami różgłośnym, aż nagle ustały i tylko hen po całej linji granicznej prudy powietrze przeraźliwe gwizdki sygnałowe.

Albo ich już mają, albo będą las obstawiali — zauważył oberwus.

Tymczasem ucichły gwizdki. Zaszumiał las cicho, spokojnie, jakby chciał zmylić czujność, ukryć w tajemnicy, że tu się cośkolwiek przed chwilą odbywało.

— Co się z nimi mogło stać? — szepnęła Marja.

— Nic nie wiadomo — odparł oberwus. Albo ich już mają, albo obstawiają las i — rano będą ich mieć, albo zwieją, co mi się nie widzi, bo nie znają terenu.

— Ty znasz teren, to idź, może ich wyprowadzisz.

— E, pierona tam. Albo natrafię na żołnierzy, tom przepadł, albo na którego z nich, to mi wygarnie kulą w łeb, bo mnie weźmie za żołnierza i też bym przepadł.

— Będziemy czekali do rana — zdecydowała Marja.

Straszliwie długie są godziny oczekiwania. Szumi las jednostajnie, cicho, nieskończenie. A serce trwożnie rwie się i miota, bo mu się zdaje, że ten lasu szum to jakaś otchłań niezgłębiona, z której nigdy się nie wydostanie.

— Chłopcy moi, chłopcy — szepcze Marja. Może teraz leży który z was ranny i słucha tego szumu i czuje, jak mu upływa krew i myśli, że oto dla wielu zbliża się dzień, a dla niego śmierć.

I serce Marji wypełnia żal bezmierny i z oczu płyną łzy niepowstrzymane, nabrzmiałe bólem i miłością, roztopione uczuciem gorącym siostry i matki nie za jednym już tylko, lecz za wszystkimi, których już w niejedną ciemną noc wyprawiała na bój śmiertelny, na śmierć męczeńską i niesławną.

Wtem tracił Marję oberwus i szepnął cicho: — idą.

Istotnie od strony łączki słysząc było czyjeś ostrożnie zbliżające się kroki. Na skraju lasu kroki ucichły i ktoś wnikliwie badał brzeg lasu, a po chwili do uszu Marji dobiegł szept: zdaje się, że to gdzieś tutaj.

— A mówiłem, żeby gęsiemi piórami zaznaczyć linję odwrotu.

— A Jasion obydwie gęsi zgubił.

— I co teraz będziesz żał? Szyszki!

— Nie zgubiłem, ale jak mnie napadło dwóch, to czem miałem się bronić? Waliłem gęsiami aż się porozrywały.

— Nie, to nie tutaj — szeptał głos pierwszy. Chodźmy dalej.

— Tutaj. tutaj! — zawołała Marja.

Na skraju lasu zapanowała głęboka cisza. I dopiero po dobrej chwili zaszeleścił najcichszy i trwożny szept: — Rany Boskie! Zdaje mi się, że Marja. Uciekajmy!

Świntuchy jakies! — zawołała w irytacji Marja. Chodźcie tu zaraz!

Przez ciemną gąszcz poczęli się przedzierać na małą polankę.

Marja pilnie liczyła zjawiające się cienie. Byli wszyscy. Odetchnęła z ulgą.

— Który z was ranny?

— E, żaden. Tylkośmy sobie guzów na łbach o sosny ponabijali, za ciemno było uciekać.

— Dobrze wam tak! Nie buntujcie się! Głodni jesteście?

— Trochę, bo Jasion zgubił gęsi.

— Nie zgubiłem, jeno mi się porozbijały o żołnierzy. Czem się miałem bronić?

— Gęsi ma się rozumieć przepadły, ale za to zdobyliśmy dwa karabiny — pochwalił się któryś.

— Karabiny zdobyliśmy — powtórzyła Marja. Ach, wy, dzieciaki, dzieciaki. No, chodźcie do bryczki! Jest tam zakąska i jeszcze coś... Szczęście, że was Moskale nie przepuścili. Ja wam się pobuntuję, pokraki wy jedne! Pojedziecie jutro do Lwowa na kursy instruktorskie.

— Na kursy! — wrzasnęli bojowcy. Wiwat! Kochana towarzyszeko Marjo! Nie gniewajcie się na nas. My was lubimy, tylko to ciągłe śpiewanie na „komunie“ już nam obrzydło..

— I „karpatówka“ też — dodał Jesion.

— Dobrze chłopcy, pojedziecie — rzekła Marja.

MARJA CHMIELEŃSKA.

MARJA JAKO URZĘDNICZKA

W r. 1918, gdy okupacyjne wojska niemieckie pośpiesznie opuszczały ziemie polskie, udając się do objętej płomieniem rewolucji ojczyzny swej, i gdy wszelkie kordony znikły, tow. Marja niezwłocznie wróciła po długiej nieobecności do wolnej już Warszawy. Wróciła pełna chęci do pracy społecznej, lecz ze straconem doszczętnie zdrowiem, zmuszona zarabiać, aby żyć. Wprawdzie partja w uznaniu jej nieocenionych zasług i ofiarnej pracy całego życia dla ziszczenia ukochanej idei — socjalizmu i niepodległości — przeznaczyła jej emeryturę, lecz tow. Marji przyjmowanie tej emerytury stanowiło niezmierną przykrość. Wiedziała, jak olbrzymie partja ma potrzeby, a jak skromne fundusze, i nie mogła pogodzić się z myślą, iż jej emerytura uszczupla jeszcze te fundusze. Całe życie hojnie ofiarowywała wszystko — pieniądze, czas, wolność, pracę, teraz zmuszona była brać i sprawiało jej to nie-małą gorycz.

Zaczęła poszukiwać pracy i znalazła ją na terenie najbardziej dla niej umiłowanym — w Wydziale Opieki nad Dzieckiem Min. Pracy i O. S. Pracowała jakiś czas jako sekretarka, potem powierzono jej dział opieki nad dziećmi, których los porzucił do Rosji, na Syberję, do Japonji i t. p., a które powoli wracały do wolnej ojczyzny.

Tow. Marja, która każdy obowiązek przyjęty na siebie spełniała sumiennie, całą duszą oddała się tej pracy i spełniała ją nie jak bezduszny biurokrata, ale jak człowiek głęboko czujący. Pamiętam nieraz, jak w rozmowie ze mną martwiła się, iż dzieci te, sieroty, nie mają takiej opieki, jaką ona uważała za konieczną. Z jaką drobiazgowością, jak dokładnie po-

szukiwała dzieci, opuszczonych przez rodziców w czasie wojny, a o które po powrocie rodzice upominali się. I jaką jej sprawiało radość, gdy rodzice dzieci swe odnajdywali!

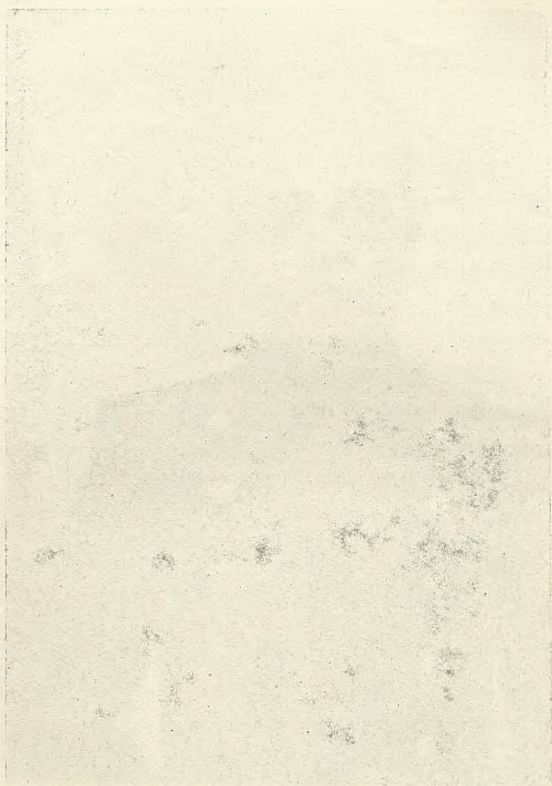
Niestety jednak wzmagająca się choroba nie dozwalała jej pracować intensywnie. Z każdym dniem niemal stawała się słabszą i musiała pracę przerwać. Czuła, że pracy poddać nie może i pogodziła się z koniecznością wyjścia do emerytury. Sprawilo to jej jednak wielką przykrość. Jej czynna energiczna natura nie mogła pogodzić się z tym faktem, iż działalność jej na każdym polu jest skończona i że jest czczoną emerytką. I do pracy swej w biurze była naprawdę głęboko przywiązana. Za każdym widzeniem się ze mną z wielką sympatją mówiła zarówno o kolegach, jak i o samem biurze.

Wzajemnie też tow. Marja była szanowana i lubiana przez kolegów. To też, gdy w ów ponury dzień grudniowy nadeszła do biura wiadomość o jej nagłym zgonie, w sercach wszystkich wieść ta wzbudziła szczery żal. Liczny udział kolegów w pogrzebie i na akademji, urządzonej staraniem Wydziału Kobiecego P. P. S., świadczył o uczuciach, jakie żywili względem niej jej ostatni współtowarzysze pracy bez względu na swe przekonania polityczne i społeczne.

WSPOMNIENIA
MARJI PASZKOWSKIEJ



Aleksiej Siedielnikow.



Alexander's Medical

DZIWNY CZŁOWIEK

Intendent X pawilonu.

Aleksiej Siedielnikow był Rosjaninem prawosławnym, pochodził z wołogodzkiej gub. W 1877 r., jako 20-letni urzędnik intendentury wojskowej przybył do Warszawy, a potem przez 27 lat był pomocnikiem zawiadowcy X pawilonu Warszawskiej Cytadeli, pełnił obowiązki intendenta. Był to człowiek o umyśle nieskomplikowanym, prostym, ale prawy, szlachetny, dobry, wrażliwy na cierpienia bliźnich, miał wiele współczucia dla więźniów politycznych, z których wielu serdecznie polubił. Do liczby tych wybrańców serca należeli: Bolesław Hirszfeld, Jan Strożecki, Kazimierz Pietkiewicz, Leon Falski, Józef Piłsudski, Stanisław Kulik, dr. J. Szmurło, dr. Estera Golde i inni.

Do piszącej niniejsze wspomnienie miał wielkie zaufanie, z czego oczywiście skwapliwie korzystała. Ażeby ulżyć ciężkiej doli więźniów, chętnie podejmował się pośredniczenia w korespondencji z więźniami.

Wejście do celi tej, tak odmiennej od całego otoczenia X pawilonu, szlachetnej postaci o białych jak śnieg włosach, o dobrem, ciepłym spojrzeniu niebieskich oczu i pogodnym uśmiechniętym obliczu, budziło radosne uczucie w znękaney duszy więźnia. Z wyrazu oczu A. S. można było domyśleć się że ma „grypsankę”. Jakoż rzeczywiście podchodził do więźnia, zapalał papierosa i pudełko od zapalek, zawierające „gryps”, niby przez roztargnienie zostawiał na stole. Po kilku minutach przypominał sobie i zabierał pudełko, ale już inne, które więzień miał zawczasu przygotowane z „grypsem”. Za białą głowę i przenoszenie korespondencji więźniowie przezwali A. S. „po-

cztowym gołębiem", a potem wprost „gołębiem” i tego pseudonimu używano w „grypsankach”.

Pseudonim ten podobał się Siedelnikowowi i cieszył go niezmiernie.

Ten człowiek o gołębiem sercu i dziecinnej prostocie i szczerości wykazywał dużą dozę przebiegłości: umiał podsłuchiwać rozmowy żandarmskich rotmistrzów, którzy przy nim zresztą nie bardzo się krępowali, przepisywał protokoły zeznań zdrajców; zawsze komunikował o szpiegu, symulującym więźnia politycznego, o każdym nowym aresztancie, a do każdego numeru „Robotnika” dostarczał dokładnego spisu więźniów X paw. Żandarmi wściekali się, w głowę zachodzili, skąd „Robotnik” ma takie dokładne informacje, ale nic nie mogli wykryć.

Siedelnikow był żonaty z Polką, Marią Hildebrandówną, kobietę szlachetną i dobrą. Oboje serdecznie pracowali nad ulżeniem losu więźniów X paw. Rządy nad kuchnią spoczywały w ręku p. Siedelnikowowej. Państwo S. mieli swoją krowę i kury i mleko za bardzo niską cenę sprzedawali więźniom.

Władza dzieliła więźniów na uprzywilejowanych i zwykłych. „Uprzywilejowani” dostawali na obiad, oprócz małego kawałka mięsa w zupie, kawałek pieczeni z jarzyną, a na kolację codzień, oprócz piątków, kotlet. „Nieuprzywilejowani”, t. zn. robotnicy i chłopci — tylko mięso i jarzynę na obiad, a na kolację gorącą wodę do herbaty (kipiatok).

Taki porządek rzeczy nie podobał się Siedelnikowowi, zmienić go nie mógł, więc radził sobie inaczej. Np. bladego i osłabionego robotnika umieszczał w celi, opuszczonej przez „uprzywilejowanego” więźnia i „zapominał” odnotować tego w odpowiedniej księdze. Więźniowie dla porządku służbowego nie mieli nazwisk, lecz tylko numery, i „nieuprzywilejowany” na numer „uprzywilejowanego” dostawał pieczeń, kotlet, w większe święto — pieróg, mleko, kawę. Przy obrachunku omyłka się wydawała, koszty pieczeni i kotletów potrącano z pensji Siedelnikowa, spożyte mleko i kawę uważało się za jego osobistą stratę. Wyrażano mu przytem współczucie i radzono na przyszłość być uważniejszym. Oczywiście, Pomoc Więzienna z początku w osobie Bolesława Hirszfelda, potem piszącej te słowa, a w końcu Stanisława Patka z przyjemnością zwracała

straty i zachęcała do dalszej nieuwagi. Więźniowie wogóle o tych machinacjach nie wiedzieli i, spotkawszy się na wolności, nieraz obgadywali intendenta, posądzając go o niesprawiedliwość i stronnictwo w stosunku do więźniów. Przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą Siedelnikow sporządzał spis osób, niemających pieniędzy, w kancelarji, i kosztorys przysmaków, niezbędnych w jego pojęciu w święta, a mianowicie: kiełbasy, bułki i, zdaje się, po kieliszku wódki. Obliczał sumiennie i tanio i żądał zawsze mniej, niż Pomoc Więzienna chciała dać. Wszystko to robił chętnie, ofiarnie i, nie trzeba chyba dodawać, że całkiem bezinteresownie. Jedyną rzeczą, którą można było wyrazić wdzięczność, nie urażając Siedelnikowa, były to figielki z cukierkami ze „Złotego Uła“ dla najmłodszego synka, Lolka, i bratanka p. Siedelnikowowej, Hipolitka Hildebranda, w domu rodziców którego odbywały się nasze spotkania z p.p. Siedelnikowowymi.

Wielu więźniów z X paw. zawdzięcza Sied. zdrowie fizyczne i równowagę duchową, mniej obciążającą sprawę, a nawet wolność. Bez pomocy S. ucieczka J. Piłsudskiego byłaby nie do pomyslenia.

Siedelnikow był bardzo nerwowy i nie znosił wiadomości o śmierci osób, które znał; każdą śmierć musiał odchorować. Liczne wyroki śmierci jego pupilów w latach porewolucyjnych nadwątliły jego zdrowie. W 1913 r. po 35 latach służby w intendencurze wojskowej (w tem 27 w X p.) otrzymał dymisję z emeryturą 51 rb. miesięcznie. W czasie wojny był wyewakuowany z żoną i trzema synami: Stefanem, Janem i Aleksym, czującymi po polsku i ożenionymi z Polkami. Siedelnikowowie osiedli w Moskwie. A. S. tak zżył się z polską rodziną żony i z Polską, że zanosił modły do Boga, aby mu pozwolił złożyć kości w ziemi polskiej. Nie stało się wedle jego modłów, 1916 r. umarł na chorobę serca, przeżywszy 69 lat. Żona i syn Jan wrócili do kraju w r. 1918.

Cześć szlachetnej pamięci „dziwnego intendenta“!

U C I E C Z K A

Mój udział w wykradzeniu Józefa Piłsudskiego.

Józef Piłsudski, powszechnie znany wówczas pod pseudonimem Wiktora, był aresztowany w lutym 1900 r. w Łodzi, w drukarni „Robotnika”, która mieściła się w jego mieszkaniu. Przewieziono go do Warszawskiej Cytadeli i osadzono w X pawilonie, przeznaczonym wyłącznie dla więźniów politycznych. Pracowałam w „Kasie Pomocy Więziennej” i opiekowałam się więźniami politycznymi, zaopiekowałam się naturalnie i „Wiktorem”.

Jedną z najważniejszych czynności Pom. Więz. było wyszukiwanie pewnych, konspiracyjnych dróg do skomunikowania się z więźniami. W X p. pozwolenie na widzenie się z więźniem dawano tylko najbliższemu krewnym raz na tydzień, na 2 tygodnie, a czasem raz na miesiąc. Widzenia odbywały się w obecności żandarmów i przez 2 kraty, oddzielone jedna od drugiej prawie o łokieć. O konspiracyjnym porozumieniu mowy być nie mogło. Żywności przynosić nie było wolno; na dostarczenie odzieży trzeba było uzyskiwać pozwolenie, na które czekało się długo, a zresztą żandarmi starannie wszystko rewidowali. Ale był intendent Siedelnikow, o którym wyżej pisałam. Otóż przy jego pomocy porozumiałam się z Piłsudskim i byliśmy dokładnie poinformowani o przebiegu sprawy. Byliśmy pewni, że po paru latach śledztwa ma murowane 8 lat Kołymska, taka bowiem wówczas była najwyższa kara dla przestępców politycznych.

Pozwolić Wiktorowi zmarnować jakie 10 lat życia, kiedy już w przeszłości miał za sobą 5 lat Wschodniej Syberji — to było nie do pomyslenia... Ucieczka z Cytadeli była fizyczną niemożliwością. Trzeba było wymyślić coś takiego, coby zmusiło żandarmów do przeniesienia J. Piłsudskiego z X p. w jakie inne miejsce, mniej niedostępne. Zmusić zaś mogła tylko

taaka choroba, której kuracja nie mogłaby być przeprowadzona ani w celi X p., ani w lazarecie wojskowym w Cytadeli. Taką chorobą mógłby być tylko obłąd.

Po uprzednim porozumieniu się z J. P., zwróciłam się o poradę do psychiatry, dr. Rafała Radziwiłłowicza. Dr. R. R. poradził udawać manię prześladowczą i podyktował mi odpowiednią instrukcję, którą przesłałam J. P. przez A. Siedelnikowa. Z treści kartek J. P. i opowiadań A. S., który szczerze martwił się chorobą J. P., skrupulatnie zdawałam sprawę dr. R. R. i otrzymywałam dalsze instrukcje. W myśl instrukcji J. P. drażnił widok żandarmów, a że jedzenie według regulaminu mogło być podawane tylko w ich obecności, więc zaprzestał spożywania potraw, do których wrogowie mogą czegoś domieszać. Zgodził się wreszcie na jaja i przez pewien czas jadł same jaja. Kiedy mu się sprzykrzyły jaja, zaczął wyszukiwać na jajach skazy. Potem zażądał pewnego gatunku sucharków w pewnem opakowaniu, potem poszła czekolada i t. d. Oprócz szczerzego zmartwienia stanem zdrowia J. P., A. S. miał i dotkliwie przykrości. Władze czyniły mu „strogije wygowory“, że nie dba o porządne żywienie więźnia. Po naradzie z żoną postarali się o podręcznik do kuchni litewskiej. Ale i według przepisów sporządzone przysmaki, nawet konfitury poziomkowe, były wzgardzone. Siedelnikow postarał się o pieróg strasburski z generalskiego kasyna, ten sam los spotkał i ten przysmak. Tak długo trwać nie mogło. W końcu lata J. P. już był bardzo wyczerpany. Trzeba było z tem jakoś skończyć.

Wówczas postarałam się dotrzeć do dr. Iwana Sabasznikowa, dyrektora szpitala dla obłąkanych pod wezwaniem Jana Bożego.

Dr. I. Sabasznikow uważany był za Rosjanina; w rzeczywistości zaś był pochodzenia burjackiego i siebie nazywał Sybirakiem. Był to człowiek światły, dobry, uczynny. Zwierzyłam mu się z wielkiego zmartwienia, które mię gnębi, opowiedziałam mu, że uwięziony w X p. towarzysz lat dziecinnych, Józef Piłsudski (może nawet przyznałam się do pokrewieństwa z nim) jest bardzo zdenerwowany, że stan psychiczny budzi obawy u rodziny, odwiedzającej go; że miejscowy lekarz wojskowy nie jest specjalistą chorób nerwowych, a na wezwanie do chorego specjalisty Polaka władze żandarmskie nie dadzą zezwolenia.

Przemówienie zakończyłam oświadczeniem, że mam zaufanie do jednego specjalisty nie Polaka, a mianowicie do niego.

Dr. I. Sabasznikow wziął sprawę J. P. do serca, zgodził się leczyć go i pomógł mi złożyć podanie do władz żandarmskich. W podaniu Stefanja Lippmanówna, ciotka i opiekunka J. P. (po śmierci jego matki, napisała, że zna dr. I. Sabasznikowa z czasów, kiedy praktykował w Petersburgu, wierzy w skuteczność jego metody leczenia i prosi o sprowadzenie go do chorego J. P. na jej koszt. Zamierzałam powiedzieć, że należne honorarium wypłaci ciotka, dr. I. S. przerwał mi w połowie zdania i rzekł, że nie ma zwyczaju brać pieniędzy od ludzi, którzy nie zarabiają, a rodzina nie powinna odpowiadać za krewnych.

Podanie zrobiło wrażenie na żandarmów, bo przecież dr. I. S. jest dygnitarzem, za wizytę każe sobie drogo zapłacić... Pozwolenie przyszło prędko i dr. I. Sabasznikow udał się do Cytadeli. Miejskowy lekarz wojskowy chciał wejść razem z dr. S. do celi J. P., lecz ten ostatni na widok munduru zaczął się denerwować. Dr. I. Sabasznikow zażądał, aby go zostawić sam na sam z pacjentem. Od pierwszego spojrzenia dr. I. S. widział, że ma przed sobą człowieka całkiem zdrowego na umyśle, zaniechał badania, a J. P. udawania i rozpoczęli pogawędkę o Syberji. Dr. Sabasznikow kochał Syberję i tęsknił za krajem rodzinnym. U Piłsudskiego Syberja we wspomnieniach z pięcioletniego tam pobytu przybrała szatę poetyczną... Obaj utonęli w zachwytach, wspomnieniach i przegawędzili dobrą godzinę. Rozeszli się obaj zadowoleni ze spędzonego czasu. Dr. Sabasznikow dziękował mi potem, że dałam mu możność poznania tak zajmującego, wybitnego, rozumnego człowieka. Od dr. Sab. otrzymałam kopję świadectwa lekarskiego, wystawionego po zbadaniu chorego J. P. Po za łacińskimi apokalipsami było tam powiedziane mniej więcej tak: groźny stan psychiczny pacjenta jest spowodowany nienormalnymi warunkami życia w X p.; w normalnych warunkach, których nie może dać Cytadela, przyjdzie do zupełnego zdrowia.

Władze żandarmskie wołały ukarać człowieka zdrowego na umyśle, niż darować winę niepoczytalnemu — i w krótkim czasie odesłano J. P. do Petersburga, do szpitala Mikołaja Cudotwórcy, na oddział politycznych, skąd już P. P. S. potrafiła go wykraść.

ALEKSANDER MALINOWSKI W WIĘZIENIU I ORGANIZOWANIE UCIECZKI

Tow. Aleksander Malinowski (pseudonim ówczesny „Władek”), aresztowany w lutym r. 1900 na dworcu kolejowym w Łodzi, został przewieziony do cytadeli warszawskiej i osadzony w X pawilonie, przeznaczonym wyłącznie dla więźniów politycznych. Pracowałam wówczas w Kasie Pomocy Więziennej i opiekowałam się więźniami politycznymi.

Opieka moja nad tow. „Władkiem” ograniczała się do dostarczania mu za pośrednictwem jego matki pieniędzy na lepszy wikt i bielizny. O jakimkolwiek konspiracyjnym porozumieniu się z nim mowy być nie mogło. Pani Malinowska kochała syna niezmiernie, gotowa była na największe ofiary dla ulżenia jego losowi, ale zgoła nie rozumiała arkanów sztuki konspiracyjnej. Najusilniejsze starania nakłonienia jej do powtórzenia synowi przy widzeniu zdania napozór niewinnego, lecz mającego dla więźnia nieraz ważne znaczenie, nie osiągały skutku. Wobec tego nie można było powiadomić „Władka” o życzliwości dla więźniów intendenta X pawilonu, Aleksieja Siedielnikowa, i o możliwości komunikowania się przez niego ze „światem”. Z tego niezrozumienia konspiracji wynikały czasami zabawne komplikacje.

Pewnego razu przyjechała z Kijowa do Warszawy młoda, przystojna, inteligentna panienka — p. Julia St., która zgłosiła się do tow. „Michała” (Sulkiewicza) i z zapałem entuzjastki ofiarnie zaproponowała chodzić na widzenia do Aleksandra Malinowskiego w roli narzeczonej. Narazie „Michałowi” uśmiechnęła się myśl, że można będzie przez nią przemy-

cić tę lub ową wiadomość, ale, kiedy przypominałam mu, że ostatniemi czasy żandarmi aresztowali parę takich „narzeczonych” i poddali je badaniom, zaniechał tego projektu, i p. Julia wróciła do domu. Pani Malinowska wzięła konspiracyjne narzeczeństwo za rzeczywiste i w p. Juli, która jej się bardzo podobiała, widziała miłą sercu synową w przyszłości. Niedopuszczenie do widzenia z synem p. Juli zrozumiała po swojemu, zasmuciła się, westchnęła głęboko i spojrzała na mnie z wyrzutem.

Wkrótce potem P. P. S. wydała 38 numer „Robotnika” — pierwszy po wyspie drukarni w Łodzi. Chciało się bardzo dobrze nowiną ucieszyć pepeesową duszę „Władka” i dodać otuchy tem, że przecież teraz władze żandarmskie mogły się przekonać, że mają w łapach nie jedynych i niezastąpionych kierowników znienawidzonej przez nich partji, co mogło wpłynąć na tok sprawy i złagodzenie kary.

W przeddzień wyznaczonego widzenia z „Władkiem” błagałam matkę, zaklinałam na wszelkie możliwe świętości, aby powiedziała synowi, że „Ciotka jest w dobrym humorze, bo bardzo wesoło spędziła dzień urodzin: zaczęła 38 rok”. „Ciotka” — był to mój pseudonim w Więziennej Pomocy; urodziny — narodziny — wyjście nowego numeru „Robotnika”. Sens jasny dla każdego, przyzwyczajonego operować żargonem konspiracyjnym. I tę sprawę starowina zrozumiała po swojemu: westchnęła, pokiwała głową i na moje natarczywe naleganie bąknęła coś niewyraźnie. Kiedy po powrocie z widzenia pani Malinowska, jak zwykle, zdawała mi sprawę z tego, co i jak tam się odbyło, zapytałam, czy dokładnie powtórzyła synowi, o co prosiłam. Niezdolna do wykrętów staruszka spuściła oczy i szepnęła: „Tego nie mogłam uczynić, proszę tego odemnie nie wymagać...” Biedaczka wyobraziła sobie, że podstępna „ciotka” usunęła rywalkę, a teraz chwali się, że ma tylko 37 lat...

Za pośrednictwem A. Siedelnikowa wiedzieliśmy o przebiegu sprawy aresztowanych w Łodzi i nie wątpiliśmy, że po paru latach śledztwa będą mieli zesłanie na 8 lat do Kołym-ska, taka bowiem była wówczas najwyższa kara dla przestępców politycznych. 8 lat Kołymska — to 8 lat jałowego bezczynnego istnienia w warunkach niecywilizowanego życia dla tow. „Władka”, który, choć chory i słaby fizycznie, ale mocny duchem i wszystkiemi fibrami duszy tkwi w ruchu wyzwoleń-

czym! Bez głębokiego współczucia nie mogliśmy o tem myśleć—my, pozostający w kraju i na wolności. Ucieczka z cytadeli była fizycznie niemożliwa.

Naraz dowiadujemy się, że śledztwo skończone i że „Władka” i „Karola” (Kazimierza Rożnowskiego), aresztowanego w tejże samej sprawie drukarni „Robotnika”, przewożą do więzienia w Siedlcach, gdzie mają pozostawać aż do wyroku.

Błysk nadziei i radość niewypowiedziana!

W Siedlcach panie M. ofiarowały p. Malinowskiej swoje mieszkanie dla zajazdów i noclegów. Widzenia z więźniem po śledztwie były częstsze, dłuższe i mniej kontrolowane. Przy poparciu „Władka” udało się namówić matkę, aby sprowadziła dla mnie paszport swojej zamężnej córki, p. Rucińskiej, mieszkającej na Podolu. To paszportowe pokrewieństwo dawało mi prawo odwiedzania „Władka”. Jeździłam tedy do Siedlec kilkakrotnie i nawet spędziłam tam jakieś świąteczne dwa dni.

Przy widzeniach z „Władkiem” asystował zawsze sam naczelnik więzienia, który miał wielkie poważanie dla „pana inżyniera Malinowskiego”, najuczciwszego i najpoważniejszego więźnia w jego więzieniu, zachowywał się dyskretnie i siadał dość daleko od nas. Oczywiście poza pogawędką w stylu żargonowo - konspiracyjnym miałam możność wręczyć mu zawsze „gryps” i nieco ciekawszej bibuły.

Czas, pozostający do odejścia pociągu, poświęcałam na obznajomienie się z wewnętrznym urządzeniem i sytuacją zewnętrzną więzienia. Wtedy powstała u mnie myśl wykradzenia „Władka”. Nakreśliłam plan, który nie całkowicie mnie zadowalał, trzeba więc było poradzić się z kimś sprytnym i praktycznym i opracować szczegóły. Najbardziej nadawałby się do tego „Michał”, ale w tym czasie czemuś nie był w Warszawie. Zwróciłam się wtedy z moim projektem do najwyższej władzy partyjnej w Warszawie, do tow. „Jerzego” (Adama Bujny), członka C. K. R.

Tow. „Jerzy” powiedział, że wobec pustki w kasie partyjnej nie będzie miał pieniędzy na takie kosztowne przedsięwzięcie. Odrzekłam, że pieniędzy na ten cel będę miała tyle, ile będzie potrzeba. Otóż z pieniędzmi dla „Władka” było tak: Kasa Pomocy Więziennej dawała każdemu więźniowi na ręce

rodziny 5 rb. miesięcznie na poprawę wikt i drobne wydatki; na drogę zesłańcowi, zależnie od odległości, 15, 20, najwyżej 25 rb. To było maksimum, co mogła dać Pomoc Więzienna, jednocześnie zaś minimum, bez którego ciężką była dola niezamożnego zesłańca. Czasem przychodziła z pomocą partja, ale wtedy, według zapewnienia „Jerzego”, w kasie były pustki, a wydatki duże. Aleksander Malinowski był chory i potrzebował bardzo pożywnej strawy, był „nielegalnikiem”, — to znaczy nie miał stałego miejsca zamieszkania, a jego bielizna i odzież były rozproszone po różnych sympatykach, to znaczy tak jakby nie istniały. Właściwie miał tylko tyle, co było na nim w czasie aresztowania. Wówczas koledzy inżynierowie i przyjaciele osobiści (a miał ich sporo) opodatkowali się miesięcznie i składali na moje ręce dosyć poważne datki. W ten sposób „Władkowi” na niczem nie zbywało, co tylko było dostępne więźniowi X pawilonu, i wyekwipowało się go całkiem przyzwoicie. Pieniądze z Więziennej Pomocy odkładałam na wszelki wypadek.

Po przeniesieniu Aleksandra Malinowskiego do Siedlec na intencję możliwej ucieczki urządziłam szereg odczytów Andrzeja Niemojewskiego, który był wówczas socjalistycznie nastrojony i bardzo „kasowy”. Największe powodzenie miały wówczas czytane przez samego Niemojewskiego, niedrukowane jeszcze, słynne „Legendy”. Pieniądzy tedy dla tow. „Władka” nie brakło.

Po rozmowie ze mną „Jerzy” pojechał sam do Siedlec, obejrzał więzienie nazewnątrz i przyjechał z własnym projektem ucieczki — karkołomnym i nierealnym, na który nie mogłam się zgodzić, wobec czego myśli o wykradzeniu z więzienia siedleckiego trzeba było zaniechać.

Kiedy ogłoszono wyrok (zesłanie na 8 lat do Średnio-Kołymska — jednego z najodleglejszych punktów Syberji Wschodniej, w którym jeszcze może egzystować europejczyk), trzeba było pomyśleć o ucieczce z drogi. Rozpoczęły się gorączkowe przygotowywania. Pani Józefa Hiszpańska, matka właścicieli zakładu i sklepu szewskiego Tadeusza i Stanisława (firma stara i zasłużona społecznie) brała udział w Pomocy Więziennej, swoją ofiarnością i hojnością oddawała jej cenne usługi. U niej miała mieszkanie i utrzymanie p. Malinowska przez cały czas

pobytu syna w Cytadeli. Za jej wstawiennictwem do synów liczne mocne i wygodne długie buty na nogach zesłańców wędrowały na Syberję. Za pośrednictwem p. Zofji Hiszpańskiej obstałowałam dwie pary butów, odpowiednich do klimatu syberyjskiego, dla Malinowskiego i Rożnowskiego, który też dostał zesłanie na Jakuty. Stosownie do umowy do podeszew wszyto paszporty, niezbędne przy możliwej ucieczce. O wszyciu paszportów oprócz państwa Hiszpańskich i majstra Stanisława, człowieka bardzo zacnego i pewnego, nikt nie miał wiedzieć. A jednak w sposób zgola niepojęty władze o tem się dowiedziały, oderwały podeszwy w butach Rożnowskiego i wydobły paszport. Buty Malinowskiego były jeszcze u mnie na składzie, ale oczywiście, ku zmartwieniu matki, która o niczem nie wiedziała, nie zostały mu oddane.

Zbliżał się czas wyjazdu. W ostatnich dniach pobytu Malinowskiego w więzieniu siedleckim udało się, dzięki słabemu stanowi jego zdrowia, wyjednać pozwolenie wyjazdu nie etapem, lecz na własny koszt. Jadąc na własny koszt, zesłaniec wyruszał w asyście dwóch konwojentów, których podróż w obie strony opłacała rodzina. Pani Malinowska złożyła na ręce naczelnika więzienia siedleckiego odpowiednią kwotę — akurat tyle, ile wynosiły koszty biletów kolejowych III klasy do Moskwy dla „Władka” i konwoju i na powrotną drogę dla tego ostatniego. W Moskwie Malinowski miał być oddany w ręce władz tamtejszych.

Malinowski miał wyruszyć w drogę lada dzień. Plan mój tym razem był taki: dla Malinowskiego była przygotowana kurtka podróżna z zaszytymi chytrze w guziki pięciorublowkami, zesłańcom bowiem nie wolno było mieć przy sobie żadnych pieniędzy, pozwalano tylko złożyć na ręce konwoju nieznaczną, ściśle określoną kwotę kilku rubli na drobne wydatki. Poza tem Malinowski miał mieć przy sobie walizkę z trochę odzieży, koszyczek ręczny do produktów na drogę oraz czajnik blaszany na wrzątek do herbaty. W paczkach żywnościowych można było bezkarnie ukryć butelczynę wódki, której przy ostatecznej rewizji przy wyjeździe najczęściej nie znajdowano, w dobrze zrozumiałym interesie konwoju. Wódka miała być zaprawiona środkiem nasennym, konwój bowiem, pozostając sam na sam z zesłańcem, nigdy nie odmawiał poczęstunku.

W tym samym pociągu, a potem, jeżeli się da, w tym samym wagonie, co Malinowski, miała jechać tow. „Aniuta” (Anna Mielnikowówna), osoba odważna, sprytna, konspiracyjnie wyrobiona. Obliczaliśmy, że w okolicach Mińska Litewskiego konwój uśnie, w Mińsku „Władek” z „Aniutą” wysiądą i podążą do jednej z przygotowanych kryjówek. Po ulokowaniu „Władka” w bezpiecznym miejscu „Aniuta” da znać władzom P. P. S., aby zajęły się dalszym losem „Władka”. Z obowiązku organizacyjnego musiałam zawiadomić o powyższym władzę partyjne — to znaczy tegoż samego tow. „Jerzego”. „Jerzy” tym razem plan mój zaaprobował, nie zgodził się tylko na delegowanie tow. „Aniuty”, lecz sam miał pojechać z „Władkiem”.

Malinowski ruszył w drogę w nieco odmiennych i znacznie lepszych, niż poprzednio przypuszczano, warunkach. Naczelnik więzienia siedleckiego zwyczajem carskich czynowników schował do szeroko-rosyjskiej kieszeni koszta podróży jednego konwojenta i puścił Malinowskiego z jednym tylko stojkowym. Cała więc flaszka przypadła dla jednego. Stójkus nie dał się prosić i jeszcze przed Mińskiem wychlał całą flaszkę, przegryzając tłustą kiełbasą. Ale czy środek nasenny był za słaby, czy łeb moskiewski za odporny, dosyć że nie zasnął. Kiedy w Mińsku Malinowski zażądał wrzątku, policjant złapał czajnik i sam polecił poń, zamiast kazać przynieść. Kiedy wrócił do wagonu, Malinowskiego już tam nie było.

Tymczasem „Paweł” (Stanisław Pękosiński), wysłany przez „Jerzego”, dotarł z „Władkiem” do mieszkania mojej siostry, Genowefy Rewerellowej, która, uprzedzona zawczasu, przygotowała kryjówkę w ciemnym pokoju, mieszczącym kufry i połamane graty, i przez parę dni bacznie strzegła, aby ani dzieci, ani nikt inny tam nie zajrzał.

Ja tymczasem wyjechałam na parę dni do p. Marji Bukowińskiej (żony Władysława, redaktora „Sfinksa”), która z dwoma synkami wynajęła pokój od Aleksandra Świętochowskiego w Brzezinach, o 2 klm. od stacji Dęby Wielkie. Pewnego południa chodziłam po parku z chłopaczkami państwa Bukowińskich — aż tu naraz ku memu zdziwieniu i, przyznam się, przerażeniu widzę kroczących od strony furtki „Jerzego” i „Władka”... Pani Bukowińska miała migrenę i leżała w łóżku. Nie

mogłam więc do niej wprowadzić przybyłych towarzyszy. Świętochowski o tyle był grzeczny, że moich gości wraz ze mną zaprosił do siebie i nawet uczestował obiadem.

Jedno spojrzenie na Malinowskiego nie pozostawiało wątpliwości co do jego pozycji w świecie. Od bladej twarzy jasnego blondyna fatalnie odbijały mocno uczernione długie wąsiska i źle wyszwarcowany słaby zarost na głowie. Świętochowski zestrzącał się porządnie i zgóry zapowiedział, że u niego na noc pozostać nie mogą, bo koło niego jest nie bardzo „czysto”. ale dał bryczkę i konia, zaufanego furmana i polecił odwieźć do znajomego chłopą, gdzie mogli mieć bezpieczny nocleg.

Byłam na „Jerzego” zła. Nie miałam zwyczaju ani znajomym, ani nawet sympatykom robić niebezpiecznych niespodzianek. Wróciłam do Warszawy. Po paru dniach pełnego niepokoju oczekiwania przyszła z Galicji na imię p. Kazimierzy Twardzickiej (właścicielki zakładu fotograficznego) pocztówka z gębą, w radosnym uśmiechu rozdziawioną od ucha do ucha, i drukowanym podpisem „Wojtek z Kolbuszowej”, a niżej drobnym maczkiem ręką „Władka” nakreślonymi słowami: „najszczęśliwszy człowiek na świecie”.

Warszawa, 16 października 1923 r.

EKSPEDYCJA I KOLPORTAŻ „BIBUŁY“

W latach 1903 i 4, w dobie najwyższego rozwoju tak zwanej „techniki bibułowej“ przed rewolucją, ekspedycja „Roba“ i „bibuły“ odbywała się w sposób następujący: O przybyciu „Roba“ zawiadamiano mnie na 2 — 3 dni wcześniej. Mieszkanie wynajdywałam w ruchliwej, kilkopiętrowej kamienicy. Wejście do mieszkania musiało być niewidoczne ani z ulicy, ani z podwórza. Pokój do ekspedycji obowiązkowo musiał być przy klatce schodowej, ażeby można było pukać, broń Boże, nie dzwonić. W pokoju nie mogli być ani gospodarze, ani domownicy, ani służba. Byłyśmy tylko dwie: ja i najczęściej Aniuta (Anna Mielnikowówna *)), najbardziej wykwalifikowana „dromaderka“, to znaczy najbardziej „pakowna“, konspiracyjna, dyskretna i sprytna.

„Roba“ najczęściej przywoził Michał (Sułkiewicz) o godzinie 8 — 8½ rano. Pukania oczekiwałyśmy z niecierpliwością, w niepokoju męczącym, w udręce. Wskazówka zegarka posuwa się marudnie, minuty dłużą się, czas powoli, ale upływa. Pukania niema. W milczeniu patrzymy sobie wzajemnie w oczy i obie snujemy w myśli straszne przypuszczenie: „może „Rob“ wpadł!“ „Wpadunek“ „Roba“ to straszniejsza katastrofa, niż wpadnięcie każdej innej bibuły, oprócz odezw majowych. Nareszcie do uszu dochodzi znajome, ciche pukanie. Otwieramy drzwi. Wchodzi Michał z „blondynką“ lub „brunet-

*) „Aniuta“ była córką Polki i ojca — Rosjanina, który odznaczał się w czasie powstania gorliwością w carskiej służbie. „Aniuta“ namiętnie pogarnęła się do ruchu rewolucyjnego, traktując to jako ekspiację za grzechy ojca. (Przyp. Red.).

ka" (z czarną lub żółtą walizą) w ręku, stawia ją na podłogę i, porozumiewszy się w kwestji „randek”, zmyka.

Momentalnie dzielimy „Roba” na dwie części, wkładamy do dwóch worków, następnie worki wynosimy „na siebie”. Ja zabieram paczkę, przeznaczoną dla Warszawy robotniczej i zanoszę do innego, na innej ulicy, mieszkania, tylko w jeszcze ruchliwszej kamienicy. W oznaczonym mieszkaniu oczekują wyszkolone pod względem konspiracyjnym dromaderki, aspirantki do agitacyjnej roboty *). Pośpiesznie dzielimy „Roba” według klucza O. K. R. na 12 — 16 paczek, stosownie do ilości dzielnic Warszawy. Oznaczamy paczki cyframi rzymskimi (każda dzielnica miała swoją liczbę). Paczki rozbierają dromaderki (3 — 4), dostają drobne pieniądze na tramwaje, dorożki (na wypadek potrzeby uciekania przed szpiclem). „Rob” musiał być rozniesiony do wszystkich dzielnic do 12 godziny w południe, aby w czasie obiadu mógł dotrzeć do wszystkich kół robotniczych.

Tegoż jeszcze dnia dromaderki zdawały mi sprawę, jak poszło z oddaniem „Roba”, i wyliczały się z pobranych pieniędzy. Wieczorem w dniu kolportażu „Roba” i przez parę dni następnych na ulicach Warszawy roiło się od szpicli — przez ten czas dromaderki nie komunikowały się między sobą i z ciałami partyjnemi, starano się nie zaglądać do głównego składu bibuły.

Drugą paczkę „Roba”, przeznaczoną dla prowincji, sympatyków, do archiwum i na zapas, odnoszono do mieszkania, które mogło być w kamienicy mniej ruchliwej. Po wysłaniu „Roba” robotniczego na Warszawę, przychodziłyśmy tutaj (ja i 2 — 3 „dromaderki”) i segregowałyśmy „Roba” w takich samych warunkach, jak poprzednio, t. j. w nieobecności gospodarzy i domowników. „Roba”, przeznaczonego dla prowincji, dzieliliśmy między okręgi, według klucza podanego przez C. K. R. Paczki, oznaczone cyframi (każdy okręg miał swój numer) odnosiło się do składu, przeznaczonego na bibułę prowincjonalną, do innego składu zanoszono „Roba” dla sympatyków, a egzemplarze archiwalne i zapasowe — do głównego składu.

*) Antonina (Żukowska, obecnie Maksowa), Magdalena (Jadwiga Herynżanka) i Stefanja Herynżanka.

Duże transporty, większe i mniejsze paczki noszone były na sobie, nigdy w ręku, nigdy na widoku.

„Świeżego Roba” w dzień „wyjścia” numeru dostawały tylko organizacje robotnicze i kierownicy partyjni; sympatycy zaś dopiero po kilku dniach, kiedy szpiclowanie odbywało się mniej intensywnie.

Inną bibułę kołportowano w podobny sposób, tylko z mniejszym pośpiechem i niekoniecznie tego samego dnia. Do roznoszenia bibuły do funkcjonariuszy partyjnych z prowincji, inteligencji partyjnej, sympatyków, do składów i podskładów służył inny zastęp dromaderek, które niemniej były oddane sprawie, niż dromaderki od noszenia bibuły do dzielnic robotniczych, ale nie zamierzały oddać się agitacji. Najbardziej czynne z nich były: Pułkownica (G. Zajączkowska), Stefanja (B. Kosobudzka), Janina (Aniela Fusiecka), Róża (J. Lobbelówna) i inne.

„Roba” i inną bibułę dzieliło się według klucza, ustanowionego przez C. K. R. i warszawski O. K. R. Ale ani „Roba”, ani innej bibuły nie było nigdy w dostatecznej ilości, a więc trzeba było w każdej paczce ilość egzemplarzy zmniejszać proporcjonalnie. Tego faktu w żaden sposób nie chcieli uznać niektórzy okaerowcy, czuli się pokrzywdzeni i robili mi piekło. Utkwiły mi w pamięci awantury z Soplicą (Sławkiem) i Ryszardem (Jędrzejewskim).

JAK SIĘ WYDOSTAŁ ALEKSANDER MALINOWSKI Z CYTADELI WARSZAWSKIEJ

W r. 1906, wkrótce po rozłamie w P. P. S., tak zwana „lewica” zwołała na 16 grudnia konferencję Warszawskiego Okręgowego Komitetu Robotniczego, na której miała zdać sprawę przedstawicielom dzielnicowym Warszawy ze zjazdu rozłamowego P. P. S. Na ową konferencję „lewica” zaprosiła „prawicę” czyli tak zwaną wówczas Frakcję Rewolucyjną P. P. S., która wydelegowała między innymi towarzyszy: „Nego” (Gustawa Daniłowskiego), „Romana” (Aleksandra Malinowskiego), „Witalisa” (Zbigniewa Woszczyńskiego), „Baja” (Jędrzejowskiego).

Konferencja w liczbie 63 osób zebrała się o godz. 11 rano w fabryce wyrobów blacharskich Ludwika Braumana przy ul. Przemysłowej. W samym początku obrad wojsko otoczyło fabrykę, policja zaś i żandarmi wkroczyli na salę. Tłumaczenie się zebranych, że przyszli na niewinny odczyt dr. Szpaka, który się trochę spóźnił i jeszcze nie przyszedł, nie przekonało o ich niewinności, zostali aresztowani i odstawieni do najbliższego cyrkułu policyjnego, stamtąd zaś do Ratusza.

Właściciel fabryki zachował się przyzwoicie i po obywatelsku, dotarł do sali, pozapisywał na mankiecie adresy niektórych rodzin aresztowanych i dał znać rodzinom. Też noc jeszcze Ludwik Brauman został zabrany z domu i osadzony w Ratuszu, skąd po parudniowych usilnych zabiegach mecenas Stanisława Patka i p. Anny Leliwowej (obecnie tow. Bielkiewiczowej) został wypuszczony na wolność.

Uczestników niedoszłej konferencji z Ratusza poprzemieniono jednych na Pawiak, innych do fortów. „Romana” osadzono w fortach. Opiekę nad Malimowskim z ramienia legalnego „patronatu nad więźniami” objęła A. Leliwowa, która wyjednała pozwolenie komunikowania się bezpośrednio z więźniami, oczywiście w obecności władz więziennych i policji. Opieka legalna zasadzała się na dostarczaniu wiktów, pościeli, bielizny, odzieży, wykwapowaniu wysłańców i t. p. Zawsze jednak p. Leliwowej udało się wsunąć do rąk więźniów nielegalną „grypsankę”.

W marcu 1905 r. władze carskie wydalily mię z Warszawy i 10-ciu gubernij Królestwa, w jesieni zaś 1906 powróciłam samowolnie do Warszawy. Oczywiście, nie miałem dawnej swobody ruchów i nie mogłam brać udziału w jawnych czynnościach patronatu. Zajmowałam się tedy wyszukiwaniem dróg nielegalnego skomunikowania się z uwięzionymi towarzyszami. Grypsanki do „Romana” od organizacji partyjnej i swoje osobiste dostarczała mi p. Stefanja Dehnelówna (późniejsza żona A. Malinowskiego). Ja odnosiłam je do p. Bronisławy Oryngowej, żony zamożnego właściciela składu węglowego. Do p. Oryngowej w oznaczonych dniach przychodziła młoda panienka, która mieszkała przy rodzicach w obrębie Cytadeli i codziennie chodziła do Warszawy do pracowni, zdaje się, krawieckiej. Obie z p. Oryngową wypruwały z listwy spódnicy „grypsy” od więźniów i na to miejsce wszywały kartki do więźniów. Panienka była pewna, poczta funkcjonowała sprawnie. Nazwiska panienki nie znałam i nie znam dotychczas. Poza to praca moja w Więziennej Pomocy polegała jeszcze na współdziałaniu z mec. Patkiem w wykręcaniu więźniów politycznych z łap carskich opryszków. Wieczorami, czasem do późnej godziny, wysiadywałam w mieszkaniu mec. Patka przy ul. Królewskiej 25: w poczekalni, salonie, jadalni, czasami nawet w sypialni, czekając chwili, kiedy trzeba było załatwić ten, albo inny drobiazg, z pozoru niewinny, a jednak ważny, czasami zaś decydujący o pomyślnym wyniku.

Sprawę z Przemysłowej prowadził sędzia śledczy Katramowski. Przy rewizji osobistej aresztowanych i w ich mieszkaniach nie znaleziono nic kompromitującego, sprawę ich przeto zaliczono do kategorii lżejszej, tuzinkowej, i bez wszelkiego

trudu wypuszczano na wolność za paręset-rublową kaucją. Lecz Malinowski był recydywistą, uciekinierem z przymusowej drogi do Kołymy, wobec czego Katranowski go wyróżnił. Poważna interwencja mec. Papieskiego nie odniosła skutku, o żadnej kaucji Katranowski nie chciał słuchać. Zdawało się, że tym razem niema ratunku dla tow. „Romana”. Mec. Patek nie dał jednak za wygraną i sprawy Malinowskiego nie spuszczał z oka. Naraz dowiaduje się, że Katranowski 2-go kwietnia 1907 r. wyjeżdża z Warszawy i na czas nieobecności zostawia zastępcę.

Patek rozwija cały swój przemysłny kunszt ratowania ofiar walki z caratem. Licząc na nieznaną sprawę z Przemysłowej, nasyła na zastępcę Katranowskiego damę z towarzystwa — młodą, przystojną, elegancką, sprytną, która, jako rzekomo bliska krewna Malinowskiego, wyjednywa zezwolenie wypuszczenia go na wolność za kaucją.

Teraz trzeba jeszcze jaknajprędzej uzyskać podpis generał-gubernatora. Tegoż dnia jeszcze wieczorem pisze się w kancelarii mec. Patka trzy podania: o zwolnienie za kaucją Aleksandra Malinowskiego i jakiegoś esdeka i zamienienie wysyłki na wyjazd za granicę Jerzego Herynga. Podanie Malinowskiego podpisuje jego siostra, Jerzego Herynga — siostra Jadwiga za matkę, a ktoś tam jeszcze za kogoś z rodziny esdeka. Wszystkie trzy koperty adresuje ja według wskazówek Patka i umówionej modły tego ostatniego z Jaczewskim. W każdym adresie było inne podkreślenie, które oznaczało stopień szybkości w załatwianiu sprawy. Najpilniejszą sprawą była oczywiście — Aleksandra Malinowskiego, — potem szła sprawa esdeka, na koniec zaś Herynga. Między 11 — 12 w nocy odniosłam podania do mieszkania prywatnego Jaczewskiego i złożyłam według wskazówek mec. Patka na ręce starego kamerdynera. Trzeciego kwietnia na wszelki wypadek złożyłam u pani Leliwowej 25 rb. dla „Romana”, przedtem jeszcze zawiadomiwszy go „grypsanką”, ażeby pierwsze kroki na wolności skierował do swej opiekunki z patronatu.

Dnia 4-go kwietnia „Roman”, zabrawszy 25 rubli, opuścił Warszawę, ja zaś wtedy siedziałam już w Ratuszu, albowiem w nocy z 3-go na 4-ty kwietnia zostałam aresztowana.

Warszawa, dnia 6 listopada 1923 r.

1 MAJA 1907 R. NA SERBII

Wspomnienie.

W 1907 r. więzienia carskie dla politycznych miały „konstytucję” — tak więźniowie nazywali wywalczoną względną swobodę wewnątrz więzienia. Swoboda na Syberji (oddział żeński na Pawiaku) polegała na tem, że cele były otwarte od 5-ej rano do 6-ej p. p. i od 7-ej do 9-ej wieczór, to znaczy, że można było chodzić do sąsiednich cel na swoim piętrze i do cel na innych piętrach, można było spacerować po korytarzach, przyczem udawało się przez okno w końcu korytarza wyglądać na ulicę i porozumiewać się z towarzyszami z Pawiaka. Od 6-ej do 7-ej g. zamykano nas, ale można było dać się zamknąć w cudzej celi i w towarzystwie wybranem dowolnie. Spacery po podwórku odbywały się wspólnie i trwały tyle, ileśmy chciały.

Swoboda obcowania dała możność organizowania wykładów i prowadzenia śpiewów chóralnych pod kierunkiem specjalistki, Zofji Kruszewskiej. Na nasze energiczne żądanie usuwano z korytarzy i spacerów niedogodnych dla nas strażników. Takich swobód Pawiak nie miał.

Serbja była przepełniona. Tam były przedstawicielki wszystkich socjalistycznych partyj, które istniały na terenie państwa rosyjskiego: PPS., PPS. lewica, Bund, S. R., S. D. K. P. i L., S. D. bolszewicka i S. D. mieńszewicka. Z PPS. siedziały: Baśka (Wincentyna Urbanówna, obecnie Herzowa), Szczesna (Lochmanówna), Kinga (Wanda Gawrońska), Rysia-kówna (Józefa Kałużanka, obecna Klimczakowa), Sledziówna, Antonina Osińska, Ola Sidorowiczówna (obecnie Arciszewska), Kajołowa (Kawecka), Ejnakielowa, Antuz (Antonina

Uziębłina), Hanka Gomolińska (obecnie Paschalska), Władka Ocieszkówna, Marja Paschalska (obecnie Janowa Rozenowa), Marja Gertruda Paszkowska, Zofja Kruszewska, która wprawdzie nie należała do PPS. i była działaczką oświatowo-kulturalną, lecz oskarżano ją o zamach na Skałona.

Siedziała także z 3-letnią córeczką, Wandką, Marja Weger - Frenklowa, która z ramienia PPS. prowadziła agitację wśród żołnierzy rosyjskich i była uwięziona jeszcze przed rozłamem w PPS., Były na Syberji i dziewczęta, zagarnięte na ulicy, które dopiero w więzieniu dowiadywały się, o co walczone wówczas. Do tych należała 16-toletnia przesłiczna Esterka Krakówna, córka chasyda, i t. zw. przez nas „Wróżka Caratu”, 15-letnia uroczą Zosia Ejzenmanówna, która wpadła przy jakiejś aferze esdeckiej. W rzeczach ważnych, jak protesty lub żądania, wszystkie socjalistki występowały zgodnie i solidarnie, po za tem każda partja żyła oddzielnie w swoim kółku.

Wspólny niepokój, co się dzieje 1-go maja na mieście i w całym kraju, i żal, że się nie jest razem z partją na wolności, jednoczyły nas 1-go maja. Świętowanie zaczęliśmy od zgromadzenia w najobszerniejszej celi na II piętrze, w której mieszkały tow. Uziębłina i Hanna Gomolińska. Najdłuższy referat o znaczeniu 1-go maja wygłosiła Feinsteinówna (S. D. K. P. i L.), a potem przedstawicielki każdej partji w mniej lub więcej krótkim przemówieniu uczciły święto. Trochę podyskutowaliśmy, ale bez zaciekleści. Potem z rozwiniętym czerwonym sztandarem z napisem: „Niech żyje 1-szy maja!” urządziliśmy milczący pochód po korytarzach, zatrzymałyśmy się na II piętrze przy oknie, które wychodziło jednocześnie na ulicę i na Pawiak i wychyliłyśmy sztandar za okno. Honor trzymania sztandaru oddałyśmy „bezpartyjnej” 4-oletniej Wandzi Frenklównie. Mała zacisnęła sztandar mocno w piastkach z miną wielce poważną i namaszczoneą. Towarzysze z Pawiaka, którzy mieli mniej szeroką konstytucję, niż my na Serbji, i nie mieli sztandaru, uśmiechem i ukłonami witali nasz sztandar.

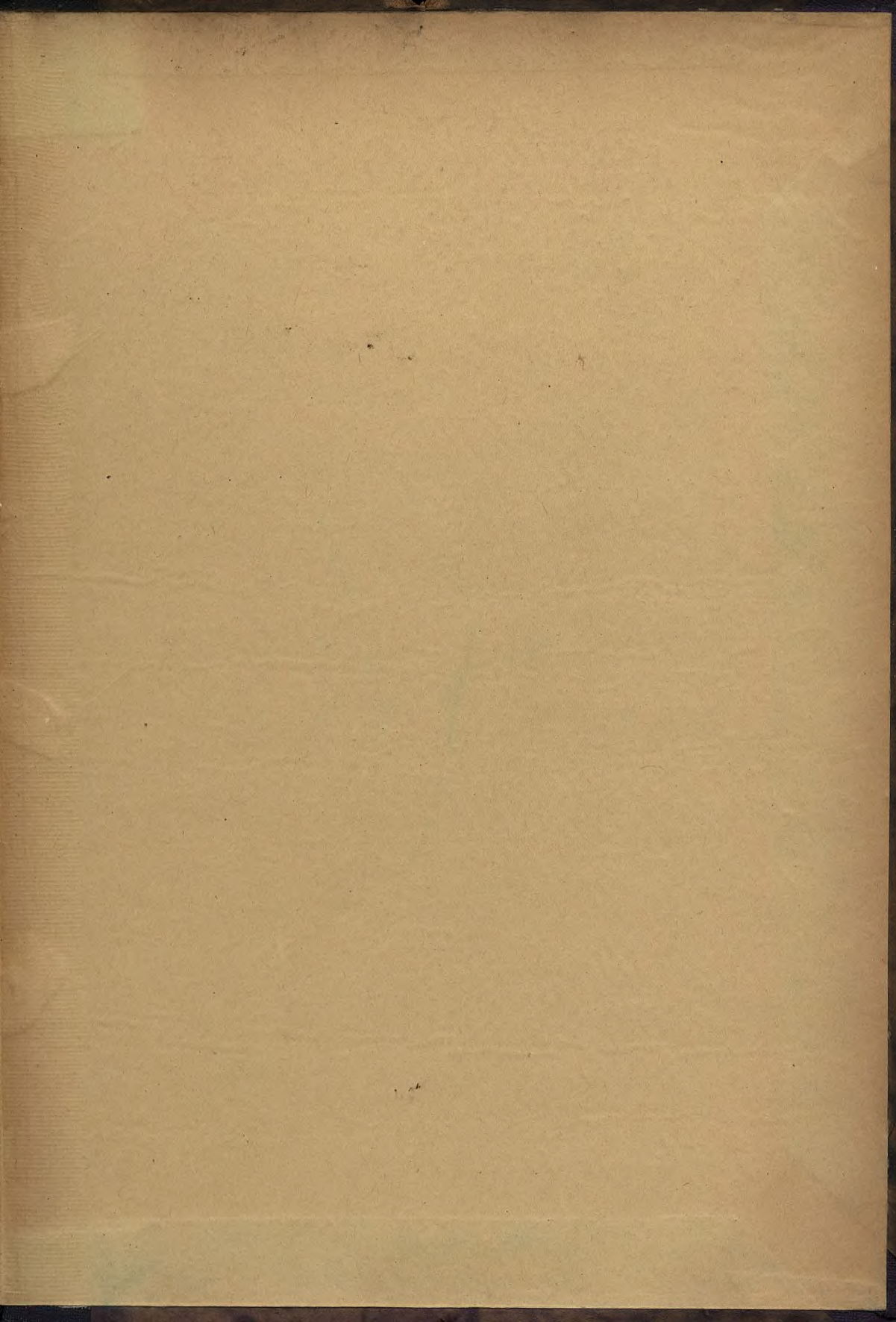
Uciecha ta trwała zaledwie parę minut, wkrótce bowiem ujrzałyśmy skierowane w okno lufy karabinów. Sztandar schowałyśmy, a same rozpięchłyśmy się po korytarzach i celach.

Z ulicy dano znać naczalstwu, ktoś tam przyszedł na zwiady, a widząc nasze swobodne zachowanie się i niewinne

miny, odszedł uspokojony. Po niejakiem czasie zeszliśmy na podwórko spacerowe, na którem dyżurował strażnik nieszkodliwy, i pod batutą tow. Zofji Kruszeńskiej śpiewaliśmy wspólnie pieśni majowe raz wraz rozwijając nasz sztandar w kierunku okien Pawiaka.

Tak to sobie w niewoli urządziłyśmy surogat obchodu naszego najdroższego święta.





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000740614



II 41838